Orlen: spółka skarbu partii ▪ Sędziowie pójdą z władzą ▪ Jak żyć z migreną
Francja: bunt chłopski ▪ Czy piekło jest puste ▪ Beatlesi zmienili świat

Kraków 7 – 13 lutego 2024 nr 6 (3892) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Renata Przemyk: Żyjcie na własnych warunkach

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Albatros travel

Weekend majowy

„Dolce vita" w Toskanii

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Rzymu. Przyjazd do Chianciano Terme. **Dz. 2** Umbria i magiczne Orvieto. **Dz. 3** Włoski targ i etruskie muzeum. **Dz. 4** Całodzienna wycieczka do Sieny wpisanej na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO i spacer szlakiem Via Francigena. **Dz. 5** Asyż – miasto Świętego Franciszka. Wizyta w kościele Św. Franciszka. **Dz. 6** Warsztaty kulinarne. Przygotowanie włoskiej pasty. Podstawy jęz. włoskiego i czas wolny. **Dz. 7** Degustacja win i urocze popołudnie w San Gimignano. **Dz. 8** Piękne renesansowe miasto Pienza, spacer do Cappella di Vitaleta i wizyta w Montalcino. **Dz. 9** Dzień wolny w Chianciano Terme. **Dz.10** Wylot z Rzymu do Warszawy.

10 dni | Wyloty z Warszawy 29/04, 17/05 2024 | od 5.998,-

Najpiękniejsze parki narodowe USA

Wspaniała podróż z Los Angeles, tętniącej życiem stolicy filmu, przez 7 parków narodowych, pustynne krajobrazy i stolicę hazardu Las Vegas, wzdłuż wybrzeża, aż do San Francisco.

15 dni | Wyloty z Warszawy 12/07, 13/09 2024 | od 18.998,-

Weekend majowy

Śladami Aleksandra Wielkiego

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Skopje, Macedonia Północna. Przylot i zakwaterowanie. **Dz. 2** Skopje. Wycieczka po stolicy Macedonii Północnej, w tym Krzyż Milenijny. **Dz. 3** Skopje – Bitola – Ochryda. Zwiedzanie ruin w Stobi oraz Heraklei. **Dz. 4** Ochryda – zwiedzanie miasta i rejs po Jeziorze Ochrydzkim. **Dz. 5** Ochryda – Naousa – Pella – Saloniki, Grecja. Degustacja wina i wizyta w miejscu narodzin Aleksandra Wielkiego. **Dz. 6** Saloniki – Wergina – Saloniki. Grobowce w Werginie, zwiedzanie miasta i czas wolny. **Dz. 7** Saloniki – Edirne, Turcja. Spacer wybrzeżem Morza Egejskiego i zwiedzanie Edirne. **Dz. 8** Edirne – Stambuł. Przyjazd do Stambułu i rejs po Bosforze. **Dz. 9** Stambuł. Zwiedzanie miasta, w tym Błękitny Meczet, Sultanahmet i lokalny bazar. **Dz. 10** Stambuł – Warszawa. Czas do własnej dyspozycji i powrót do Polski.

10 dni | Wyloty z Warszawy 29/04, 15/09 2024

od 8.498,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: **TP01**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

KS. ADAM

Boniecki: *Rzeczy ostateczne*

Fascynujące są rozważania papieża Benedykta XVI o rzeczach ostatecznych. Encyklika „Spes salvi" jest tego dobrym dowodem. Artykuł Artura Sporniaka pomaga w lekturze tekstu Benedykta XVI, względnie krótkiego, lecz bynajmniej nie łatwego. Zagadnienia eschatologiczne: śmierć, zmartwychwstanie, życie po śmierci z pewnością zainteresują ludzi pogłębionej wiary, lecz jeszcze bardziej osoby stojące już na krawędzi życia i tych, którzy niezależnie od wieku i stanu chcą za tę krawędź spojrzeć.

Są ludzie, dla których śmierć jest po prosu końcem. Nasze życie się kończy. Po prostu. Egzystujemy po śmierci jakiś czas w pamięci przyjaciół, znajomych, wrogów. Jakiś czas, bo przychodzą po nas inni ludzie, inne sytuacje. Przemijamy wtedy bezpowrotnie. W końcu nawet nasze groby z prochami będą zaorane i zrobią miejsce dla następnych. Może po stuleciach ktoś odkryje grób, może nasze resztki trafią do jakiegoś archeologicznego muzeum. Anonimowo, oczywiście.

Nie wszyscy jednak z tym się godzą. Jak wiadomo, od najstarszych (względne) czasów istniało przekonanie o życiu po życiu. Było przedstawiane różnie. Nie potrafię powiedzieć na pewno, czy proponowane obrazy miały pełnić funkcję przybliżenia niewyobrażalnej po ziemsku sytuacji, czy były po prostu obrazem przekonań o stanie szczęścia. Ucztowanie bez końca lub inne przyjemności, na ziemi nie bardzo dostępne lub zgoła dla wielu niedostępne całkiem, miały uprzyjemniać nieśmiertelną wieczność, choć ciało leżało zakonserwowane w (bogatym) grobie lub obracało się w proch w ubogim. Potępieni mieli być tych przyjemności pozbawieni, albo cierpieli (wiecznie), albo przestawali istnieć.

Chrześcijaństwo było tu bardziej wstrzemięźliwe, choć obrazy wzięte z Ewangelii również ukazują ucztę niebiańską, ale ona ma raczej obrazować jakąś duchową rzeczywistość niż zaspokojenie ziemskich, niespełnionych za życia marzeń. Eschatologia chrześcijańska jest powściągliwa. Ta ewangeliczna dość wyraźnie broni się przed dosłownością, choć i jej obrazy zostawiają, jak się okazuje, sporo miejsca do rozmaitej interpretacji.

Choćby wieczność lub czasowość potępienia. Rozważając miłosierdzie Boga i moc odkupienia, teologowie (nie wszyscy) odrzucają wieczność potępienia i uważają, że koniec końców wszyscy zostaną zbawieni. Ja nie wiem i wolę uważać. Tajemnica u krańców życia się spiętrza. Bo najpierw jest sprawa zbawienia w ogóle, a potem wieczności czy czasowości potępienia. Cała rzecz jest w tym, że za młodu spekulujemy, bo wszystko się wydaje teoretyczne. Później sytuacja zaczyna być bardziej serio. No i jesteśmy w spekulacjach ostrożniejsi. Bo jednak należy się odnosić do rzeczywistości religijnej z większą ostrożnością. Teologowie i tak będą spekulowali, ale zwykły lud wierzących...

Jeśli mamy do czynienia z tajemnicami Pana Boga, wypada zachować więcej respektu do Jego tajemnic. Objawione przez Jezusa Chrystusa są w jakimś tylko stopniu. Tego, co jest poza tym, po prostu nie wiemy. Owszem, gdyby dobrze poszukać, to na temat zbawienia wiele zostało powiedziane. Święci i świątobliwi ludzie chyba wiedzieli więcej od nas. Umierali spokojnie, nawet radośnie, czasem też miewali widzenia, których bym nie lekceważył. Może tam trzeba widzieć przewodników po Tajemnicy, która niech tajemnicą pozostanie. W miarę jak moje życie zbliża się do kresu, bardziej od fascynujących teologicznych spekulacji przemawiają do mnie doświadczenia ludzi świętych. Chciałbym zapewnić moich kolegów i przyjaciół, że przyjdę i im opowiem, jak tam jest. Ale cóż, tylu przede mną zapewniało i nie przyszło, więc daję spokój z obietnicami. Zobaczę, jak tam jest. Jeśli się uda, to dam znać. Na pewno będę się starał. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Harry Potter i aktywa państwowe
MAREK RABIJ
Daniela Obajtka nie ma już w Orlenie. Dosłownie minął się tam z prokuraturą, która zaczyna badać fuzję z Lotosem. Czy człowiek, który dał twarz nowej, agresywnej formie politycznego kapitalizmu, stanie za to przed sądem?

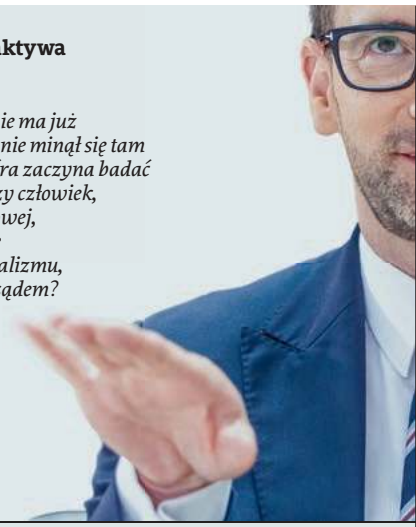

32 Czy piekło jest puste
ARTUR SPORNIAK
Potrzebujemy strachu przed potępieniem, by dobrze żyć? Trudno sobie wyobrazić radość w niebie, którego mieszkańcy mają świadomość istnienia miejsca wiecznej kaźni – mówią zwolennicy tezy o nadziei powszechnego zbawienia.

42 Metafory przestały wystarczać
ROZMOWA Z FIŃSKĄ PISARKĄ SOFI OKSANEN:
Nastroje w Finlandii pewnie nie różnią się od tych w Polsce. Ale wierzymy w naszą armię. No i mamy teraz ten sam problem co Polska: Rosja instrumentalizuje imigrację.

28 Odbity
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Historie takie jak jego – 15-latka z zespołem Downa i od zawsze bez domu – kończą się w Polsce dożywociem w DPS. Chyba że jakiś urzędnik powie: „Po moim trupie". A jego podwładna złamie swe życiowe pryncypia.

62 Zrób, matka, z tego piosenkę
ROZMOWA Z RENATĄ PRZEMYK, PIOSENKARKĄ:
Jestem odwrotnością kwoki. Wypycham córkę na zewnątrz. Przerobiłam swoje w rodzinie jak z „Chłopek".

66 Równość pochyła
MICHAŁ WALKIEWICZ
Nie dajmy się nabrać, Oscary są tylko fasadą biznesu filmowego w Hollywood. Ich znaczenie jest czysto symboliczne.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER // IGOR SASIN / AFP / EAST NEWS // IWONA WOJDOWSKA // MATERIAŁY PRASOWE APPLE TV+// ANNA POWIERZA / MATERIAŁY PRASOWE // ULF ANDERSEN / BE&W

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Takiego Dudy chce Tusk
MAREK KĘSKRAWIEC

8-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Harry Potter i aktywa państwowe
MAREK RABIJ

23 Państwo w lesie
KRZYSZTOF STORY: *W XXI wieku nie było lepszego momentu na reformę leśnictwa*

26 Zrobieni na zielono
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Donald Tusk postawił na wzmocnienie własnej hegemonii w koalicji*

■ ■ REPORTAŻ

28 Odbity
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ WIARA

32 Czy piekło jest puste
ARTUR SPORNIAK

36 Ruch, który zmieni świat
ROZMOWA Z PROF. LUIGINO BRUNIM: *Nie oczekujmy od papieża wielkiej myśli. Nie jest intelektualistą, tylko duszpasterzem*

38 Nie pomimo wiary, ale z jej powodu
AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ *o amerykańskich katolikach, którzy opowiadają się za wolnym wyborem w sprawie aborcji*

■ ■ ŚWIAT

42 Metafory przestały wystarczać
ROZMOWA Z SOFI OKSANEN

TEMAT TYGODNIKA

SEBASTIAN PRZYBYLSKI / PODGÓRSKI DOM FOTOGRAFII W KRAKOWIE

12
Więcej niż ból

ROZMOWA Z EWĄ CZAPIŃSKĄ-CIEPIELĄ, NEUROLOŻKĄ:
Migrena jest niepełnosprawnością, najczęstszą wśród młodych kobiet. Nie mogą wykonywać pracy, zajmować się domem ani nawet sobą. Leżą i nie są w stanie nic zrobić.

■ FELIETONY ■

27 TOMASZ STAWISZYŃSKI
41 ZUZANNA RADZIK
61 ELIZA KĄCKA **76** OLGA DRENDA
77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: RENATA PRZEMYK
FOT. ANNA POWIERŻA

Redaktor prowadzący:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

46 Ostatnia wyspa nadziei
AGNIESZKA ZIELIŃSKA *o nowym migracyjnym szlaku przez Wyspy Kanaryjskie*

50 Rolniczy blues
SZYMON ŁUCYK *o protestach rolników we Francji*

51 Demokracja z woli najjaśniejszego pana
WOJCIECH JAGIELSKI: *Mieszkańcy Bhutanu po raz czwarty wybierali parlament. Tak jak nakazał im król*

■ ■ HISTORIA

54 Pierwsza (nie)święta wojna
MICHAŁ OKOŃSKI: *Cracovia–Wisła, dzieje antagonizmu*

■ ■ NAUKA

58 Życie zżyte
MARIUSZ GOGÓL: *Zwierzęce i roślinne komórki zawdzięczają energię odległemu potomstwu niedojedzonych bakterii*

■ ■ ROZMOWA

62 Zrób, matka, z tego piosenkę
ROZMOWA Z RENATĄ PRZEMYK

■ ■ KULTURA

66 Równość pochyła
MICHAŁ WALKIEWICZ

70 Sztuka żywania
DARIUSZ KOSIŃSKI *o teatrze Katarzyny Kalwat*

74 Forma uszkodzona
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Opadające liście”*

75 Dziennik czasu wojny
LEKTOR *o książce Grzegorza Przebindy „Ostatnia wojna Putina”*

■ ■ ZMYSŁY

78 Głos ludzkości
FILIP ŁOBODZIŃSKI: *Sześćdziesiąt lat temu The Beatles wylądowali w USA*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
W środku trwającej w Strefie Gazy wojny palestyńscy piłkarze osiągnęli swój największy sukces – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI**
TygodnikPowszechny.pl/Stronaswiata

Rosyjska ruletka
Putin obiecuje awans społeczny. Czy Rosję czeka wymiana elit? – wyjaśnia **ANNA ŁABUSZEWSKA**
TygodnikPowszechny.pl/Rosyjskaruletka

TYGODNIK POWSZECHNY

Nowości na VOD poleca co tydzień **Anita Piotrowska**
TygodnikPowszechny.pl/weekend

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

TAKIEGO DUDY CHCE TUSK

Wszystkie strony politycznej wojny godzą się na czołowe starcie o wymiar sprawiedliwości. W samych sądach i prokuraturach już wiedzą, kto wygra tę batalię.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:
Ceremonia zaprzysiężenia rządu Donalda Tuska w Pałacu Prezydenckim. Warszawa, 13 grudnia 2023 r.

Albo Andrzej Duda blefuje, twierdząc, że będzie odsyłał każdą ustawę do Trybunału Konstytucyjnego, albo znów zostanie zmuszony do zmiany zdania. Aż trudno uwierzyć, że w Pałacu Prezydenckim są takie kłopoty z opracowaniem marszruty, która nie skończy się na pierwszej nierówności chodnika. Nawet jeśli Trybunał Julii Przyłębskiej orzeknie, że Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik są posłami, a ustawa budżetowa przyjęta bez nich jest niekonstytucyjna – rząd to zdanie zignoruje. I tak naprawdę będzie to kłopot dla prezydenta.

Wyobraźmy sobie bowiem, że na stół Andrzeja Dudy trafi niedługo kolejna ustawa. Już nie będzie mógł jej zepchnąć na Przyłębską w postaci wniosku o kontrolę następczą, bo z góry wiadomo, że odpowiedź przyjdzie taka sama jak poprzednio. Żeby się nie ośmieszyć, będzie musiał ustawę zawetować. Czy się odważy?

Sejmowa codzienność to nie tylko bitwy o wymiar sprawiedliwości, media publiczne czy aborcję. To także setki innych spraw, dotykających gospodarki i stosunków z Unią, ochrony zdrowia, transformacji energetycznej; nie mówiąc o ustawach, na których mogą skorzystać emeryci, ludzie ubodzy lub osoby z niepełnosprawnościami. Jeśli prezydent zdecyduje się na totalną wojnę z Sejmem, szybko otrzyma prezent w postaci ustawy zgodnej z intere-

sami elektoratu PiS. Tylko po to, by potem w przejętej TVP nowa władza mogła kształtować w umysłach inną narrację na temat polityki społecznej dawnego obozu władzy. Prezydent blokujący uboższej części narodu dostęp do pieniędzy plus kolejne odcinki serialu o uwłaszczaniu się polityków Zjednoczonej Prawicy na majątku państwowym – tego właśnie chce Donald Tusk, któremu być może nie zaszkodzi też awantura z Kamińskim i Wąsikiem. W PiS wciąż rozpatrywana jest bowiem opcja z próbą siłowego wprowadzenia tych polityków na obrady Sejmu.

Andrzej Duda próbuje kształtować obraz zatroskanego przywódcy, który wyciąga rękę do premiera, ale jest ona notorycznie odtrącana. Zarazem podkreśla, iż nie jest „długopisem" Jarosława Kaczyńskiego i mógłby rozważyć proponowane zmiany w KRS, jeśli nie dotkną neosędziów. Cóż z tego, skoro te dowody niezależności nie układają się w spójną strategię, a samemu Dudzie dużo lepiej wychodzi zajmowanie się sprawami zagranicznymi (mimo „krymskiej" wpadki) od wpływania na rzeczywistość wewnętrzną. Wyrąbywanie własnego miejsca na scenie politycznej w otoczeniu silnych graczy (do tej roli aspiruje też Szymon Hołownia) nie idzie mu dobrze.

Prezydent nie ma cech wojownika, jest raczej osobą o umiarkowanych poglądach i łagodnym charakterze, więc gdy pozuje na stanowczą głowę państwa, wypada sztucznie. Nie jestem też pewien, czy dynamiczny Marcin Mastalerek, który ożywił Pałac po okresie marazmu i odejść ważnych urzędników – ostatecznie nie stanie się problemem dla Dudy. Obsadza go w rolach, do których nieśmiały inteligent z Krakowa zwyczajnie się nie nadaje. Stres go mocno blokuje, czego wyrazem są zaskakujące kłopoty z angielskim podczas wystąpień publicznych, mimo coraz sprawniejszego posługiwania się przez prezydenta tym językiem.

Próby ratowania Kamińskiego i Wąsika za pomocą Trybunału i uczynienia z nich filarów nowej narracji prawicy o pełzającym zamachu stanu nie robią wrażenia na społeczeństwie, a notowania PiS i Dudy dołują. To brzmi jak zaproszenie dla Tuska do kolejnej rozprawy – z samym Trybunałem. Unieważnienie uchwały Sejmu, na podstawie której powołano w 2015 r. trzech sędziów dublerów, oznacza *de facto* pełnoskalową wojnę. Czyli ignorowanie przez koalicję rządzącą wyroków TK, a potem anihilację tej instytucji w jej obecnym kształcie; istnieją wątpliwości co do tego, czy Krystyna Pawłowicz i Stanisław Piotrowicz nie byli zbyt starzy w chwili powołania, oraz w kwestii uznania, czy kadencja Julii Przyłębskiej trwa, czy też zakończyła się rok temu.

Fakt, że w TK ta ostatnia sprawa podzieliła nawet nominatów prawicy, może wróżyć, iż niektórzy odejdą w stan spoczynku (z godną pensją), zamiast „umierać" za Kaczyńskiego, Ziobrę i Dudę. W koalicji panuje przekonanie (nie do końca podzielane przez Trzecią Drogę), że pod silnym naciskiem będą pękać struktury starej władzy w kolejnych instytucjach, i że warto ryzykować, bo koszty okażą się akceptowalne dla państwa. Stąd też jesteśmy świadkami ostrej gry zarówno w prokuraturach, jak i w sądach, obfitującej w kolejne dymisje na wysokich szczeblach, których nie uznaje opozycja i prezydent. W sądach dochodzi też do konsolidacji środowisk, które poddawane były przez ostatnie osiem lat szykanom – widzimy to choćby w postaci apelu 37 sędziów Sądu Najwyższego o ustąpienie wszystkich prezesów oraz podobnego apelu 176 krakowskich sędziów do ministra o odwołanie ich szefów w okręgu. To daje Adamowi Bodnarowi mandat do dalszych działań, także kontrowersyjnych.

Jednym z frontów jest prokuratura, w której panuje dwuwładza, a po odwołaniu z delegacji 144 prokuratorów związanych ze starą ekipą grozi jej także chaos w śledztwach, na co zwraca uwagę RPO. Tak naprawdę jednak to wszystko jest czasowe. Zarówno prokuratorzy, jak i sędziowie w zdecydowanej większości zaakceptowali zmiany. Widać je ponoć nawet na poziomie sekretariatów i administracji. Tej batalii Tusk już nie przegra. ©℗

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Cena Wąsika

MAREK RABIJ

Budżet na rok 2024 mamy wreszcie uchwalony. Ustawę podpisał nawet prezydent. Teraz o legalności jej przyjęcia wypowie się Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej obsadzony przez polityków PiS-u, czyli organ, którego legalność kwestionuje dla odmiany aktualna koalicja rządząca. Jakie by nie były dalsze losy polskiej ustawy budżetowej i zapisanych w niej 866 mld zł, jedno wydaje się pewne. Właśnie zaczynamy, jako państwo, kosztowną i ryzykowną zabawę.

Kraje, jak politycy, mają różną wiarygodność. Ta zaś bierze się z przewidywalności, którą zapewniają sprawne instytucje.

Najnowsze badania ekonomistów pokazują, że dla inwestorów kluczowa w wyborze miejsca do zaparkowania dużego kapitału jest właśnie wiarygodność instytucji – a nie godzina pracy robotnika w cenie gumy balonowej. To samo dotyczy obligacji państwowych. Im bardziej nieprzewidywalne jest państwo, któremu inwestorzy pożyczają pieniądze, tym więcej każą sobie płacić za takie ryzyko.

Oprocentowanie polskich obligacji trzyletnich wynosi dziś ok. 4,9 proc. Dziesięcioletnich – 5,24 proc. W tym samym czasie Pakistan zadłuża się na dekadę, płacąc inwestorom 15 proc. Rosja za swój dług musi płacić 12,35 proc. Turcja – aż 26,47 proc. Wpływ na ten koszt mają też stopy procentowe, ale kluczowa pozostaje wiarygodność samego dłużnika.

W tym roku państwo polskie będzie musiało pożyczyć co najmniej 420,6 mld zł. Co najmniej, bo taka kwota widniała w dokumentach opracowanych jeszcze przez rząd PiS, który deficyt budżetowy szacował na poziomie o 19 mld zł niższym od wersji przyjętej przez nowy parlament. Od październikowych wyborów oprocentowanie polskich papierów dłużnych zmalało, w zależności od ich rodzaju, o 0,5-0,7 punktu procentowego. O ponad 30 groszy potaniał także dolar amerykański. To wszystko przełożyło się już na zmniejszenie tzw. kosztu obsługi długu o ok. 12 mld zł. W budżecie, który zakłada w tym roku wydanie 866 mld zł, nie jest to oczywiście znacząca kwota, ale jeśli prezydent i rząd pójdą na wojnę totalną, zamiast oszczędności zobaczymy wkrótce wzrost kosztów. Politycy mogą nazwać to jak chcą, ale będą to po prostu koszty utraconej wiarygodności. ©℗

Wojna na wirażu

WOJCIECH KONOŃCZUK

Po długich negocjacjach w Unii Europejskiej udało się pokonać węgierskie weto i przyjąć pakiet wsparcia dla Ukrainy do 2027 r. o wartości 50 mld euro. Suma jest niebanalna, ale by domknąć budżet, Kijów musi w ciągu najbliższego roku pozyskać za granicą jeszcze ok. 25 mld dolarów.

Tymczasem choć pomoc finansowa jest ważna, to o przetrwaniu kraju i wyniku wojny zdecydują dostawy broni i amunicji. Z tymi jest zaś coraz gorzej. Państwom UE nadal nie udało się uzgodnić warunków dalszego finansowania pomocy wojskowej. Negocjowane jest stworzenie Funduszu Wsparcia Ukrainy, w którym pierwotnie miało się znaleźć 20 mld euro. Dla części członków Unii okazało się to jednak sumą zbyt hojną i stopniała ona do 5 mld euro. Ponadto Ukraina wciąż czeka na obiecane do końca marca 2024 r. unijne dostawy miliona pocisków artyleryjskich (dotąd dostarczono 300 tys.).

Znacznie ważniejsza jest pomoc wojskowa USA. Jednak od kilku miesięcy w Kongresie trwa gorący i gorszący spór o zatwierdzenie nowego pakietu o wartości 61 mld dolarów. Bez niego ukraińska armia będzie mieć potężne problemy z powstrzymywaniem natarcia, Amerykanie odpowiadają bowiem za dostawy 80 proc. amunicji. Coraz większy bałagan za oceanem sprawia, że Ukraina stała się mimowolnym zakładnikiem walki wewnątrzpolitycznej w Stanach – i w najgorszym scenariuszu tych środków w ogóle nie będzie. W najlepszym, w który wierzy Kijów, Republikanie „pogrillują" jeszcze prezydenta Bidena, ale pieniądze w końcu odblokują.

Na Ukrainie głośnym tematem są zaś pogłoski o zbliżającej się dymisji gen. Wałerija Załużnego, głównodowodzącego siłami ukraińskimi. W ostatnich miesiącach nie ma chemii między nim a prezydentem Zełenskim, który najwidoczniej decyzję już podjął. Tymczasem armia, mimo niedawnych porażek w okolicach Kupiańska, skutecznie się broni, choć presja rośnie. Rosjanie mają nawet pięciokrotną przewagę w sile ogniowej, bo oni na deficyt amunicji artyleryjskiej nie narzekają.

Na Kremlu rośnie przekonanie, że pogłębiające się zachodnie problemy z dalszym wsparciem Ukrainy doprowadzą w końcu do rosyjskiego zwycięstwa. Bo choć Zachód ma wielokrotną przewagę potencjałów gospodarczego i wojskowego nad Rosją, to musi mieć wolę polityczną, by ich użyć. Rosja ma mniejszy potencjał, ale determinację do jego użycia. ©

Francuskie fabryki produkują rocznie tylko 20 tys. pocisków artyleryjskich 155 mm. To tyle, ile Ukraińcy zużywają w kilka dni. Na zdjęciu: fabryka koncernu Nexter w Bourges, kwiecień 2023 r.

BLONDET ELIOT / ABACA / PAP

MATERIAŁY PRASOWE PREZYDENT.PL

PROF. PIOTR SZUKALSKI, DEMOGRAF:

Bez mieszkań nie będzie w Polsce więcej dzieci

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: W 2023 r. urodziło się 272 tys. dzieci. Najmniej od II wojny światowej.
PIOTR SZUKALSKI: I o 11 proc. mniej niż w roku poprzednim. Jest też nowy powód do niepokoju. Przez ostatnie dwie dekady współczynnik dzietności, czyli liczba urodzeń na jedną kobietę w wieku rozrodczym, oscylował w granicach niskiego, ale stabilnego 1,2-1,4 – a coraz niższa roczna liczba urodzeń wynikała z tego, że kobiety z wyżu lat 70. i 80. wychodziły z najlepszego wieku do rodzenia. Teraz ten współczynnik spadnie najpewniej do 1,17. I raczej nie ma nadziei na lepsze jutro. W grudniu urodziło się po raz pierwszy w historii mniej niż 20 tys. dzieci. To oznacza, że spadki nie są wynikiem chwilowej niepewności – np. spowodowanej wojną – ale czegoś głębszego.

Czego?
Wchodzące w najlepszy do rodzenia wiek pokolenie Z podchodzi do rodziny i rodzenia radykalnie inaczej niż wcześniejsze generacje. Rzadziej, niż sądziliśmy, definiuje życiowy sukces przez pryzmat rodziny i potomstwa.

Może lekiem dla starzejącego się polskiego społeczeństwa okażą się Ukraińcy?
Kilka lat temu odpowiedziałbym jednoznacznie: tak. Teraz nabieram wątpliwości. Oczywiście, Ukraińcy nas odmładzają i zapełniają luki na rynku pracy. Ale w dobie sztucznej inteligencji za 5, 10 lat może się okazać, że w Polsce nie będzie problemu braku rąk do pracy, za to pojawi się problem związany z koniecznością przekwalifikowywania pracowników.

Co w takim razie – poza np. świadczeniami i infrastrukturą opiekuńczą – może poprawiać rząd?
Powinien ułatwiać budowanie mieszkań. Nawet wśród „Zetek" są tacy, którzy chcieliby mieć dzieci, albo mają już jedno i chcieliby mieć drugie – ale bez lokum o odpowiedniej wielkości się na to nie zdecydują. Byłbym za tym, by np. stworzyć preferencyjny program kredytowo-mieszkaniowy dla deklarujących chęć posiadania potomstwa, albo pomagać w spłaceniu kredytu tym, którym urodziło się kolejne dziecko. To działanie konieczne: nie będzie w Polsce więcej dzieci bez większej liczby mieszkań. ©℗

DR HAB. PIOTR SZUKALSKI *jest demografem, profesorem na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego.*

NA PUNKTY

PROPAGOWANIE UROJEŃ
Sąd nakazał Antoniemu Macierewiczowi przeprosić Donalda Tuska, Tomasza Siemoniaka i Radosława Sikorskiego za przypisywanie im ukrywania sprawców katastrofy smoleńskiej. „Zostaje gniew, że takiemu cynicznemu świrowi ktoś dał władztwo nad wojskiem polskim i środki publiczne na propagowanie urojeń" – skomentował wyrok, raczej niedyplomatycznie, szef dyplomacji.

PROPAGOWANIE WIZJI
Marszałek Sejmu tymczasem wypowiedział się o paleniu zioła. „Oczywiście, że trzeba przede wszystkim zdepenalizować posiadanie na użytek własny. Państwo ma naprawdę inne rzeczy do roboty niż ganianie za to, że jest jeden skręt czy dwa marihuany gdzieś" – powiedział Szymon Hołownia, zastrzegając wszakże, że nie wypowiada się na temat „potencjału uzależniającego, który ten środek ma".

PROPAGOWANIE POTENCJAŁU
Prezes PiS tymczasem skomplementował potencjał intelektualny kandydata tej partii na prezydenta stolicy Tobiasza Bocheńskiego: „Trzeba być bardzo intelektualnie wyrobionym i znającym historię myśli europejskiej i myśli wolnościowej człowiekiem, by w pełnej świadomości podejść do tych wszystkich problemów". ©℗

Zuckerberg się tłumaczy

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

„Przepraszam" nie jest słowem, którego Mark Zuckerberg (na zdjęciu) używał publicznie zbyt często. Tym razem nie miał wyjścia. Założyciel Facebooka wezwany przez amerykański Senat stanął przed rodzicami dzieci, które stały się ofiarami patologii internetu: przemocy, pedofilii, prowadzących do samobójstwa problemów z samooceną.

„Czy przeprosił pan tych ludzi?" – pytał senator Josh Howley. Zuckerberg, który sam jest ojcem trzech córek, uległ presji. „Nikt nie powinien przechodzić przez to, co wycierpiały wasze rodziny" – powiedział, a potem zapewniał, że jego firma stara się chronić najmłodszych użytkowników.

ANDREW CABALLERO-REYNOLDS / AFP

Media społecznościowe od lat są oskarżane o to, że dochód jest ich priorytetem. Trzy lata temu sygnalistka Frances Haugen przedstawiła Kongresowi wewnętrzne dokumenty Mety (spółki matki Facebooka), z których wynika, że firma wiedziała, iż Instagram i inne jej produkty mają destrukcyjny wpływ na zdrowie psychiczne dzieci. I nic z tym nie zrobiła.

Oprócz Zuckerberga przed Kongresem tłumaczyć się musieli także prezesi X (dawnego Twittera), Discorda, Snap. Inc (właściciela Snapchata) i TikToka. „Wasze produkty zabijają ludzi" – wygarnął im senator Lindsey Graham, a przewodniczący komisji Dick Durbin wyliczał, że Discord i Instagram używane są do molestowania dzieci, znikające wiadomości Snapchata pomagają je okradać, a w X wzrosła liczba treści pedofilskich, bo „firma zniszczyła zespół odpowiedzialny za bezpieczeństwo" (była to pierwsza decyzja Elona Muska, gdy ponad rok temu kupił platformę).

Kongresmeni ani użytkownicy nie wierzą już w dobre intencje prezesów mediów społecznościowych. Według zeszłorocznego globalnego badania IPSOS zaledwie 22 proc. użytkowników uważa, że firmy tworzące media społecznościowe są godne zaufania. Dla porównania, firmy farmaceutyczne, które często są przedmiotem teorii spiskowych, zdobyły zaufanie 34 proc. ankietowanych. Jednocześnie 43 proc. użytkowników uważa, że media społecznościowe powinny być zdecydowanie mocniej kontrolowane przez państwo. ©

Jak uwolnić pustostany

BEATA CHOMĄTOWSKA

Ok. 60 tys. mieszkań w Krakowie stoi pustych, choć nie brak na nie chętnych. Zwykle tłumaczy się to spekulacyjnymi zapędami właścicieli, którym bardziej opłaca się zarabiać na samej rosnącej wartości lokalu niż na wynajmie. Sytuacja jest jednak bardziej skomplikowana. Oprócz chciwych kamieniczników jest grupa osób, które mieszkanie odziedziczyły lub kupiły z myślą o dzieciach lub wnukach. Przed wynajmem powstrzymuje ich obawa, że trafią na nieuczciwego najemcę. Część zapewne udostępniłaby mieszkania lokatorom, gdyby przepisy dotyczące najmu zmodyfikowano w kierunku równości ochrony najemcy i wynajmującego. Bo dziś wygląda to tak, jakby państwo przerzucało na prywatnych właścicieli konstytucyjny obowiązek prowadzenia polityki służącej zapewnieniu obywatelom dachu nad głową. Punktem odniesienia mogłyby być rozwiązania z rynków o bardziej ugruntowanym prawie własności i dłuższych tradycjach najmu, jak Wielka Brytania, Niemcy czy Francja.

Minęły już w Polsce czasy, gdy 99 proc. umów najmu zawierano długoterminowo z indywidualnymi właścicielami. Takich jest wciąż najwięcej – zwykle dorabiają do średniej krajowej wynajmem jednego lokalu, z którego sami wcześniej korzystali. Jednak rośnie rola wyspecjalizowanych prywatnych funduszy (w 2022 r. kupiły lokale za 1,8 mld euro, często jeszcze w budowie). Podobnie było w Berlinie, gdzie zdominowały rynek, a zmęczeni windowaniem cen mieszkańcy zażądali w końcu ich wywłaszczenia. Od lat i u nas trwa lobbing na rzecz tych podmiotów: w 2021 r. resort rozwoju wycofał się z prac nad przepisami utrudniającymi funduszom zakupy.

Być może wspólne zagrożenie zjednoczy zwykłych obywateli: właścicieli i najemców, uaktywniając ich w poszukiwaniu korzystnych dla obu stron rozwiązań, które pomogłyby uwolnić część pustostanów. Na razie prognozy wzrostu cen mieszkań się nie zmieniają: w dużych miastach najem będzie zyskiwał na znaczeniu. ©

KEVIN DIETSCH / GETTY IMAGES

Dyrektor FBI Christopher Wray (po prawej) przed komisją Izby Reprezentantów ds. rywalizacji między USA a Chinami. Waszyngton, 31 stycznia 2024 r.

Chińscy hakerzy sieją chaos

CYBERWOJNA ▪ FBI twierdzi, że udało mu się zapobiec potencjalnie niszczycielskiemu cyberatakowi wymierzonemu w amerykańską infrastrukturę krytyczną. Dyrektor FBI Christopher Wray zeznał przed specjalną komisją w Izbie Reprezentantów, że chińscy hakerzy planowali uderzyć m.in. w przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, dostawców usług internetowych i porty morskie.

Grupa Volt Typhoon miała przejmować kontrolę nad routerami, modemami czy kamerami bezpieczeństwa, zwykle w niewielkich biurach, gdzie nie instalowano poprawek zabezpieczeń od producentów. Dzięki temu napastnicy zdobywali przyczółki do przeprowadzenia ataku w pobliżu newralgicznych instalacji. Ślady złośliwego oprogramowania zainstalowanego przez Volt Typhoon wykryto m.in. nieopodal zakładu wodociągowego na Hawajach, głównego portu na zachodnim wybrzeżu USA oraz co najmniej jednego rurociągu naftowego i gazowego.

„Hakerzy przygotowywali się do siania chaosu i wyrządzania realnych szkód obywatelom USA. Gdy Chiny zdecydują, że nadszedł czas na uderzenie, nie skupią się wyłącznie na celach politycznych czy wojskowych" – mówił Wray. Jego zdaniem do takiego ataku może dojść w przypadku zaostrzenia konfliktu o Tajwan. Szef FBI podkreślał, że amerykańską cyberobronę należy jak najszybciej wzmocnić. „Gdyby wziąć każdego cyberagenta i analityka FBI, a ich pracę skoncentrować wyłącznie na zagrożeniu ze strony Chin, chińscy hakerzy nadal mieliby przewagę liczebną nad personelem cybernetycznym FBI co najmniej 50 do 1" – powiedział.

To, co zrobili chińscy hakerzy, jest – zdaniem przewodniczącego komisji Mike'a Gallaghera – „odpowiednikiem umieszczania bomb na amerykańskich mostach, stacjach uzdatniania wody i elektrowniach": „Te działania nie przynoszą żadnych korzyści ekonomicznych. Nie ma żadnego uzasadnienia dla gromadzenia danych wywiadowczych poza jedynym celem, jakim jest przygotowanie do zniszczenia amerykańskiej infrastruktury, co nieuchronnie doprowadziłoby do chaosu, zamieszania i potencjalnie dużej liczby ofiar".

Pekin zaprzecza tym oskarżeniom. Ministerstwo Spraw Zagranicznych Chin określiło je jako „bezpodstawne" i „skrajnie nieodpowiedzialne", dodając, że to USA są „inicjatorem i mistrzem cyberataków". „Od zeszłego roku chińskie agencje ds. bezpieczeństwa sieci publikują jeden po drugim raporty, z których wynika, że rząd USA od dawna przeprowadza cyberataki na kluczową infrastrukturę Chin. Taka nieodpowiedzialna polityka i praktyki narażają globalną infrastrukturę krytyczną na wielkie ryzyko" – oświadczył rzecznik MSZ Wang Wenbin. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

Duszpasterze zdrowia psychicznego

WATYKAN ▪ „Kiedyś będziemy ich w stanie skuteczniej leczyć, na razie musimy ich bardziej wspierać" – napisał Ed Schoener o osobach cierpiących na chorobę afektywną dwubiegunową. W 2016 r. jego córka, Katie, jedna z takich osób, popełniła samobójstwo. Po jej śmierci Schoener, diakon stały przy katedrze w Scranton (Pensylwania), założył katolickie stowarzyszenie pomagające osobom w kryzysie psychicznym i ich rodzinom. W ubiegłym tygodniu zorganizowali w Watykanie pierwsze w historii warsztaty dla duszpasterzy zdrowia psychicznego.

– Księża, którzy opiekują się duchowo osobami w kryzysie psychicznym, np. kapelani w szpitalach psychiatrycznych, rzadko znajdują wsparcie i zrozumienie dla specyfiki swej pracy. Nawet u swoich biskupów – mówi „Tygodnikowi" Schoener, opowiadając o warsztatach.

Wzięło w nich udział 20 osób z sześciu krajów. Byli wśród nich, poza kapelanami i opiekunami osób chorych, także biskupi, którzy chcą zorganizować podobne duszpasterstwa, przełożeni zakonów i urzędnicy kurii rzymskiej.

Stowarzyszenie zrzesza duchownych i świeckich, którzy we wspólnotach parafialnych opiekują się osobami w kryzysie psychicznym. Współpracę z Watykanem nawiązało trzy lata temu, podczas pandemii. Na jego prośbę papież ogłosił listopad 2021 r. miesiącem modlitwy za osoby z depresją i wypalone zawodowo. Franciszek wiele razy wypowiadał się na temat współczesnych zagrożeń dla zdrowia psychicznego, podobnie jak jego poprzednicy (zwłaszcza Benedykt XVI, autor jedynego jak dotąd papieskiego orędzia na Światowy Dzień Chorego poświęconego w całości chorobom psychicznym). Niestety, troska papieży w niewielkim stopniu przekłada się na zmianę podejścia do osób w kryzysach w całym Kościele. Powodem jest, z jednej strony, społeczna stygmatyzacja osób cierpiących na tego typu zaburzenia, z drugiej – niekompetencja duszpasterzy, którzy mylą problemy psychiczne z duchowymi, udzielając porad nieskutecznych czy wręcz szkodliwych.

Stowarzyszenie Katolickich Opiekunów Zdrowia Psychicznego jest gotowe dzielić się swym doświadczeniem i wiedzą z wszystkimi zainteresowanymi. Diakon Schoener wierzy, że Kościół nie tylko jest w stanie otoczyć chorych i ich bliskich duchową opieką, ale też skutecznie walczyć ze społecznym wykluczeniem, jakiego od wieków doświadczają. Materiały z watykańskich warsztatów zostaną już wkrótce udostępnione na stronie internetowej stowarzyszenia: www.catholicmhm.org.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Kanał Zero, czyli kogo wybiorą wasi synowie

YOUTUBE ▪ Krzysztof Stanowski, niegdyś dziennikarz sportowy, ostatnio youtuber, od zawsze self-made man, ogłosił – podczas wywiadu z Andrzejem Dudą – zamiar kandydowania na prezydenta. Trzeba przyznać: jego drogę życiową od początku wyznaczały brawurowe decyzje.

Przed laty rzucił pracę w prasie i zaczął reprezentować firmy bukmacherskie, z którymi rozkręcił przedsięwzięcia medialno-biznesowe w sieci. Namówił bardziej wówczas znanych kolegów do założenia na YouTube Kanału Sportowego, a gdy uznał, że zarabiając krocie spoczęli na laurach – odszedł i uruchomił Kanał Zero.

Mądrzejszy o sukcesy realizowanych w poprzednim projekcie programów wychodzących poza profil sportowy (np. rozmowy z ekspertami Ośrodka Studiów Wschodnich po agresji Rosji na Ukrainę), zaprosił do współpracy ludzi zajmujących się nie tylko futbolem, ale też kinem, popkulturą, prawem, gospodarką, medycyną czy bezpieczeństwem.

Pierwszym wspólnym mianownikiem jego nowych współpracowników są tzw. zasięgi, drugim fakt, że wszyscy reprezentują dziedziny atrakcyjne dla młodych mężczyzn, socjalizujących się i szukających wiedzy o świecie właśnie za pośrednictwem YouTube'a.

Zanim jeszcze Kanał Zero rozpoczął działalność, miał w tym serwisie 600 tys. subskrybentów, wywiad z prezydentem – w którym swobodniejszy niż zwykle Duda popełnił *faux pas* mówiąc o statusie Krymu – uzyskał w ciągu pierwszej doby 1,5 mln wyświetleń.

Łatwo Stanowskiego krytykować. Jego komentarze bywają chamskie, zdarzało się, że nagrywał je po pijanemu. Jego szyderstwa z politycznej poprawności przekraczają granicę satyry. Jego związki z bukmacherką bulwersują każdego, kto zna ofiary tego procederu. Generalnie: fundamentem jego „chłopskiego rozumu" zdaje się przekonanie, że wartość człowieka przelicza się na „suby"; tak też formuje się światopogląd wielu jego odbiorców.

Z drugiej strony trudno nie przyznać mu racji, gdy obnaża samozadowolenie i miałkość tradycyjnych mediów, np. demaskując łatwość, z jaką robi w nich karierę celebrytka Natalia Janoszek. A przede wszystkim: jego niewątpliwy sukces jest ilustracją zjawisk opisanych przez Jacka Dukaja w eseju „Po piśmie". Świat się zmienił i trudno się o to obrażać.

„Chciałbym zobaczyć, jak to jest być kandydatem na prezydenta, a nie da się tego zrobić inaczej, niż startując w wyborach" – zadeklarował Stanowski, pytając Dudę, czy doradza mu taki ruch, ten zaś odpowiedział, że doradza, jeżeli twórca Kanału Zero będzie miał wokół siebie poważną grupę osób, która chce, by został głową państwa. „Jest to grupa niepoważna, ale może być liczna" – brzmiała riposta twórcy Kanału Zero. Grupa dająca się zmonetyzować, dodajmy.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Krzysztof Stanowski prezentuje swój nowy projekt.

KANAŁ ZERO / YOUTUBE

Dlaczego owady krążą wokół lamp?

EWOLUCJA ▪ Już w starożytnym Rzymie stosowano świetlne pułapki na irytujące nocne owady, bo wiedziano, że lampa je przyciąga – zaczynają wokół niej krążyć i mogą nawet wlecieć do ognia. W czasach bardziej współczesnych powstało kilka hipotez, które tłumaczyły te zachowania. Jedna z nich głosiła, że owady kierują się nocą w stronę światła, tak jakby nawigowały w gęstwinie i zauważyły szczelinę pomiędzy liśćmi. Wedle innych hipotez owady przyciąga promieniowanie cieplne, ponieważ dzięki niemu mogą wykryć nocą partnerów lub pożywienie (organizmy wydzielają ciepło i emitują to promieniowanie), albo też światło zwyczajnie oślepia owady i sprawia, że ich lot staje się chaotyczny. Sugerowano również, że owady mogą mylić lampy z... księżycem, według którego nocą orientują się w przestrzeni.

Zespół Samuela Fabiana z Imperial College London przedstawił właśnie w „Nature Communications" dowody przemawiające za jeszcze innym wyjaśnieniem. Jak ustalili badacze, zachowanie owadów tłumaczy ich bezwarunkowa reakcja, polegająca na ustawianiu się w locie zawsze grzbietem do najjaśniejszego źródła światła. Takie zachowanie w naturalnych warunkach pomaga orientować się w przestrzeni, ponieważ rozświetlone niebo – czy to za dnia, czy nocą, pod wpływem księżyca i gwiazd – znajduje się zawsze u góry. Owady mają więc pewny punkt odniesienia, co musi być dla nich bezcenne, biorąc pod uwagę to, że w locie, targane wiatrem, mierzą się z dużymi przeciążeniami, które uniemożliwiają im orientowanie się pod wpływem grawitacji. Ewolucja, która wykształciła owadzią reakcję ustawiania się grzbietem do źródła światła, nie mogła oczywiście przewidzieć powstania ludzkiej cywilizacji, która mroki nocy rozświetlać będzie sztucznym światłem, dezorientującym dla owadów.

Samuel Fabian i współpracownicy udokumentowali swoją hipotezę setkami nagrań owadów należących do kilkunastu rzędów. Ustawiali światło w różnych położeniach i pod różnym kątem, a potem rejestrowali czułymi kamerami trajektorie lotów owadów. A te kręciły piruety wokół lamp, przelatywały nad nimi skierowane grzbietem do dołu i nie mogły się od nich oderwać, jakby związane niewidzialnymi nićmi i wewnętrznym przymusem nieustannej korekty kursu.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

TEMAT TYGODNIKA

WIĘCEJ NIŻ BÓL

DR EWA CZAPIŃSKA-CIEPIELA, NEUROLOŻKA:

Migrena jest niepełnosprawnością, najczęstszą wśród młodych kobiet. Nie mogą wykonywać pracy, zajmować się domem ani nawet sobą. Leżą i nie są w stanie nic zrobić.

MARIA HAWRANEK: Dlaczego zajęła się Pani migreną?

DR EWA CZAPIŃSKA-CIEPIELA: Historia rodzinna. Mój tata jako młody neurolog stworzył w Krakowie przychodnię, w której leczył migrenę i padaczkę. Migrenę ma moja mama, a ja już jako nastolatka zaczęłam doświadczać aury migrenowej. Na studiach wszyscy uważali, że przyszli lekarze muszą być ze stali. Moja migrena trochę się nie wpisywała w te studia. Mam poczucie, że ona się w ogóle mało wpisuje w nasz świat.

Czym jest aura migrenowa?

Aura przepowiada przybycie migreny, przy czym takich przepowiadaczy jest więcej – rozdrażnienie, ochota na zjedzenie czegoś słodkiego lub słonego, częste oddawanie moczu lub ziewanie. To wszystko są tzw. objawy prodromalne, czyli przepowiadające, i każdy migrenik je ma. Natomiast aura migrenowa dotyczy 25 proc. osób, które mają migrenę, i może występować zmiennie – czasem się pojawia, czasem nie. Są trzy rodzaje aur: wzrokowa, czuciowa i afatyczna. Najczęstsza, wzrokowa, dotyczy 90 proc. osób, które miewają aury. To zaburzenie w polu widzenia – pojawia się w nim coś nadmiarowego, migającego, jakiś mroczek – świecący, kolorowy lub czarno-biały.

Taki powidok jak od patrzenia w słońce?

Coś takiego, i on też się przesuwa, tylko trochę wolniej niż powidok. Zwykle to jakaś figura geometryczna, nazywamy ją fortyfikacją. Przesuwa się do połowy pola widzenia, a za nią idzie niedowidzenie – połowa obrazu staje się czarna. Zazwyczaj to trwa od pół godziny do godziny, potem wygasa.

I po niej idzie kolejna aura?

Nie musi, ale może. Na przykład czuciowa – drętwienie stopy, ręki, mrowienie albo uczucie jak po poparzeniu pokrzywą. To mrowienie wędruje – zazwyczaj idzie w kierunku głowy, niezależnie od tego, czy wyszło z nogi, czy z ręki.

Można to chyba pomylić z udarem?

Tak, pacjenci przy pierwszym epizodzie często się stresują, wtedy najlepiej zgłosić się na pogotowie. Jeśli już ktoś ma diagnozę i wie, w jakiej sekwencji pojawiają się te objawy, to już się tak bardzo nie boi.

Aura afatyczna związana jest z mówieniem?

To niemożność mówienia albo rozumienia mowy. Pacjenci nie mogą czegoś powiedzieć, zrozumieć SMS-a albo go napisać.

Też łatwo pomylić z udarem.

Objawy są takie same. Różnica polega na tym, że w migrenie objawy następują po sobie. Czyli jak już zaniknie niedowidzenie, to pojawia się drętwienie. A jak zaniknie drętwienie, to pojawia się afazja.

Jednak większość osób nie doświadcza aury. Zatem jaki impuls sprawia, że się do Pani zgłaszają?

Migrena ma podłoże genetyczne, więc jak ktoś już miał ją w rodzinie, to się orientuje, czym może być ten straszny ból głowy. Ale impulsem do szukania pomocy jest siła bólu. Pacjenci cierpią. Czasami wcześniej potrafili ból przerwać lekami, ale w pewnym momencie przestały pomagać, wtedy się zgłaszają. Przychodzą też dlatego, że migrena trwa dwa-trzy dni, pojawia się często i zaczyna ich pozbawiać różnych wydarzeń życiowych czy choćby możliwości pracy. Bywają też zaniepokojeni dziwnością tego bólu, podejrzewają guza mózgu. Często trafiają do mnie pacjenci, którzy już od dawna szukają pomocy, ale ich problem pozostał nierozwiązany. Z badania „Migrena w Polsce", które przeprowadziliśmy z innymi lekarzami zajmującymi się tą chorobą, wynika, że polscy migrenicy czekają średnio dwa lata od wystąpienia bólu, by pójść do specjalisty. Najczęściej zgłaszają się do lekarza rodzinnego albo od razu neurologa. Kolejne dwa lata czekają na poprawną diagnozę. W gabinecie często słyszą, że ból ma inne podłoże: zapalenie zatok, alergia, a może to stres – to ostatnie szczególnie często słyszą dzieci. Skoro pacjenci dwa lata czekają na poprawną diagnozę, to znaczy, że przez cały ten czas nie są też poprawnie leczeni.

Nawet jeśli otrzymują poprawną diagnozę, to mogą usłyszeć, że niewiele da się z tym zrobić.

Rzeczywiście, często pacjentki mi mówią, że po drodze usłyszały: taka pani uroda, nic się nie da z tym zrobić. Nadal rozpowszechnione jest przekonanie, że z migreną trzeba jakoś żyć. Mało kto wie, jak ją leczyć, choć to nie jest przecież wiedza tajemna. Lekarze często nie chcą się dowiedzieć, bo im się wydaje, że to jest taka mało ważna rzecz. Błahe schorzenie.

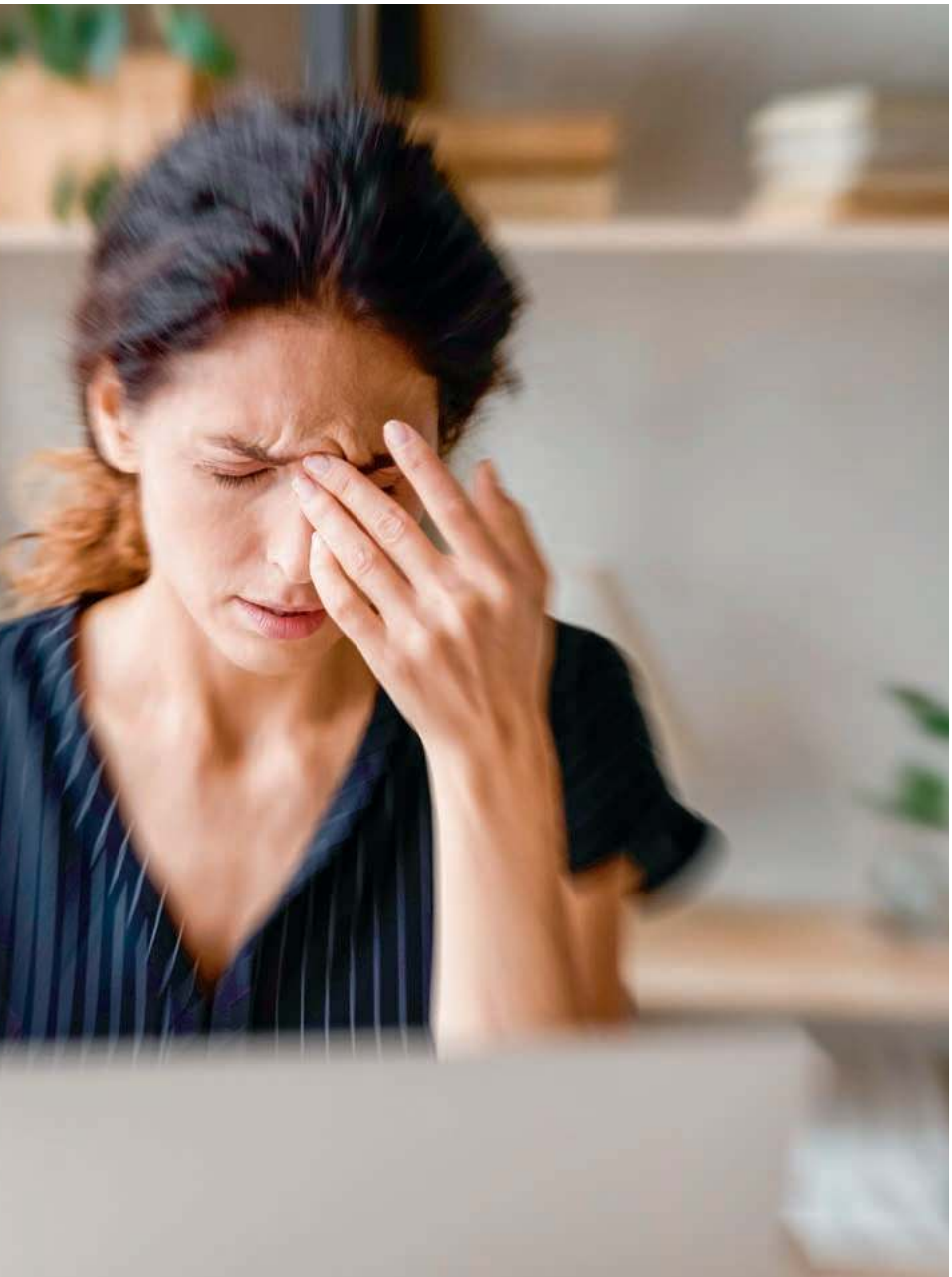

FIZKES / SHUTTERSTOCK

A przy tym dotyczące kobiet.

Trzy razy więcej kobiet niż mężczyzn cierpi na migrenę. Nasze hormony, ich gwałtowny spadek i wzrost w obrębie cyklu miesięcznego, przyczyniają się do tego, że geny migrenowe u kobiet częściej się aktywują. Wiele kobiet cierpi na migreny okołomiesiączkowe, okołoowulacyjne lub okołomenopauzalne.

Czy migrena to może być mityczny globus z XIX-wiecznych powieści?

Myślę, że tak. Albo melancholia – bo depresji wówczas nie diagnozowano. Osoba, która ma migrenę, zachowuje się dość specyficznie: chce leżeć w ciemnym i cichym pomieszczeniu, najlepiej w ogóle się nie ruszać, a już szczególnie głową, bo każdy ruch ciała tę migrenę nasila. Takie zachowanie pacjenta pozwala nam zresztą odróżnić migrenę od klasterowego bólu głowy.

A co to takiego?

Inny rodzaj bólu głowy, który jest tak dojmujący, że pacjent ma ochotę sobie coś zrobić – biega jak oszalały, z desperacji wali głową w ścianę, żeby tylko ten ból chociaż trochę zelżał. Ten ból z kolei częściej dotyka mężczyzn.

Jakieś inne niż płeć czynniki wpływają na migrenę?

Pora roku. Pacjenci gorzej czują się na wiosnę i pod koniec zimy. Jest to podobno związane z brakiem witaminy D, bo migrena w ogóle częściej występuje w naszej szerokości geograficznej, gdzie jest mniej słońca i pory roku są bardziej wyraźne. Z kolei w Skandynawii najgorszym momentem jest maj i czerwiec, gdy zaczyna się lato polarne. Nie do końca wiadomo, czemu tak jest. Na pewno na migrenę ma wpływ szyszynka, czyli ta struktura mózgu, która reaguje na ilość i intensywność światła. Z mojego doświadczenia wynika, że w Polsce zaostrzenia migreny są na wiosnę i jesienią, kiedy zachodzą największe zmiany pogodowe. Po burzach czy dużych skokach temperatur wszyscy pacjenci raportują, że mieli migrenę. ↦

Mieć migrenę – to nie brzmi aż tak poważnie.

A według statystyk migrena jest najczęstszą przyczyną niepełnosprawności wśród młodych kobiet, jeśli weźmie się pod uwagę dni życia przeżyte z niepełnosprawnością. Niepełnosprawnością rozumianą w takim sensie, że nie możesz funkcjonować. Wykonywać pracy, zajmować się obowiązkami domowymi ani nawet sobą. Leżysz i nie jesteś w stanie nic robić.

Nie myślałam o tym nigdy w ten sposób. Miałam poczucie, że niepełnosprawność musi być trwała.

Nie musi. Powinniśmy o migrenie mówić w ten sposób, by podkreślać, że to nie jest taki sobie ból głowy, że pójdę na spacer i sobie pooddycham, to mi przejdzie. Wręcz przeciwnie – jak się przejdę na spacer z migreną, to prawdopodobnie ona się nasili. Bo będę iść, będzie świeciło mi w oczy słońce i pojawią się bodźce słuchowe.

Jaki procent populacji cierpi na migrenę?

Około 10-15 proc., według badania The Eurolight Project. Nie objęło ono Polski, ale sądzimy, że u nas jest podobnie.

Jak częste są epizody?

Bardzo różnie, mogą się nasilać lub odpuszczać w ciągu życia. Z reguły to kilka dni w miesiącu, ale migrena może pojawić się kilka razy w roku albo kilkanaście razy w miesiącu.

Proszę opowiedzieć o tym, jak ataki migreny utrudniają życie.

Pewna wykładowczyni dostaje migreny z aurą raz na jakiś czas. Ma aurę wzrokową i afatyczną. Przez trzy kolejne dni ma zaburzone widzenie i mówienie, i trudno jej się skupić. Od czasu do czasu ma ważny wykład. Boi się, że dostanie aury i nie będzie w stanie go wygłosić. Napady migreny pojawiają się raczej w momencie demobilizacji, ale mogłaby jej dostać np. dzień przed wystąpieniem. Dość szybko udało nam się dobrać skuteczne leczenie, również dlatego, że cierpiała na migrenę okołomiesiączkową, czyli raczej przewidywalną. W pozostałych momentach może brać lek, który przerywa objawy.

Opowiem też o pacjencie. Miał przewlekłą migrenę i bardzo go to zawstydzało. Że przecież on jest facetem, powinien być twardy. A żona go musi ratować albo nie potrafi czegoś zrobić w pracy przez ból głowy. Długo dobieraliśmy leczenie, bo miał skutki uboczne niemal wszystkich leków. W końcu udało się osiągnąć cel, jaki stawiamy sobie w terapii – o połowę mniej problemów z migreną. Dzięki temu przestał nadużywać leków doraźnych, z czym miał kłopot, i poprawił się jego ogląd samego siebie.

> Migrenicy gorzej czują się na wiosnę i pod koniec zimy. Jest to podobno związane z brakiem witaminy D. Migrena częściej występuje tam, gdzie jest mniej słońca i pory roku są bardziej wyraźne.

Na blogu „Okiem neurologa" obala Pani mity dotyczące migreny. Jakie są najbardziej szkodliwe?

Jednym z nich jest wspomniane już przekonanie, że migrenę da się rozchodzić. Ono wzbudza u pacjenta poczucie winy, że powinien jakoś sam sobie z tym poradzić, że widocznie robi coś niewystarczająco – za mało się rusza, a może je za dużo czekolady. Chcemy zawsze znaleźć przyczynę i trudno zaakceptować, że ma się po prostu predyspozycje – ale tak bywa.

Czyli to jednak jest uroda, ale z tą urodą można coś zrobić?

Można. Bo kolejny szkodliwy mit brzmi: trzeba cierpieć, taki los. Z migreną nie trzeba się męczyć, nie jesteśmy wobec niej bezradni. Trzeba pójść do lekarza i dopasować takie leki, które będą ją mogły doraźnie przerywać, albo włączyć leczenie zapobiegawcze, zależnie od częstotliwości jej występowania. Należy też pamiętać o chorobach współistniejących z migreną – 20 proc. migreników ma depresję. Z pewnością jest to związane również z tym, jak długo trwa diagnoza i jak często pacjenci są traktowani lekceważąco.

To znaczy?

Wizyta w systemie NFZ-owskim średnio trwa 15 minut, niezależnie od tego, czy jest pierwsza, czy druga. To czas i na wywiad, i na badanie. Jeśli w jednym i drugim nie pojawią się sygnały świadczące o tym, że dzieje się coś poważnego, zagrażającego zdrowiu lub życiu, to lekarz przepisuje jakiś lek przeciwbólowy, czasem dorzuci formułkę, że się od tego nie umiera. Na tym wizyta się kończy. Takie traktowanie wynika z braku czasu, braku wiedzy i chęci wgłębienia się w temat – do pewnego stopnia zrozumiałej, jeśli np. na SOR-ze trzeba się zająć bardziej naglącymi przypadkami. Z kolei w poradni często bywa, że pacjent lub pacjentka za każdym razem trafia do innego lekarza, czyli nie ma ciągłej obserwacji, tylko leczenie z doskoku.

Chciałabym wymienić jeszcze jedno szkodliwe przekonanie. Że migrenę można wyleczyć dbając o skądinąd ważne rzeczy: dobrą dietę, ośmiogodzinny sen, chodzenie do psychoterapeuty i fizjoterapeuty. Oczywiście to wszystko ma znaczenie, ale przez to, że migrena jest tak mało rozpoznana, bywa traktowana ezoterycznie. Pacjenci mogą przeczytać lub usłyszeć, że migrena to np. ukryte wewnętrzne konflikty z ojcem, które w ten sposób się manifestują. Może być tak, że np. traumatyczne wydarzenie z dzieciństwa przełoży się na tendencje do migreny przewlekłej, ale to nie znaczy, że wszystko wyleczymy psychoterapią, bo fizjologiczny mechanizm w mózgu już powstał i trzeba na niego zadziałać lekiem.

No właśnie – na czym ten mechanizm właściwie polega?

Migrena to rozkurcz naczynia oponowego. Impulsy idą z pnia mózgu na zewnątrz, powodując rozszerzenie naczyń oponowych. Pojawia się stan zapalny – naczynia się rozszerzają, co wywołuje ból, bo w okolicy znajdują się receptory bólowe. I to ból pulsujący, bo krew napływa do tego miejsca i jeszcze bardziej je rozciąga. Dlatego każdy ruch boli. Aby przerwać napad migreny – czyli nie tylko uśmierzyć ból, który może wrócić ze zdwojoną siłą, gdy skończy się działanie środków przeciwbólowych, ale całkowicie wyeliminować objawy – stworzono specjalne leki. Nazywają się tryptany. Zmniejszają stan zapalny okołonaczyniowy i powodują obkurczenie naczyń krwionośnych. Tylko że one nie działają punktowo.

ANDRII ZASTROZHNOV / SHUTTERSTOCK

Choroba z płcią

ZMIANY nasilenia migrenowych bólów głowy u kobiet pojawiają się w czasie miesiączki, w ciąży i połogu, podczas karmienia piersią oraz w okresie menopauzy.

■ **MIESIĄCZKA** | Około 10–20 proc. kobiet doświadcza pierwszego napadu migreny w tym samym roku, w którym pojawia się u nich pierwsza menstruacja. Ataki migreny u kobiet cierpiących na migrenę miesiączkową i migrenę zależną od miesiączki pojawiają się mniej więcej dwa dni przed krwawieniem i mogą trwać nawet do trzeciego dnia miesiączki. Objawy tego rodzaju migreny ustępują dopiero w okresie przekwitania. Są one znacznie bardziej nasilone niż objawy migreny, która nie towarzyszy miesiączkom. Dodatkowo u kobiet chorujących na migrenę miesiączkową często występują mdłości i wymioty, taka migrena słabiej poddaje się również leczeniu.

■ **CIĄŻA** | Może przynosić ulgę kobietom cierpiącym na migreny, ponieważ podwyższone stężenie estrogenów i endogennych opioidów podnosi próg bólu, a stabilny poziom hormonów eliminuje główny czynnik wywołujący ataki. Po porodzie wskaźnik nawrotów ataków migreny wzrasta, zwłaszcza w 1. miesiącu. Czynnikiem sprzyjającym nawrotom napadów migreny jest także zaprzestanie karmienia piersią.

■ **MENOPAUZA** | Kobiety w średnim wieku częściej chorują na migrenę. Szacuje się, że w populacji 40-latek częstość jej występowania sięga nawet 25 proc. Mniej więcej po upływie dwóch lat po ustaniu miesiączkowania dolegliwości migrenowe ustępują u około 70 proc. kobiet, jednakże w tym czasie pojedyncze napady migreny mogą być silniejsze.

©℗ MOCH / NA PODSTAWIE ARTYKUŁU DR HAB. N. MED. IZABELI DOMITRZ „MIGRENA U KOBIET – HORMONY, ANTYKONCEPCJA, CIĄŻA", CNS REVIEWS 2019

Zatem jeżeli ktoś ma problem naczyniowy – przebyte zawały, udary, miażdżycę czy nieuregulowane nadciśnienie – to nie powinien tych leków zażywać. Zwykle te schorzenia nie dotyczą młodych kobiet, choć trzeba je mieć na uwadze i pewnie dlatego lekarze się trochę tych leków boją.

Powiedziała Pani wcześniej, że pacjenci nie są poprawnie leczeni, nawet jeśli po kilku latach dostaną odpowiednią diagnozę.

Najczęściej przepisywanym lekiem przeciwbólowym – i to wyszło w naszym badaniu – jest lek z kodeiną. Kodeina uzależnia, dlatego nie jest rekomendowana w leczeniu migreny. Można ją wziąć doraźnie, ale często pacjent dostaje jedną receptę, która potem jest powielana. Niektóre leki z kodeiną nie wymagają recepty, więc pacjent nie ma ograniczeń w dostępie. Zanim się zorientuje, jest uzależniony. A na dłuższą metę kodeina powoduje przewlekłe bóle głowy.

Lek, który ma uśmierzyć ból głowy, powoduje jej przewlekły ból?

Tak, w długofalowym stosowaniu. Niestety tak jest z większością leków doraźnych, czyli stosowanych w napadach migreny. Udowodniono, że te, które zawierają kodeinę, powodują taki efekt najszybciej.

Najlepiej ich w ogóle nie stosować?

Tak. Dlatego próbujemy edukować, m.in. po to zrobiliśmy badanie „Migrena w Polsce", które potwierdziło to, co wiemy z praktyki lekarskiej, mówię też o tym na każdym wystąpieniu na konferencji naukowej. Mogę zrozumieć, że taki lek przepisze lekarz pierwszego kontaktu, ale moje zdziwienie budzi fakt, że nadal przepisują go neurolodzy. Tryptany, czyli te doraźne leki *stricte* przeciwmigrenowe, o których opowiadałam, są dostępne na rynku od 30 lat. Nawet jeśli ktoś obawia się na zapas, że lek ten powoduje skurczenie naczyń krwionośnych, to mamy do dyspozycji nowe, jeszcze bezpieczniejsze leki.

Jakie?

Gepanty to najnowsza generacja leków doraźnych, które nie mają efektu naczynioskurczowego. Działają na jeden receptor, na jedno białko zapalne zwane CGRP, które możemy nazwać głównym neuroprzekaźnikiem migreny. U osób z migreną jego poziom rośnie wraz z napadem migreny, a jeżeli ktoś cierpi na przewlekłą jej odmianę, to w ciągu całego miesiąca poziom tego białka jest podwyższony. Jeśli poda się je komuś, kto jest podatny na migreny, to pojawi się u niego napad. Gepanty w pewnym sensie wyłączają to białko i kończą napad choroby jak skalpel.

Na podobnej zasadzie działają przeciwciała monoklonalne, czyli najnowszej generacji leki profilaktyczne stosowane w leczeniu migreny. Monoklonalność oznacza, że jedno przeciwciało działa przeciwko jednemu czynnikowi – czyli są precyzyjne. Wstrzykuje się je podskórnie, co blokuje białko CGRP albo jego receptor. Ponieważ białko nie może się związać z receptorem, cały szlak migrenowy nie może się dopełnić, to migrena nie powstaje albo zaczyna powstawać, ale kończy się sama. Oczywiście to nie tak, że nagle całkiem nie ma migren, ale jednak u większości osób zdecydowanie zmniejsza się liczba jej napadów.

Leczenie jest kosztowne? Widziałam zrzutkę, na której proszono o 30 tys. zł na roczną terapię. Pieniądze zbierała wyczerpana dziewczyna, która żyje z migreną od 8 lat, a napady zabierają jej 15 dni życia w miesiącu.

Nie znam tej dziewczyny ani jej historii, ale byłabym ostrożna ze zrzutkami. ↦

Wiele osób, które uruchamia zrzutkę, niekoniecznie ma wskazania do danej terapii. Poza tym niektóre terapie można otrzymać w ramach ubezpieczenia. W 2022 r. NFZ uruchomił program leczenia tej choroby i do niego kwalifikują się osoby z przewlekłą postacią migreny. Zwykle leczymy ją dwiema grupami leków: przeciwdepresyjnymi i przeciwpadaczkowymi. To są leki tańsze, ale niekoniecznie gorsze. Nie każdemu pacjentowi od razu chcemy podać przeciwciała.

Dlaczego?

Bo wciąż nie wiemy do końca, jakie są długofalowe skutki ich stosowania – czyli co będzie za 10, 20 lat leczenia. Na razie próbujemy je odstawić po około półtora roku i zobaczyć, co w migrenie słychać, czy nadal jest taka, jaka była. Mamy pewne schematy leczenia i trzeba się nimi precyzyjnie posługiwać. Na terapię przeciwciałami monoklonalnymi trafiają zwykle te osoby, u których inna terapia nie zadziałała. Niektórzy nigdy nie mieli żadnej terapii i od razu chcą przeciwciał, bo słyszeli, że są najlepsze. To nie zawsze tak działa.

Ale ich koszt jest rzeczywiście tak wysoki? 30 tys. zł rocznie?

Są różne sposoby finansowania – np. program stworzony przez firmę, która produkuje przeciwciała. Jeśli by się chciało kupić je komercyjnie, co najmniej 1400 zł na miesiąc. W przypadku niektórych droższych preparatów koszt roczny może rzeczywiście wynosić 30 tysięcy.

Zaskoczyło mnie, że w leczeniu migreny używa się botoksu, który kojarzył mi się tylko z medycyną estetyczną.

Toksyna botulinowa jest zarejestrowana w leczeniu migreny przewlekłej – ostrzykuje się nią całą głowę, kark i barki. W ten sposób blokuje się czynniki zapalne wydzielane z zakończeń nerwowych – m.in. wspomniane białko CGRP, ale również inne. Część pacjentów dobrze reaguje na to leczenie. Zmniejsza się liczba gwałtownych napadów migreny, problemów ze snem, reakcji na światło i dźwięki. Efektem ubocznym jest wygładzenie zmarszczek, bo czoło też się ostrzykuje.

Tylko my rozmawiamy o najnowszych terapiach – i wspaniale, że są dostępne – ale mnie wciąż dość często się zdarza, że pacjent trafia do mnie po latach zmagań z chorobą, a ja mu zapisuję pierwszy lek z listy rekomendowanych, który ma 50 lat, i objawy ustępują. Nadal pacjenci są leczeni lekami, które szkodzą albo nie pomogą. To absurdalne, że leczenie migreny często odbywa się na zasadzie medycyny ludowej, co jest pokłosiem przekonania: taka pani uroda, to jest *globus histericus*, damy więc coś, co wywoła efekt placebo, i będzie dobrze. Potrzebujemy zmian już na etapie studiów – my na specjalizacji neurologicznej mieliśmy może jeden wykład o migrenie, na egzaminie – dwa pytania. To spłaszcza gigantyczną skalę problemu do jednego rozdziału w książce.

Cannabis działa w leczeniu migreny?

Nie wiadomo. Rzetelnych badań jest wciąż za mało i mają sprzeczne wyniki, a efekt placebo jest olbrzymi. Nasz rynek suplementów jest taki, że można prawie wszystko sprzedać i nikt nie będzie sprawdzał skuteczności.

Mówi się także o migrenach brzusznych. Czym one są i kogo dotykają?

To również rozkurczenie naczyń, stan zapalny i związany z nim ból, tyle że tworzy się w jelitach. Przypomina kolkowy ból brzucha, taki gdzieś na środku, impuls do tego bólu również pojawia się w mózgu, nie w brzuchu,

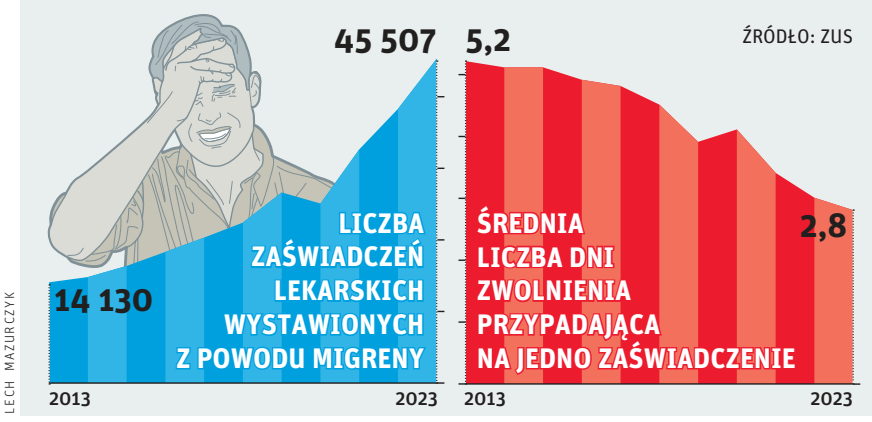

LECH MAZURCZYK

Niewidzialna bariera zawodowa

MIGRENA – wedle klasyfikacji WHO – to jedna z chorób „najbardziej upośledzających nasze codzienne życie". Nawet 4 proc. wszystkich konsultacji u lekarzy rodzinnych dotyczy przewlekłych bólów głowy, choć badacze zwracają uwagę na niedoszacowanie tej liczby – wiele osób cierpiących na migrenę po prostu nie zgłasza się po poradę lekarską, próbując leczyć się preparatami dostępnymi bez recepty i w efekcie – nadużywając ich.

NA MIGRENĘ może chorować nawet 15 proc. populacji, co w Polsce przełożyłoby się na 6 mln osób. Najczęściej chorują ludzie w wieku 25-55 lat, czyli w okresie największej aktywności zawodowej. W badaniu przeprowadzonym w USA stwierdzono także większe rozpowszechnienie migreny wśród osób o niskich dochodach i niższym poziomie wykształcenia, co sugeruje, że migrena znacznie utrudniała im proces nauki i zdobywanie doświadczenia zawodowego. Nic dziwnego: bóle migrenowe zmniejszają naszą wydajność w pracy albo prowadzą wręcz do konieczności rezygnacji z niej.

Z DANYCH ZUS wynika, że rocznie z powodu migreny wystawia się zwolnienia na łącznie ponad 100 tys. dni (tylko w zeszłym roku wystawiono ponad 45 tys. zwolnień na prawie 129 tys. dni – zob. wykres powyżej). Tymczasem, jak twierdzą specjaliści, efektywność pracy osób cierpiących na migrenę jest mniejsza przez co najmniej połowę dni roboczych w miesiącu.

©℗ MOCH / NA PODSTAWIE PUBLIKACJI POLSKIEGO TOWARZYSTWA BÓLÓW GŁOWY

w związku z tym tej migrenie zwykle nie towarzyszą biegunki, ale mogą występować wymioty, nadwrażliwość na światło i hałas.

U dorosłych zdarza się rzadko, ale u dzieci często właśnie tak zaczyna się historia z migreną. Trudno ją zdiagnozować, zwykle dzieci i ich rodzice słyszą, że to stresowy ból brzucha, i na tym koniec. Jednak jeśli dziecko często skarży się na bóle, a jednocześnie w rodzinie czy w szkole nie szaleją infekcje żołądkowo-jelitowe, warto zacząć dochodzenie. Dość często te objawy pozostają niewyjaśnione do momentu dorosłości. Dopiero gdy pytam dorosłych pacjentów o kolkowe bóle brzucha, w dzieciństwie, to nagle sobie przypominają, że bywało, że całą noc z tego powodu nie spali.

Jak Pani żyje ze swoją migreną?

Mam ją okiełznaną. Jedynym problemem pozostaje zmiana klimatu. Kiedy jadę choćby nad morze, mam wrażenie, że nie tylko na zewnątrz, ale również w mojej głowie dzieje się wtedy cała ta zmiana ciśnienia, temperatury i wszystkich innych warunków atmosferycznych. Natomiast umiem się tym zaopiekować.

Jak?

Na wyjazdy biorę, na wszelki wypadek, całą kosmetyczkę leków. Robię też szereg oczywistych już dla mnie rzeczy: staram się regularnie odżywać i nawadniać, niezależnie od tego, czy jestem w domu, w pracy, czy w podróży, bo głód i odwodnienie szybko powodują ból głowy. Jem mniej słodyczy. Śpię regularnie i przez odpowiednią liczbę godzin – nie wstanę na samolot o 6 rano, bo wiem, że wtedy cały dzień będzie mnie boleć głowa. Dbam o to, żeby nocą było ciemno, żeby stymulować produkcję melatoniny, a na wyjazdy biorę opaskę na oczy. Jeśli mam podejrzenie, że mnie będą drażnić jakieś zapachy – choćby hotelowe pościele uprane w mocno pachnącym płynie – to biorę swoją pościel. Na początku to się może wydaje kłopotliwe, a komuś z zewnątrz nadmiarowe, ale ja to mam już po prostu przetestowane, a opiniami się nie przejmuję. Ważne jest, żeby znać siebie i wiedzieć, czego się potrzebuje.

SEBASTIAN PRZYBYLSKI / PODGÓRSKI DOM FOTOGRAFII W KRAKOWIE

EWA CZAPIŃSKA-CIEPIELA – doktor nauk medycznych, neurolożka, specjalistka od padaczki i migreny. Stypendystka Polskiego Towarzystwa Naukowego, Europejskiej Akademii Neurologii i Europejskiej Federacji Bólów Głowy. Członkini Fundacji „Polki w medycynie". Pracuje w Centrum Leczenia Padaczki i Migreny w Krakowie. Szkoli lekarzy w Polsce w leczeniu bólów głowy. Prowadzi bloga popularnonaukowego na temat migreny i padaczki www.okiemneurologa.pl, a także edukacyjny profil dla pacjentów na Facebooku i Instagramie o tej samej nazwie.

Jest coś jeszcze, co chciałaby Pani powiedzieć polskim migrenikom?

Łączcie się! Z moich obserwacji wynika, że aby rozmaite zmiany zaszły w opiece zdrowotnej, potrzebne są nie tylko starania środowiska lekarskiego, ale też organizacji reprezentujących pacjentów. Leczę też chorych na padaczkę, która jest co najmniej 10 razy rzadszą chorobą – dotyka 1 proc. społeczeństwa, ale są to ludzie świetnie zorganizowani: mają fundację, spotykają się z ministrami zdrowia, chodzą do telewizji, piszą petycje. A migrenicy, mam wrażenie, sami nie doceniają swojej choroby i w związku z tym nie czują, że mogą coś w jej obszarze zmienić. Domagajcie się lepszej opieki, a przede wszystkim wykrywania choroby na jej wcześniejszych etapach.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Czarne charaktery

Imię zwyrodnialca niezmiennie budzi niezdrową fascynację i zapada głęboko w ludzką pamięć. Gości na rozemocjonowanych wargach, jakby był godnym podziwu bohaterem. Podobny przesyt odczuwam – choć kaliber przewin jest nieporównywalny – wciąż natykając się w midraszach dotyczących exodusu i wędrówki po pustyni na Datana i Abirama. Kiedy Tora nie ujawnia nam personaliów winowajców, w komentarzach rabinów owe szwarccharaktery wracają jak leitmotiv.

Panów tych poznajemy w Biblii bliżej dopiero przy okazji buntu Koracha. Ów kuzyn Mojżesza i Aarona – wyraźnie urażony, że nie zajął należnej mu z urodzenia wysokiej pozycji w hierarchii lewitów – szuka popleczników wśród potomków Rubena, najstarszego syna Praojca Jakuba, grając na podobnych emocjach: dlaczego przewodzą Mojżesz i Aaron, skoro Lewi nie był pierworodny? Bracia Datan i Abiram (zob. Lb 26, 9) chętnie przystają do Koracha i razem rozpętują kampanię przeciwko pustynnym przywódcom.

Jednak w wyobraźni rabinów pojawiają się oni na drodze życiowej Mojżesza dużo wcześniej. Kiedy wychowany na dworze faraona książę wychodzi po raz pierwszy z pałacu, dostrzega Egipcjanina bijącego Hebrajczyka. Widząc, że nikt się za bitym nie ujmuje (zob. Wj 2, 11-12), sam wymierza sprawiedliwość, po czym zakopuje zwłoki Egipcjanina w piasku. Wychodzi z pałacu ponownie i napotyka kłócących się Izraelitów. Chce interweniować i słyszy: „Któż ustanowił cię przełożonym i sędzią nad nami? Alboż zabić mnie myślisz, jakoś zabił Micrejczyka?" (wers 14; Cylkow). Wedle tradycji ci kłótnicy to właśnie Datan i Abiram. Donoszą oni faraonowi, że Mojżesz zabił Egipcjanina i – by ratować skórę – młodzian musi uciekać do Midianu.

Po latach, z poruczenia Najwyższego, wraca do Egiptu, by wyprowadzić stamtąd Izraelitów ku Ziemi Obiecanej. Donosiciele Datan i Abiram na wszelki wypadek znają tylko wersję oficjalną: Izraelici mają pójść na trzy dni na pustynię i wrócić do Egiptu. Bracia nie palą się do uczestnictwa w potencjalnie wyczerpującej wyprawie, zostają więc w Egipcie, nieświadomi, że nadszedł czas wybawienia. To wyjaśnia kwestię zaginioną w przekładzie: w Wj 14, 3 faraon, komentując trajektorię ruchu Izraelitów po pustyni, dosłownie „powie do Dzieci Izraela" – czyli do stojących wówczas u jego boku Datana i Abirama – co o niej myśli. Tłumacze posługują się zdrowym rozsądkiem: przecież wszystkie Dzieci Izraela opuściły już wówczas Egipt, trzeba zatem w wersji polskiej „poprawić" oryginał. Bracia-mąciwody dołączą do pustynnego orszaku i pojawią się anonimowo w Torze jeszcze wielokrotnie, póki nie pochłonie ich ziemia. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Długie szaty

W Księdze Kapłańskiej czytamy: „Człowiek dotknięty trądem będzie nosił podarte ubranie, włosy będzie miał w nieładzie, zasłoni sobie brodę i będzie wołał: Nieczysty! Nieczysty!". Bohater Markowego opowiadania te wszystkie zakazy bez skrupułów łamie. Zamiast krzyczeć: „Uciekać!", pewnym krokiem podchodzi do Jezusa, który też postępuje w podobny, bezbożny sposób. Wyciąga rękę i dotyka chorego, a ten odzyskuje zdrowie.

W świetle dzisiejszej wiedzy taki kontakt z chorym jest nieracjonalny, ale nie o to tutaj chodzi. Uzdrowionemu Jezus każe iść do kapłana, aby ten potwierdził prawdziwość zdarzenia. Zabrania mu też rozpowiadania o tym wydarzeniu. Wie już przecież, że Jego czyn stanie się jeszcze jednym powodem do odsądzenia Go od czci i wiary.

Najwyraźniej Jezus chce zyskać na czasie, ale też nie ma zamiaru ukrywać, w jakim celu posłał Go Bóg Ojciec. Jego zadaniem jest pomóc człowiekowi, by stał się świętym, jak święty jest Bóg. Wyciągając pomocną dłoń do człowieka wyrzuconego poza margines życia społecznego i religijnego, Jezus uświadamia szukającym Boga, a jeszcze dobitniej weń wierzącym, że czystość życia nie polega na wykluczaniu i potępianiu, a przeciwnie – na ogarnięciu ich taką życzliwością, miłością, jaką nas, grzeszników, otacza Bóg.

Odsyłając uzdrowionego, Jezus mówi: „idź, pokaż się kapłanowi, a na świadectwo dla nich złóż za swoje oczyszczenie ofiarę, zgodnie z nakazem Mojżesza". „Na świadectwo dla nich", czyli dla kogo? Oczywiście dla tych, którzy będą słuchać jego wyznania, a którzy na temat Jezusa mieli skrajnie różne opinie, ale też dla nas. Po pierwsze, odwołując się do Mojżesza, Jezus przypomina, że Biblia Hebrajska to nie przestarzały spadek, lecz wciąż żywe źródło wiedzy o Bogu. Jednocześnie Jezus mówi, że nasze Kościoły będą dręczone przez te same choroby, które nękają inne religie, a których istotą jest nieczystość, czyli uleganie pokusie zawładnięcia Bogiem, podporządkowania Go sobie i dysponowania Nim dla własnych korzyści psychicznych i materialnych.

Tymczasem Jezus wciąż mówi: „Wystrzegajcie się uczonych w Piśmie chcących chodzić w (długich) szatach i kochających pozdrowienia na rynkach i pierwsze siedzenia w synagogach i pierwsze leżanki na wieczerzach, którzy objadają domy wdów i dla pozoru długo modlą się. Ci wezmą większy wyrok". Za to proroctwo Jezus i ci, którzy poszli w Jego ślady, słono zapłacili – stali się jak trędowaci, których należy pozbyć się za wszelką cenę.

Długie szaty, zaszczytne miejsca... czy przypadkiem *cappa magna*, rękawiczki po łokcie itp. nie mają z tym czegoś wspólnego? ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Dary nieodwołalne

Kiedy został powołany św. Paweł? Odpowiedź wydaje się oczywista: pod Damaszkiem. Rzucony na ziemię, oślepiony, a następnie podźwignięty poleceniem: „Wstań i wejdź do miasta, tam ci powiedzą, co masz czynić…" (Dz 9, 6). A jednak nie! Paweł nie został powołany pod Damaszkiem. Został powołany odwiecznie.

Wtedy, kiedy Pan go pomyślał i kiedy go stwarzał – już „wtedy" widział w nim „apostoła narodów". Wtedy postanowił, kim będzie i co będzie czynił. Stąd też w drugiej relacji wydarzeń spod Damaszku, a jest to relacja włożona w usta samego Pawła przemawiającego do Żydów w Jerozolimie, słyszymy precyzyjniej: „Powstawszy, idź do Damaszku, i tam będzie ci powiedziane o wszystkim, co postanowiono Tobie (w tłumaczeniu Wulgaty: *quae statutum est tibi*), abyś uczynił" (Dz 22, 10).

Dlatego też Ananiasz po przyjściu do ciągle jeszcze niewidomego Szawła wyjawia mu: „Bóg ojców naszych (dosł.) uprzednio zarządził (łac. *praeordinavit*) co do Ciebie, byś poznał Jego wolę" (Dz 22, 14).

Szaweł/Paweł mocno zapamiętał te zdania – pracowały w nim, aż ukształtowały w nim świadomość wyrażoną przepięknie w Liście do Galatów: „Gdy jednak spodobało się Temu, który wybrał mnie jeszcze w łonie matki i powołał łaską swoją…" (Ga 1, 15). A więc nie pod Damaszkiem, ale w łonie matki, zgodnie ze swym odwiecznym zamysłem, powołał go Bóg. Zanim jeszcze cokolwiek uczynił, zanim zrobił cokolwiek, co mogłoby wskazywać, że jest doskonałym kandydatem na największego z apostołów, zanim zrobił cokolwiek, co mogłoby być choć cieniem zasługi ku takiemu wyróżnieniu.

Przeciwnie: nic z tego, co zrobił, co uczynił historyczny Szaweł, nie zdołało unieważnić i odwołać tego Bożego powołania i wyboru. Ani to, że przyłożył poważnie rękę do śmierci Szczepana, ani to, że „dysząc nienawiścią", prześladował, wtrącał do więzienia i zabijał chrześcijan; ani to, że z ucznia wielkiego Gamaliela stał się – wbrew swojemu mistrzowi – fanatykiem-prześladowcą, „walczącym z Bogiem" (por. Dz 5, 39). Żaden z jego grzechów nie był w stanie unieważnić Bożego powołania i wyboru. Jak sam pisze (prawda, że w zupełnie innym kontekście): „bo dary i powołanie Boga są nieodwołalne" (Rz 11, 29).

Historia Pawła niesie nam wielką nadzieję. I wielką prawdę o naszym życiu. Każdy może ją odnieść do siebie: Nie dlatego jestem mężem/żoną, ojcem/matką, dziadkiem/babcią, siostrą zakonną, księdzem, zakonnikiem, biskupem, kardynałem – że sobie na to zasłużyłem(-am) i zapracowałem(-am) swoimi czynami. Nie. Jestem, kim jestem, gdyż Pan, mimo wszystkich moich czynów, nigdy nie zmienił o mnie zdania, nie stracił co do mnie nadziei i ciągle mi mówi: „Potrzebuję cię!". Chociaż już dawno powinien był zmienić zdanie… ©

Nie można zdobyć mądrości bez trudu i walki.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Nie czuj wstydu ani nie trać ducha i nie popadaj w zwątpienie, gdy nie uda ci się postąpić dokładnie według zasad słuszności. Zepchnięty z drogi, wróć na nią.

MAREK AURELIUSZ

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (11 – 18 II)

6. niedziela zwykła: Kpł 13, 1-2. 45-46; Ps 32; 1 Kor 10, 31 – 11, 1; Mk 1, 40-45;
Poniedziałek: Jk 1, 1-11; Ps 119; Mk 8, 11-13;
Wtorek: Jk 1, 12-18; Ps 94; Mk 8, 14-21;
Środa Popielcowa: Jl 2, 12-18; Ps 51; 2 Kor 5, 20 – 6, 3; Mt 6, 1-6. 16-18;
Czwartek: Pwt 30, 15-20; Ps 1; Łk 9, 22-25;
Piątek: Iz 58, 1-9a; Ps 51; Mt 9, 14-15;
Sobota: Iz 58, 9b-14; Ps 86; Łk 5, 27-32;
1. niedziela Wielkiego Postu: Rdz 9, 8-15; Ps 25; 1 P 3, 18-22; Mk 1, 12-15.

KRAJ

HARRY POTTER I AKTYWA PAŃSTWOWE

Daniela Obajtka nie ma już w Orlenie. Dosłownie minął się tam z prokuraturą, która zaczyna badać fuzję z Lotosem. Czy człowiek, który dał twarz nowej, agresywnej formie politycznego kapitalizmu, stanie za to przed sądem?

MAREK RABIJ

1 LUTEGO UPRZEDZIŁ NIEMAL PEWNY ruch ze strony nowej rady nadzorczej Orlenu, która miała zostać wybrana pięć dni później. Prezes Obajtek oddał się do dyspozycji starej rady, obsadzonej jeszcze przez PiS, ta zaś odwołała go ze stanowiska. Minister aktywów państwowych Borys Budka, który od dawna zapowiadał zwolnienie Obajtka, musiał obejść się smakiem.

Orlen to najbogatsza polska firma, której przychody w 2022 r. równe były 66 proc. budżetu państwa. Nowy rząd (Skarb Państwa jest właścicielem 49,9 proc. akcji, co przy rozdrobnionym akcjonariacie zapewnia mu decydujący głos) zapowiada przegląd najważniejszych decyzji ustępującego zarządu, na czele z dopiętym w połowie 2022 r. połączeniem z drugą polską firmą paliwową, w której decydujący głos miało państwo – Grupą Lotos. Klimat dla tej operacji przygotował kontrolowany wyciek ubiegłorocznego raportu Najwyższej Izby Kontroli, która przeanalizowała fuzję i doszła do wniosku, że na tej transakcji Skarb Państwa mógł stracić nawet 7 mld złotych.

Milion złotych, dziesięć lat

Jeśli wnioski NIK potwierdzi płocka prokuratura, która pod koniec stycznia wszczęła w tej sprawie śledztwo z urzędu, polityczne ciemne chmury wiszące nad głową Daniela Obajtka mogą przekształcić się w zarzuty niedopełnienia obowiązków lub nadużycie uprawnień – z artykułu 296 kodeksu karnego. Jak mówi prof. Michał Romanowski, ekspert prawa handlowego z Uniwersytetu Warszawskiego, w rachubę wchodzi oskarżenie o działanie na niekorzyść firmy. „Przesłanką w tym wypadku nie musi być fakt wyrządzenia szkody, ale na przykład udowodnienie sprowadzenia niebezpieczeństwa wobec spółki" – zauważył prof. Romanowski w rozmowie z Money.pl.

Jeśli sprawa trafi do sądu, Daniel Obajtek może usłyszeć wyrok nawet 10 lat więzienia za doprowadzenie do szkody „w wielkich rozmiarach". Byłemu już prezesowi – jak podkreśla z kolei prof. Dariusz Filar, który przez lata wykładał na Uniwersytecie Gdańskim teorię fuzji i przejęć – trudno będzie wówczas przekonać sąd, że operację przeprowadził zgodnie z regułami sztuki.

– To, co zrobiono z Orlenem i Lotosem, moim zdaniem nie mieści się w definicji fuzji – uważa prof. Filar. – Bliżej temu do operacji wyprzedaży majątku pod płaszczykiem połączenia. Prezes Obajtek jako menedżer powinien też wiedzieć, że łączenie firm o różnej skali działalności rzadko przynosi korzyści, bo nie silniejszy wzmacnia słabszego, ale słabszy ciągnie w dół mocniejszego.

W 2021 r., ostatnim pełnym roku samodzielności, Lotos przerobił 9,9 mln ton ropy. W tym samym czasie rafinerie Orlenu zużyły 29,9 mln ton tego surowca. Sieć sprzedaży Lotosu liczyła 520 stacji. Orlenu – 2881. Przychody Lotosu sięgnęły 33,1 mld zł, podczas gdy do kasy płockiego koncernu

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

wpłynęło ponad 98 mld zł więcej. Połączenie obu spółek nie było więc fuzją równorzędnych partnerów, ale raczej biznesowym mezaliansem.

Część hipotetycznych korzyści wynikających z fuzji z góry skasowało postanowienie Komisji Europejskiej, która zgodę na nią uzależniła od sprzedaży 30 proc. akcji w należącej do Lotosu Rafinerii Gdańskiej oraz zbycia 417 stacji benzynowych. Udziały kupił saudyjski koncern Aramco, stacje zaś trafiły w ręce węgierskiego koncernu MOL (w zamian płocki koncern przejął blisko 200 jego punktów sprzedaży na Węgrzech i Słowacji).

Orlen sprzedał udziały w rafinerii za równowartość 2,2 mld zł, choć zdaniem kontrolerów NIK były one warte 9,4 mld zł (rządowi doradcy szacowali rzekomo tę wartość na 5,9 mld). Aramco zapłaciło tyle, ile kosztują dziś cztery luksusowe jachty. Węgrzy dali za stacje 464 mln dolarów.

Prezes Obajtek zaciekle bronił całej operacji, przekonując, że tylko w ten sposób Orlen stanie się graczem na skalę ponadregionalną. Szkopuł w tym, że te zapowiedzi nie wytrzymywały konfrontacji z faktami. Na początku 2022 r., tuż przed sfinalizowaniem transakcji, warszawska giełda wyceniała obie firmy na ok. 10,5 mld dolarów. W tym samym czasie wartość koncernu Shell na giełdzie w Londynie sięgała 186 mld dolarów, a British Petroleum – 106 mld dolarów. Sklejony z Lotosem Orlen ledwie mieścił się pod względem wyceny rynkowej w pierwszej pięćdziesiątce największych firm paliwowych globu. Nie zyskał także wiele na redukcji kosztów po połączeniu firm. Sam zarząd płockiego koncernu szacował, że oszczędności z tego tytułu wyniosą 400 mln zł rocznie. Przy skali transakcji i wartości obu spółek – to kwota praktycznie nieistotna. Pomimo wielu krytycznych głosów fuzję zrealizowano jednak w lipcu 2022 r.

„Najgorszy zarząd w historii"

W październiku ubiegłego roku w rozmowie z magazynem „Forbes" były szef Orlenu Jacek Krawiec tak oceniał następców: „Zarówno zarząd, który, *nota bene*, liczy 11 osób, czyli o cztery więcej niż cztery razy większego Shella, jak i samego prezesa Obajtka uważam za zdecydowanie najgorszych zarządzających Orlenem od czasu przekształcenia firmy i wprowadzenia jej na giełdę". W dalszej części wywiadu Krawiec wymienia największe błędy: sprzedaż udziałów w Rafinerii Gdańskiej po zaniżonej cenie, manipulowanie cenami na stacjach i zakup Polska Press, grupy mediowej, która po transakcji stała się propagandową tubą PiS.

Ocena w wykonaniu Krawca nie zawiera jednak próby odpowiedzi, jak poczynania władz Orlenu wpłynęły na efekt końcowy, za który rozlicza się zarządzających, czyli wyniki finansowe firmy. Być może dlatego, że takie porównanie nie wypada dla Krawca korzystnie.

Daniel Obajtek został prezesem Orlenu w lutym 2018 r. Od połowy 2022 r. płocki gigant tworzy jeden organizm z dawną grupą Lotos, dlatego na potrzeby porównania zestawiliśmy podstawowe dane finansowe Orlenu z lat 2018-2021, ze statystykami z czterech ostatnich lat ponad siedmioletniej prezesury Jacka Krawca, który kierował koncernem do grudnia 2015 r.

We wspomnianym okresie rządów nominata Platformy Obywatelskiej Orlen wypracował 428,8 mld zł przychodu, jednocześnie odnotowując stratę w wysokości 0,9 mld zł. Za Obajtka przychody koncernu sięgnęły natomiast 438,42 mld zł, zyski zaś poszybowały – do 23,88 mld zł. Na wyniku osiągniętym przez Orlen Krawca zaciążył rok 2014, kiedy firma musiała dokonać znacznych odpisów podatkowych, co poskutkowało stratą w wysokości ponad 5,8 mld zł . Ale nawet bez uwzględnienia jej w bilansie porównanie wypada na korzyść tych, których Krawiec nazwał „zdecydowanie najgorszymi zarządzającymi Orlenem".

Na wyniki finansowe spółek paliwowych duży wpływ mają oczywiście czynniki zewnętrzne, zwłaszcza cena ropy naftowej i kurs dolara, w którym rozliczają się za ten surowiec. Im droższa ropa i amerykańska waluta, tym wyższe także ich przychody. I tu mamy kolejną niespodziankę: w uwzględnionym w powyższym zestawieniu okresie rządów Jacka Krawca średnia cena litra benzyny 95 była w Polsce o 32 grosze wyższa niż w „czterolatce" Daniela Obajtka. Słowem, pod rządami tego ostatniego ↦

Daniel Obajtek na konferencji zarządu PKN Orlen, Warszawa, czerwiec 2022 r.

↦ Orlen wypracowywał przychody wyższe o 2,2 proc., i to sprzedając w tym czasie produkt tańszy średnio o 6 proc.

Jednak zestawienie wyników finansowych Orlenu pod rządami obydwu prezesów jest tylko jednym z kilku argumentów, które należy wziąć pod uwagę przy ocenie ich działalności. Na bilansie mogły przecież zaciążyć strategie, jakie akcjonariusze narzucili poszczególnym zarządom, zmieniające się otoczenie prawne, wreszcie sytuacja polityczna. Porównanie wysokości pensji również nie mówi wszystkiego o kulturze korporacyjnej obu ekip rządzących koncernem. Obajtek w latach 2018-2021 zarobił w Orlenie 7,51 mln zł brutto (tyle wyniosła jego pensja zasadnicza i nagrody). Krawiec w okresie od 2012 do końca 2015 r. – 12,14 mln zł brutto. Stało się tak, gdyż ustawa o zasadach wynagrodzeń w państwowych spółkach, którą PiS uchwalił na początku swojej pierwszej kadencji, mocno odchudziła zarobki szefów spółek Skarbu Państwa. Oficjalnie chodziło o ściślejsze powiązanie wypłat dla menedżerów z osiąganymi wynikami, ustawodawcy nie kryli się jednak przesadnie z tym, że grają też pod publikę, zniesmaczoną milionowymi premiami i odprawami prezesów. W projekcie ustawy zapisano, że dzięki niej koszt utrzymania zarządów w państwowych spółkach spadnie o ok. 60 mln zł w skali roku.

Czyżby więc Daniel Obajtek, absolwent technikum rolniczego, który przez lata był wójtem małopolskiej gminy Pcim (kończąc w tym czasie w Radomiu studia z ochrony środowiska), pokierował największą firmą w Polsce lepiej od absolwenta ekonomii, który doświadczenie zebrał m.in. w Pekao SA, londyńskim oddziale banku Nomura i w firmie doradczej Ernst&Young?

Odpowiedź jest prosta. To źle postawione pytanie.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

Na zaniżaniu cen paliw w trakcie kampanii wyborczej **Orlen mógł stracić nawet miliard złotych** – o tyle spadły mu zyski w trzecim kwartale ubiegłego roku".

Spółki skarbu partii

– Orlen od lat działa na autopilocie – zaciąga się papierosem były dyrektor departamentu tej spółki, wcześniej kategorycznie zastrzegając sobie anonimowość. – Każda ekipa rządząca pakuje do zarządu swoich ludzi, ale przecież nie po to, żeby się targowali o cenę ropy czy planowali produkcję paliwa. Bieżące prowadzenie firmy od zawsze spoczywa na barkach ludzi takich jak ja, czyli szczebla dyrektorskiego, który w nafciarstwie robi od lat, czuje ten biznes i zna Orlen. Zarząd pilnuje, żeby wszystko szło w kierunku, który wyznaczają właściciele, czyli przede wszystkim minister aktywów państwowych. No i żeby, broń Boże, złotówka z firmy nie skapnęła opozycji. Obajtek robił więc to samo, co poprzednicy, tylko o wiele bardziej ostentacyjnie – uśmiecha się były menedżer.

W roli prezesa Orlenu były wójt Pcimia był swoistym paradoksem. Jego wybór – umiejącym czytać między wierszami – mógł nawet wydać się autoironicznym gestem prezesa Kaczyńskiego, który od trzydziestu lat buduje pozycję w polityce na przekonywaniu wyborców, że światem biznesu rządzą podejrzane siły.

Jako człowiek z ludu, Obajtek nie należał oczywiście do „pożałowania godnego” gospodarczego establishmentu III RP, który obnażył przed Polakami wszystkie swoje słabości rzucając przekleństwami i obżerając się ośmiorniczkami u „Sowy i Przyjaciół”. Zadanie, z jakim PiS skierował Obajtka do Orlenu, było jednak dokładną kopią działań, jakie Kaczyński ze swoją świtą zarzucał dotąd politycznym konkurentom. Niczym Harry Potter – chłopiec wychowany przez skostniałych mugoli, który z czasem odkrywa czarodziejskie pochodzenie i ratuje ich cywilizację przed samozagładą – Obajtek miał wkroczyć do mrocznego świata, jakim jawiły się Kaczyńskiemu spółki Skarbu Państwa kontrolowane przez politycznych rywali. I zrobić w nich porządek, czyli podporządkować je tej właściwej partii. Obóz PiS wybrał do tego narzędzie z pozoru niewinne – konsolidację. Pod jego rządami Orlen wchłonął spółkę gazową PGNiG, Energę, jednego z największych producentów i dostawców prądu. Wreszcie przyszła kolej na Lotos.

Pod kierownictwem Obajtka sam Orlen też nie zasypiał gruszek w politycznym popiele. Latem ubiegłego roku, wraz z oficjalnym startem kampanii wyborczej, spółka ruszyła z „polityką stabilizacji cen”, która sprawiła, że Polska miała najtańsze paliwa w całej Unii Europejskiej. Na zaniżaniu ceny hurtowej (aż 86 proc. kupowanego w Polsce paliwa pochodzi z zakładów płockiego giganta) Orlen stracił co najmniej miliard złotych – jeśli za miarę straty uznać jego zyski w trzecim kwartale 2023 r., które właśnie o tyle zmalały w porównaniu z drugim kwartałem.

Dwa lata wcześniej, w 2021 r., ku zdziwieniu większości branżowych analityków, kierowana przez Obajtka firma przejęła niemieckie wydawnictwo Polska Press. Operacja pochłonęła niemal 140 mln zł, drobną kwotę w budżecie płockiego giganta. Medialne ramię Orlenu jest od tamtej pory na głębokim minusie, w 2022 r. straciło 23 mln zł, ale dla zarządu płockiego giganta ważniejsza była prorządowa linia, jaką gazety i portale internetowe całej grupy obrały wraz ze zmianą właściciela. W trakcie ostatniej kampanii Polska Press odmawiało publikacji płatnych ogłoszeń kandydatów opozycji, uznając ich treść za „niezgodną z polską racją stanu”. W tym samym czasie na stacjach Orlenu do kawy i hot-dogów dodawano gazetki z wywiadami z politykami Prawa i Sprawiedliwości.

„To zawsze było stanowisko polityczne” – tak o prezesurze Orlenu tuż przed odejściem mówił w wywiadzie dla Polskiej Agencji Prasowej Daniel Obajtek. Trudno się z nim nie zgodzić – ale z zastrzeżeniem, że tę sztukę były już prezes wyniósł na wyżyny politycznego kapitalizmu.

©℗ MAREK RABIJ

Państwo w lesie

KRZYSZTOF STORY

W XXI wieku nie było lepszego momentu na reformę leśnictwa. Ale jeśli pierwszy etap zrobimy źle, następnych może już nie być. Gra idzie o niemal jedną czwartą obszaru Polski.

MAREK LAPIS / FORUM

Jubileusz 45-lecia Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Pile Goraj k. Czarnkowa, sierpień 2023 r.

Polityczne przepychanki na co dzień nie obchodzą świerków, dębów i sosen. Lecz ta akurat decyzja może mieć dla nich znaczenie: ministra klimatu nakazała na pół roku wstrzymać wycinkę 10 wyjątkowo cennych obszarów lasów. Łącznie to 46 tys. hektarów bez cięć i drugie tyle, gdzie gospodarkę trzeba będzie ograniczyć.

To ma być pierwszy krok do realizacji rządowej wizji: „20 procent najcenniejszych obszarów leśnych zostanie wyłączone z wycinki, eksport nieprzetworzonego drewna zostanie ograniczony, a drewno będzie służyć przede wszystkim polskim przedsiębiorcom. Wprowadzimy zakaz spalania drewna w energetyce zawodowej [w elektrowniach – przyp. red.]. Ustanowimy społeczny nadzór nad lasami oraz wdrożymy program odnowy bagien i torfowisk. W porozumieniu z lokalnymi społecznościami zwiększymy powierzchnię parków narodowych". To nie manifest organizacji ekologicznej, a cytat z umowy koalicyjnej.

Lasy nigdy wcześniej nie były tak ważne w debacie publicznej i nigdy tak konkretne postulaty nie trafiały do rządowych programów. A nowych dyrektorów Lasów Państwowych nie wskazywał osobiście premier, zapraszając ich wcześniej na wiece wyborcze. Oczywiście to nie politycy nagle pokochali drzewa; ta zmiana zaszła w nas. Ze wszystkich aspektów środowiska i polityki klimatycznej to właśnie las okazał się koszulą najbliższą ciału. O niego jesteśmy gotowi walczyć i dla jego dobra głosować. Władza musi o tym pamiętać – ta i każda następna.

Krajobraz po PiS

Paliwem zmiany była nie tylko miłość do przyrody i świadomość zmian klimatycznych, ale też złość na to, co z lasami zrobiły rządy PiS. Wrogiem publicznym numer jeden stały się „wycinki". Dziś wystarczy wrzucić w media społecznościowe zdjęcie pni po ścięciu i oburzenie gotowe. Dość mocne uproszczenie w kraju, który w zeszłym roku wyprodukował meble za ponad 54 mld złotych.

Jak naprawdę wyglądają polskie lasy po PiS? W skali makro – prawie dokładnie tak, jak przed PiS. Wycinamy więcej niż w 2015 r. (głównie na obszarach, gdzie masowo sadziliśmy po II wojnie światowej) i niepokojący jest fakt, że w ciągu ostatnich 5 lat cięliśmy drzewa szybciej, niż rosną. Jednak ubytek jest nieznaczny. Rzezi na polskich lasach nie dokonano, przynajmniej nie w sensie liczbowym. Gdzie więc ta katastrofa?

Po pierwsze: punktowo, czyli tam, gdzie poprzednia władza uparła się postawić na swoim, np. w bardzo cennych przyrodniczo miejscach, jak Białowieża czy Pogórze Przemyskie. Po drugie: ostatnie 8 lat może nie zrujnowało lasów, ale Lasy Państwowe już tak. Ogromna firma stała się prywatnym folwarkiem polityków Suwerennej Polski, a Fundusz Leśny – kasą bez dna na kapliczki, partyjne pikniki i billboardy; odbudowa zaufania i prestiżu leśnika będzie więc trudną misją dla nowej ekipy. Po trzecie: fakt, że lasy są zarządzane podobnie jak 8 lat temu, to żadne osiągnięcie. Słaby to kapitan, jeśli bezrefleksyjnie trzyma kurs, gdy zmienia się wiatr, a statek płynie na skały. Tymczasem PiS nie kiwnął palcem, by przygotować nasz model leśnictwa na nadchodzące dekady zmian klimatycznych, nowe unijne prawodawstwo i zmieniające się oczekiwania obywateli.

Mamy więc nowy rząd, ogromne oczekiwania i skomplikowaną reformę do przeprowadzenia. W centrum tego wszystkiego są Lasy Państwowe – pogrążona w olbrzymim kryzysie firma, która zarządza prawie jedną czwartą powierzchni Polski.

Miotła ruszyła

Rząd Donalda Tuska za lasy wziął się po niecałym miesiącu. Poprzedni dyrektor, Józef Kubica, był radnym z listy PiS w sejmiku na Śląsku i trzeba było specjalnej zgody, by zwolnić go z pracy. Okazało się też, że nowa ekipa nie ma „szuflady pełnej ustaw", a na dodatek może jej brakować doświadczenia. Ministrą klimatu została Paulina Hennig-Kloska z Polski 2050, a jej zastępcą odpowiedzialnym za ochronę przyrody Mikołaj Dorożała z tej samej partii. Oboje są z wykształcenia politologami bez doświadczenia przyrodniczego. – Pełni dobrej wiary amatorzy – jak powiedział mi jeden z leśników, zastrzegając anonimowość.

Impas przerwał osobiście Tusk, który 3 stycznia wyszedł na konferencję ↦

prasową, przedstawił Witolda Kossa, byłego dyrektora regionalnego LP w Szczecinie, i powierzył mu szefostwo Lasów Państwowych (jeszcze w trakcie kampanii Koss wystąpił wraz z innymi leśnikami na wiecu Koalicji Obywatelskiej w Płocku). Według uzyskanych przez „Tygodnik" informacji kilku innych kandydatów rozważanych na stanowisko dyrektora Lasów po prostu nie chciało jej podjąć. – Nie zazdroszczę panu Kossowi. Od ponad 30 lat ta posada nie była takim wyzwaniem jak dzisiaj – mówi prof. Jerzy Szwagrzyk, kierownik Katedry Bioróżnorodności Leśnej Wydziału Leśnego Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie.

Obecną atmosferę oddaje tytuł najnowszego tekstu na stronie LP: „Zmiany na stanowiskach dyrektorów Regionalnych Dyrekcji LP – aktualizacja". Mówiąc krótko: miotła ruszyła, sytuacja jest dynamiczna. Gdy piszę te słowa, jako rzecznik prasowy figuruje jeszcze Michał Gzowski – szara eminencja, polityk Suwerennej Polski, były doradca Zbigniewa Ziobry. Gdy odsyłam tekst do redakcji – już go tam nie ma, bo został dyscyplinarnie zwolniony. Stanowiska w LP już stracili (m.in. Bartłomiej Obajtek, brat prezesa Orlenu) albo zaraz stracą wszyscy ludzie związani z Suwerenną Polską i PiS. Równolegle toczy się drobiazgowy audyt finansowy ostatnich 8 lat. Jego pierwszym efektem są złożone przez Kossa zawiadomienia do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa przez Józefa Kubicę, Bartłomieja Obajtka i Jana Borkowskiego. Chodzi o sprzedanie za grosze trzech mieszkań służbowych w Gdyni (jedno z nich kupił Obajtek), co mogło narazić LP na 2,3 mln zł straty.

Moratorium z WhatsAppa

Wymiana kadr w kolosie zatrudniającym ponad 25 tys. ludzi jest konieczna. Ciężko wyobrazić sobie przecież reformowanie Lasów z partyjnymi nominatami od Ziobry w regionach (choć wśród ich następców też nie brakuje polityków rządzącej koalicji, jak choćby nowy dyrektor LP we Wrocławiu, Jan Dzięcielski), bo przez lata nie dali żadnego dowodu, że mogliby sprostać wyzwaniom przyszłości. Proces zmian na pewno jednak trochę potrwa, PiS-owi też zajęło to ponad pół roku.

> Nasze lasy pod wpływem zmian klimatycznych staną się dużo niższe, a krzaki zaczną wypierać drzewa.
> **Dziś jest najlepszy czas, by się na to przygotować.**

Dwa dni przed oficjalną nominacją nowego dyrektora LP, ministra klimatu niespodziewanie wydała mu pierwsze polecenie służbowe: wstrzymać na pół roku wycinkę w 10 obszarach. Lista to w zasadzie historia (niepełna) konfliktów obywateli z LP. Są więc fragmenty Puszczy Augustowskiej i Knyszyńskiej, jest projektowany Turnicki Park Narodowy, ale też lasy wokół uzdrowiska w Iwoniczu, część Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego, a także lasy pod Wrocławiem.

Skąd w ogóle ta lista? Jak koordynujący projekt wiceminister Dorożała, bez doświadczenia w leśnictwie, powołany na stanowisko 20 grudnia, zdołał już 8 stycznia przedstawić pomysł na ochronę ponad 90 tys. hektarów od Wrocławia po Augustów? I to bez wsparcia LP, którymi wtedy rządzili jeszcze ludzie Ziobry? Odpowiedź jest prosta: z pomocą przyszły organizacje pozarządowe, którym minister (słusznie) otworzył drzwi i zorganizował giełdę pomysłów. Oglądając efekt finalny, łatwo domyślić się, z kim się spotykał i wymieniał opiniami na specjalnej grupie na WhatsAppie. Wiadomo na przykład, że dokumentację 8 tys. hektarów Turnickiego Parku Narodowego przygotowała już lata temu fundacja Dziedzictwo Przyrodnicze – zbieżność treści z moratorium nie jest przypadkowa. W korzystaniu z tej pomocy nie ma nic złego, wręcz przeciwnie. Problem tkwi w czasowniku „domyślić się". Ministerstwo nie podało jasnych kryteriów ani składu zespołu, który wybrał „szczęśliwą dziesiątkę". – Chcemy szybkich rezultatów, bo czujemy wiatr w żaglach – mówi Marta Jagusztyn, prezeska fundacji Lasy i Obywatele. – Ale jakość procesu jest ważna. Mówimy o zarządzaniu jedną czwartą kraju, proces musi być przejrzysty, muszą być znane kryteria. Na dłuższą metę to decyduje o trwałości efektu. Co wcale nie oznacza, że sprawa musi się przeciągać.

Czasem lepiej wolniej

– Tempo było zawrotne. Minister chciał to mieć gotowe na sylwestra, a zapytania do przyrodników wysłano po 20 grudnia – przyznaje Antoni Kostka z fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze. – Organizacje podzieliły się na dwie grupy. Jedna mówi: zróbmy jak najwięcej, póki można. Druga, w tym my, uważa, że jak niechlujnie zrobimy pierwszy etap, to kolejnych nieprędko się doczekamy.

Styl komunikacji i skład listy jest oczywiście gorąco dyskutowany (brakuje na niej choćby Puszczy Bukowej czy pierścienia lasów wokół Warszawy), ale pomysł doraźnej ochrony jest raczej powszechnie akceptowany. W marcu ruszyć ma też leśny „okrągły stół" – marzenie ministerstwa. Druga ważna data to 10 lutego, kiedy minister będzie z wizytą w Dolinie Dolnej Odry; możemy spodziewać się wtedy deklaracji w sprawie pierwszego od ponad 20 lat nowego parku narodowego.

Na razie klimat do rozmów o lasach jest średni, bo 23 stycznia w Ustrzykach Dolnych protestowało kilkaset osób z branży drzewnej i zakładów usług leśnych. ZUL-e to podwykonawcy Lasów Państwowych – w dużym uproszczeniu to one sadzą, utrzymują i ścinają drzewa. To właśnie zulowcom z nadleśnictwa Bircza i Puszczy Knyszyńskiej najbardziej zaszkodziło ministerstwo, z dnia na dzień zabierając zakontraktowaną już pracę. Minister nie znalazł czasu, żeby się z nimi spotkać przed ogłoszeniem moratorium na wycinki. Do spotkania doszło później.

Tak je opisuje anonimowo jeden z zulowców: – Umówiliśmy się z nowym kierownictwem Lasów, przyjechaliśmy do dyrekcji. Z bocznych drzwi wyłonił się na-

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

Straż Leśna ochrania wywózkę drewna z Puszczy Białowieskiej, sierpień 2017 r.

gle nieproszony wiceminister Dorożała, zaproponował wspólne zdjęcie i wyszedł po krótkiej rozmowie.

Z drugiej strony: ciężko jest konsultować wstrzymanie wycinek z firmami, które tną drzewa, skoro ministerstwo już zapowiedziało rekompensaty. Przede wszystkim jest to więc klęska wizerunkowa. Niestety, kolejna już (po zamieszaniu z ustawą wiatrakową i lokalizacją elektrowni jądrowej) w wykonaniu nowego Ministerstwa Klimatu i Środowiska.

Ile lasów wyłączyć

Pierwszy poważny test leśnej polityki nowego rządu pokazał też pęknięcia w samej koalicji. Podczas sejmowej komisji ochrony środowiska 25 stycznia ministra Dorożałę subtelnie skrytykowały: Magdalena Filiks (KO), Daria Gosek-Popiołek (Lewica) i przewodnicząca Urszula Pasławska (PSL). Ta ostatnia, mimo że tak jak wiceminister należy do Trzeciej Drogi, powiedziała: „Panie ministrze, spotkamy się w lutym, proszę się przygotować". Dorożała godzinami mówił, tłumaczył, ale też kluczył, unikając dokładnej odpowiedzi na pytanie o gospodarcze koszty wprowadzenia moratorium. Siedzący kilka krzeseł dalej Witold Koss, dyrektor LP, po raz pierwszy odezwał się po 4 godzinach i 16 minutach. W kilku zdaniach wyliczył, ile na tych obszarach jest drewna (600 tys. m^3, czyli około 1 proc. rocznej produkcji Polski), ile z nich wymaga aktualizacji planów, o ile spadną obroty ZUL-i. Przesłanie było czytelne: najwięcej o lesie wiedzą sami leśnicy.

– Takiej sytuacji jeszcze nie było: wszyscy deklarują, że chcą poważnych zmian – mówi Marta Jagusztyn. – Leśnicy, politycy, przemysł, ZUL-e, przede wszystkim obywatele. Trzeba zważyć kwestie klimatyczne, interes przyrody, potrzeby surowcowe i racje różnych grup, wszystkich nie da się w pełni zadowolić. Politycy muszą zaprojektować mapę drogową, która nas poprowadzi do nowej polityki leśnej, ale część odpowiedzi wszystkie strony muszą wypracować podczas ogólnopolskiej narady.

Na razie spory bałagan spowodowało moratorium, które na pół roku wyłącza z gospodarki 0,6 proc. lasów publicznych w Polsce. Celem z umowy koalicyjnej jest 20 proc. – Jeśli w ciągu paru lat wyłączylibyśmy kilka procent, byłbym bardzo szczęśliwy – mówi prof. Jerzy Szwagrzyk. – 20 proc. w tak krótkim czasie? Nie potrafię uwierzyć.

Tak wielka operacja to już nie będzie tabelka z listą lasów, których nie tniemy. To przemodelowanie całego leśnictwa, które nie może być już nastawione tylko na gospodarkę albo na ochronę przyrody. Ono musi dbać o funkcję społeczną, retencję wody, ochronę gleby. Dzisiaj LP prawie wszystkie lasy traktują tak samo. By dojść do 20 proc., ale też nie zagłodzić przemysłu drzewnego, konieczny będzie podział. Część lasów zostanie wyłączona z gospodarki, inną zamienimy w plantacje desek. Do zrewidowania jest też system sprzedaży drewna, wynagradzania ZUL-i i odpowiedź na pytanie: jaki status mają mieć chronione lasy? Parki narodowe nigdy nie osiągną tej skali, a tworzenie ich w polskim systemie to dodatkowo bardzo trudny proces. Jeśli w ciągu kadencji powstaną dwa lub trzy, to będzie wielki sukces. Na ministerialnym biurku jest za to już dziś koncepcja 100 rezerwatów na 100-lecie Lasów Państwowych – i to da się zrobić szybko. Mamy też w polskim prawie pojęcie lasów ochronnych, tylko trzeba je doprecyzować.

Usiąść przy stole

Tak naprawdę potrzebny jest okrągły stół, który wymyśli lasy na nowo. I potrzebni są przy nim leśnicy, naukowcy, ekolodzy i biznes. Pretekstem oczywiście może być to, że PiS przestał rządzić, ale prawdziwym powodem są zmiany klimatyczne. 20 proc. wyłączonych z gospodarki lasów może bowiem okazać się „małym piwem" przy tym, co czeka nas za trzy, cztery dekady. Oczywiście można powiedzieć, że to szmat czasu, ale nie dla lasu – drzewa, które dzisiaj kiełkują, będą wtedy wciąż bardzo młode.

Cały nasz model leśnictwa jest oparty na przekonaniu, że las odnawia się bez problemu, rośnie raczej szybko, wysoko i daje dobre deski. To powoli przestaje być prawdą. Jak prognozują naukowcy, większość naszych lasów zmieni się w formacje 15-, 20-metrowe, może niższe. „Stanie się tak, bo drzewa będą musiały oszczędzać wodę w okresach suszy, gdyż każde pompowanie wody w górę to dla nich potężny wysiłek energetyczny. Coraz częściej będziemy mieć w nich raczej krzaki niż drzewa" – mówił w wywiadzie dla portalu Nauka o Klimacie prof. Krzysztof Świerkosz z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Dziś jest najlepszy moment, by się na ten czas dobrze przygotować. Mamy nowe rozdanie w rządzie i LP, a i resortowi, mimo wpadek, nie sposób odmówić determinacji w ochronie lasów. Powinniśmy działać szybko, ale też spokojnie – w następnych latach jeszcze „sypnie" drewnem. Ciągle przecież tniemy to, co sadzili nasi przodkowie po wojnie, jest więc czas, by zaprojektować łagodne lądowanie dla przemysłu. Mamy również niespotykaną mobilizację społeczną. Albo ją wykorzystamy, albo nadal będziemy trzymać ten sam kurs. Prosto na skały.

©℗ KRZYSZTOF STORY

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Adrian Zandberg i Magdalena Biejat rozdają drożdżówki w ramach kampanii wyborczej Lewicy. Warszawa, październik 2019 r.

Zrobieni na zielono

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Decyzja PO, by w wyborach samorządowych nie tworzyć komitetu wspólnie z Lewicą, oznacza, że Donald Tusk postawił na wzmocnienie własnej hegemonii w koalicji.

Zerwanie rozmów z Lewicą w sprawie wspólnych list do samorządów to pierwszy sygnał, że wewnątrz koalicji rządzącej, mimo pozorów jedności, toczy się ostra walka. Spodziewany słaby rezultat w wyborach lokalnych może sprawić, że pozycja negocjacyjna Włodzimierza Czarzastego mocno spadnie. Tego właśnie chce Tusk, którego niektórzy podejrzewają wręcz o chęć utopienia Lewicy, obecnie najsłabszego podmiotu w koalicji.

Platforma przeciągała negocjacje z Lewicą, a decyzja o samodzielnym starcie zapadła niespodziewanie i wywołała ogromne zaskoczenie sojusznika. Jedną z istotnych przesłanek była obawa Tuska przed nadmiernym wzmocnieniem Trzeciej Drogi, gdyby KO zbytnio przesunęła się w lewo (choć sama PO obficie korzysta z programu Lewicy). Notowania TD już i tak są zaskakująco wysokie, zapewne dzięki Szymonowi Hołowni w roli marszałka Sejmu.

– Zadziałała zasada Grzegorza Schetyny z 2019 roku – mówi jeden z polityków KO. – Ówczesny lider Platformy był wtedy architektem Koalicji Europejskiej. Poza PO uczestniczyły w niej SLD, PSL, Nowoczesna i Zieloni, które wystawiły wspólne listy do europarlamentu. I choć bez tej współpracy nie byłoby potem paktu senackiego, a być może także Koalicji 15 października, to jednak tamten eksperyment nie był udany, bo przegraliśmy z PiS. Gdy po porażce z koalicji wycofał się PSL, Schetyna odmówił tworzenia na jesienne wybory parlamentarne sojuszu z samym SLD, by takiego bloku nie postrzegano jako „centrolewu". Dzięki temu jednak wszystkie ugrupowania lewicowe: SLD, Wiosna i Razem, zostały zmuszone do porozumienia, co zaowocowało ich powrotem do Sejmu po 4 latach.

Polityk KO przypomina, że to właśnie SLD odniosło największe korzyści z przegranych wyborów do europarlamentu w 2019 r. – mandaty zdobyli wówczas m.in. byli premierzy Marek Belka, Włodzimierz Cimoszewicz i Leszek Miller. Teraz, dodaje polityk KO, Lewica w podobny sposób chciałaby „spijać śmietankę". W negocjacjach żądała w wielu okręgach pierwszych miejsc, nie paląc się zarazem do obsadzania swoimi działaczami tych dalszych. Brak realnej oceny własnej siły wywołał niechęć Tuska, a zwłaszcza liderów regionalnych PO, którzy mieliby utykać lewicowców na listach kosztem swoich ludzi.

Jedyny korzystny dla Lewicy skutek to – być może – ponowne zbliżenie głównego nurtu z Partią Razem, która z racji zlekceważenia jej postulatów przez Tuska (głównie mieszkaniowych) nie weszła do koalicji rządzącej. Ugrupowanie to, jeszcze w trakcie negocjacji Nowej Lewicy Czarzastego z PO, planowało samodzielny start w wyborach do niższych szczebli samorządu, dopuszczając jedynie wspólne listy na poziomie sejmików. Widać było też, jak ostro Adrian Zandberg krytykuje nowy rząd za kontynuację push-backów na granicy. Ostatnia decyzja Tuska zapewne spowoduje, że środowiska lewicowe będą znowu zwierać szeregi, także z lokalnymi stowarzyszeniami. W Warszawie ma np. powstać koalicja Nowej Lewicy, Razem i Miasto Jest Nasze, a jej kandydatką na prezydenta ma być wicemarszałek Senatu Magdalena Biejat.

Nie jest wykluczone, że samodzielny start całej Lewicy, przy niskich notowaniach w sondażach, będzie zmuszał jej działaczy do aktywności niekorzystnej dla Koalicji 15 października. Nowa Lewica Czarzastego i Biedronia była dotąd wiernym sojusznikiem PO w kontrowersyjnych sprawach, takich jak działania ministrów Sienkiewicza i Bodnara. Partia Razem była bardziej sceptyczna, ciekawie więc będzie obserwować, jak zmieni się narracja całego środowiska, pragnącego odróżnić się w kampanii.

Zerwanie negocjacji przez Tuska cieszy głównie działaczy PO, którzy nie będą się musieli z nikim dzielić „jedynkami". Martwi za to inne podmioty KO – Nowoczesną, Inicjatywę Polską i Zielonych, które także zatracają swą podmiotowość. Działacze dwóch pierwszych przyznają, że są już praktycznie częścią PO, a tylko Zieloni zachowali resztki autonomii. Jednak oni też przeżywają kryzys; nie widać ich w mediach, nie są aktywni – poza Klaudią Jachirą, od dawna uważaną jednak za *enfant terrible* KO. Jedynym sukcesem Zielonych było objęcie przez Urszulę Zielińską stanowiska wiceministry klimatu i środowiska.

Ostatecznie może się okazać, że do kolejnych wyborów parlamentarnych w 2027 r. sytuacja w Koalicji Obywatelskiej zmieni się na tyle, że będzie mogła wrócić do starej nazwy. Wystarczy poprawić pierwsze słowo. ©

TOMASZ

Stawiszyński:
Zatarte granice

Niedługo przed styczniowymi prawyborami w New Hampshire rozdzwoniły się telefony. W słuchawce prezydent Joe Biden, a dokładniej: jego nagrany na taśmę głos zachęcał, żeby na prawybory nie iść. Najważniejsze – podkreślał – będą wybory właściwe, listopadowe. Zostańcie więc teraz w domu, nie zawracajcie sobie głowy, dajcie spokój.

I chociaż głos do złudzenia przypominał ten Bidena, a na dodatek posługiwał się różnymi charakterystycznymi dla niego powiedzonkami, przekaz od razu wzbudził podejrzenia. No bo czy to nie dziwne? Prezydent wiodącej (przynajmniej do niedawna) światowej demokracji zachęca do niegłosowania?

Istotnie: krótkie dziennikarskie dochodzenie wykazało, że Joe Biden nigdy tych zdań nie wypowiedział. Nagranie, które odtwarzano w telefonach, zostało od początku do końca wygenerowane przez sztuczną inteligencję. Kto za tym stał? Kto zorganizował tę akcję? Nie wiadomo, przynajmniej na razie. Podobnie nie wiadomo, kto puścił niedawno w wirtualny obieg film, na którym premier Wielkiej Brytanii Rishi Sunak tłumaczy się z testowania przez brytyjski rząd jakiejś stworzonej ponoć przez Elona Muska aplikacji. Z raportu przygotowanego przez firmę Fenimore Harper wynika, że opublikowano go na 143 kontach facebookowych z 23 krajów, m.in. USA, Turcji, Malezji i Filipin. Dotarł – z wykorzystaniem mechanizmu płatnej promocji treści – do 400 tysięcy ludzi.

Takich przypadków jest coraz więcej, a będzie ich tylko przybywać. Granica pomiędzy nierzeczywistością a rzeczywistością zaciera się także w tych obszarach, w których dotąd pozostawała jeszcze jako tako wykrywalna. Wkrótce nie będziemy już więc w stanie stwierdzić, co jest zapisem jakiegoś zdarzenia, a co sztucznie wygenerowaną kreacją. Wszystko stanie się równie realne, bez żadnych, najsubtelniejszych nawet różnic, bez żadnych dysonansów, które tu i tam, jak na razie, wywołują ulotne wrażenie nienaturalności cyfrowych artefaktów. Również nasze rozumienie takich pojęć jak „rzeczywistość", „prawda", „kłamstwo", „fakt" czy „zdarzenie" ulegnie – nie po raz pierwszy zresztą – redefinicji. Po raz pierwszy jednak sięgnie ona samej istoty, samego fundamentu tych kategorii. Przed nami rewolucja, której konsekwencje są dzisiaj na dobrą sprawę niewyobrażalne.

Ale, jak wiadomo, akcja rodzi reakcję, a to zasadnicze prawo fizyki, okazuje się, działa również na rynku technologicznym. Specjaliści od sztucznej inteligencji zastanawiają się od pewnego czasu, w jaki sposób zabezpieczyć się przed najbardziej opłakanymi skutkami tego powszechnego odrealnienia. Oprócz pomysłu, żeby każda powstała za sprawą technologii *deepfake* treść nosiła na sobie niezmywalne znamię – coś w rodzaju „znaku wodnego", który pozwalałby na jej łatwą identyfikację – pojawiają się też propozycje zaprzęgnięcia sztucznej inteligencji do... wykrywania wytworów sztucznej inteligencji.

Tyle że wcale nie wiadomo, czy to w ogóle kiedykolwiek będzie możliwe. Na razie należy się spodziewać – przynajmniej przez jakiś czas – narastającego zamętu i chaosu. Jeszcze większej ekspansji teorii spiskowych, pseudonauki, kłamstw i matactw oraz karmiącej się tym wszystkim, a zarazem to wszystko napędzającej, jawnej i niejawnej politycznej propagandy. Służby specjalne i organizacje przestępcze niewątpliwie zyskają mnóstwo nowych narzędzi. Podobnie jak każdy, kto jest choćby odrobinę zaznajomiony z obsługą komputera (a kto dzisiaj nie jest?), bo że za kilka lat da się wygenerować zaawansowane symulacje rzeczywistości na domowym laptopie – nie ma wątpliwości. Zresztą już teraz zwraca na to uwagę amerykańskie Federalne Biuro Śledcze. W oświadczeniu opublikowanym w czerwcu 2023 r. przestrzega przed szantażem przy użyciu sfabrykowanych filmów pornograficznych. A przecież jesteśmy dopiero na początku tej drogi.

Niemniej, istnieje też szansa – wcale nie taka mała, jak sądzę – że zatarcie granic spowoduje, paradoksalnie, uświadomienie sobie na nowo, jak bardzo te granice są istotne. Że zatem pojawią się – już się przecież pojawiają – liczne ośrodki wyspecjalizowane w żmudnym odsiewaniu ziaren od plew. Że na nowo odkryjemy, jak wielką wartością są niezależne media – nie tożsamościowe, tylko merytoryczne; nie pod władzą polityków, lecz ekspertów; nie w formie pięciu redaktorów na krzyż pracujących online, ale w silnej, zintegrowanej, finansowo stabilnej redakcji, gdzie istnieje podział kompetencji i obowiązków. Że zrozumiemy, jak fundamentalną sprawą jest niezapośredniczony wirtualnie kontakt z innymi: bliskość, więzi rodzinne, przyjaźń, miłość, lojalność, wsparcie i bycie ze sobą oraz dla siebie. Że, wreszcie, przynajmniej częściowo odrzucimy oddzielające nas cyfrowe skafandry – sztuczne raje z Instagrama, sztuczne uśmiechy z Facebooka, sztuczne życiorysy na potrzeby innych sztucznych życiorysów – i zaczniemy znowu zbliżać się do siebie rzeczywistych, a nie idealnych (czyli nieistniejących).

Jest, owszem, na to szansa, kiedy już wszelkie granice się zatrą. Ale czy aby na pewno musimy i chcemy czekać z nią aż do tej chwili? ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na **powszech.net/wspieram**

fanimani.pl

REPORTAŻ

ODBITY

Historie takie jak jego – 15-latka z zespołem Downa i od zawsze bez domu – kończą się w Polsce dożywociem w DPS. Chyba że jakiś urzędnik powie: „Po moim trupie". A jego podwładna złamie swe życiowe pryncypia.

TEKST: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI | ZDJĘCIA: IWONA WOJDOWSKA DLA „TP"

Frytki, kurczaka pieczonego oraz sałatkę pomidorowo-ogórkową nabija na widelec z takim skupieniem, jakby od tego zależało powodzenie przemiany materii. Dzień dzisiejszy opowie tak sugestywnie, że nawet niewyraźna mowa (wszystkie słowa wychwyci tylko ktoś, kto zna go dłużej) nie zburzy fabuły. Skok do basenu oraz nalewanie kawy paniom w internacie w jego pantomimie będą wyglądać jak prawdziwy skok i prawdziwe nalewanie. Na zwieńczoną sukcesem próbę nowych baterii w dyktafonie zareaguje tak samo jak na inne dobre wieści, tj. głośno i entuzjastycznie („Działa!").

Środek stycznia, Gdynia Dąbrowa, spokojna dzielnica miasta – stary i duży dom zamieszkały przez Beatę Potocką i jej ośmioro adoptowanych bądź przyjętych do rodziny zastępczej dzieci. Przyjechałem tu, by poznać Kacpra – ósmego z kolei.

– Mnie ta historia tyleż urzeka, co złości – usłyszałem kilka tygodni wcześniej od Anny Krawczak, ekspertki od praw dzieci, jedynej osoby w tym tekście, która w historię Kacpra nie jest bezpośrednio zaangażowana.

A zaangażowani są, poza Kacprem: Beata Potocka, pedagożka i psychotraumatolożka, oraz Michał Guć, wiceprezydent Gdyni ds. innowacji, odpowiedzialny m.in. za pieczę zastępczą. Czyli, mówiąc po ludzku, za to, by dzieci zostawione przez biologicznych rodziców bądź im odebrane miały bezpieczne i możliwie szczęśliwe życie.

Odsłona pierwsza, czyli jedyny świat

Dzieci takie jak Kacper – z dodatkowym tzw. chromosomem 21 – szanse na możliwie szczęśliwe życie mają mniejsze. Częściej zostają same po narodzeniu: biologiczna matka wychodzi ze szpitala, czasami – to wariant optymistyczny – zrzeka się praw. Jej podpis otwiera szansę na adopcję. Większość par chce jednak dziecka bez wad. Mniejsza jest też szansa na rodzinę zastępczą, której – tak też bywa – samorząd nawet „dla takiego dziecka" nie szuka. Co 15 lat temu zrobił samorząd w sprawie Kacpra, nie wiemy. W ogóle niewiele o jego początkach wiemy.

Podobno rodzice sobie nie radzili. Podobno Kacper przeleżał kilka miesięcy w szpitalu. Podobno szukano nowej rodziny, ale bez skutku (jedna była nawet podobno chętna, ale zrezygnowała). Później – to wiadomo na pewno – trafił do Domu im. J. Korczaka, czyli Regionalnej Placówki Opiekuńczo-Terapeutycznej w Gdańsku, a więc najbliższej instytucji tego typu. Tego typu, a więc dla dzieci, które – zgodnie z prawem regulującym pieczę zastępczą – „ze względu na stan zdrowia wymagają stosowania specjalistycznej opieki i rehabilitacji oraz nie mogą zostać umieszczone w rodzinnej pieczy zastępczej". Do tego, czy faktycznie „nie mogą", jeszcze wrócimy.

W „Korczaku" przezimuje długo. Z takich placówek wychodzi się zwykle w wieku 12 lat – Kacper na Abrahama 56 w Gdańsku (długi, parterowy budynek otoczony trawą i drzewami) doczeka 15. urodzin.

A gdy dłużej się już nie da, sąd zawyrokuje: dom pomocy społecznej.

– Kacper nie był gdyńskim dzieckiem. Ale decyzję o umieszczeniu w DPS podejmuje samorząd, w którego granicach mieszka opiekun prawny zainteresowanego, a opiekunka Kacpra mieszka w Gdyni. To dlatego dostałem papiery Kacpra na biurko – wspomina wiceprezydent Guć. I dodaje, że gdyby chłopak już do DPS-u trafił, sprawa byłaby nie do odkręcenia: – W Polsce dziecko z placówki regionalnej trafia do domu pomocy dla dzieci i młodzieży, a potem do DPS-u dla dorosłych. To standard. Standard oswajany zdaniami: „Tu mają opiekę najlepszą z możliwych". Albo: „Ten dom prowadzą wspaniałe siostry".

Przecież są niepełnosprawne

– W „Korczaku" też myślano o drodze Kacpra jak o „naturalnej drodze takiego dziecka" – mówi Beata Potocka. – Mit placówki jako „jedynego miejsca zapewniającego rehabilitację i pomoc okołomedyczną" jest szeroko rozpowszechniony.

– Powiem panu więcej: ten mit powiela polskie prawo! – denerwuje się Potocka i przytacza wspomniany fragment ustawy o dzieciach, które „ze względu na stan zdrowia" nie mogą być w rodzinie. – Choć przecież historia mojej rodziny i wielu innych pokazuje, że takie dzieci nie istnieją. To zresztą niejedyny

Beata Potocka z synem Kacprem. Gdynia, styczeń 2024 r.

przykład dyskryminacji. Polskie prawo ucywilizowało placówki dla młodych, zastrzegając, że np. w domach dziecka nie może mieszkać więcej niż czternaścioro. Ale już w placówkach takich jak ta Kacpra może być dzieci 45! To nie wszystko: w instytucjach całodobowych nie można umieszczać dzieci poniżej 10. roku życia. Ale istnieją wyjątki, a wśród nich, a jakże... niepełnosprawność.

Na koniec 2022 r. w placówkach pieczy zastępczej było 16,6 tys. dzieci, z czego ponad 2 tys. z orzeczeniami o niepełnosprawności. Ale to statystyki mylące: setki dzieci mieszkają w DPS-ach, które należą nie do pieczy, a do pomocy społecznej. „Miejsce dzieci z niepełnosprawnościami jest w rodzinie zastępczej, a nie w DPS" – alarmował w 2022 r. rzecznik praw obywatelskich. Dodawał oczywistość: że takie placówki nie zaspokajają potrzeb dzieci.

– Zaburzają więzi, utrudniają nawiązanie i utrzymanie relacji – wylicza Beata Potocka. – Jest tak, bo nie ma jednego, tzw. bazowego opiekuna, jak mama czy tata. Jest pani Jadzia, która może być przy dzieciach 12 godzin, a potem idzie do domu, więc nie ma jej, gdy np. dziecko potrzebuje przytulenia albo rozmowy. A potem kolejne panie.

– Proponuję prosty eksperyment – mówi prezydent Guć. – Wyobraź sobie, że ktoś bardzo ci bliski – syn, wnuk – w wyniku losowego zdarzenia musi na stałe albo czasowo zamieszkać poza rodziną. Chcesz, by był pod okiem jednej, znającej go osoby 24 godziny na dobę, czy wychowawców, którzy po pracy idą do swoich synów i córek?

Odsłona druga, czyli zasady

– Podobno powiedział pan: „Po moim trupie"? – pytam prezydenta Gucia.

– Tak powiedziałem.

– To był wyrok sądu ze wskazaniem, czyli adresem konkretnego DPS-u.

– Tak było.

– Wolno panu odmówić?

– Nie konsultowałem tego z prawnikami. Miałem ukształtowany pogląd, co trzeba zrobić. Choć ten prawny argument padł z ust jednego z moich urzędników odpowiedzialnych za umieszczenia w DPS-ach.

– Co pan odpowiedział?

– Żeby mnie za to sądzili. I że chętnie bym poszedł na takie zwarcie.

– Chętnie?

– Taka demonstracja by się przydała. Może dałaby komuś do myślenia, że praktyka umieszczania dzieci w DPS-ach to patologia.

Maj 2023 r., prezydent Guć rozpuszcza wici i alarmuje: potrzebna rodzina dla 15-latka. Jeden z pierwszych telefonów z pytaniem o kandydatów wykonuje do Beaty Potockiej – prowadzącej jedną z „jego", znaczy gdyńskich rodzin zastępczych.

Potocka: – Wiedziałam, że to musi być rodzina pracująca z dziećmi niepełnosprawnymi i takimi, które mają trudności w nawiązywaniu więzi. Myślałam też ↦

↦ o kimś, kto już ma dzieci z zespołem Downa. Wiedziałam, że znalezienie takiej rodziny, nawet w Gdyni, gdzie jest ich sporo, nie będzie proste.

Prezydent: – W rodzinie zastępczej jest inaczej niż w domu dziecka albo DPS. Tu nie ma kwestii „wolnego łóżka". Tu decyzja jest na lata albo na życie. Pytałem w wielu miejscach, bez skutku. Beaty Potockiej nie rozważałem. Przecież miała już ósemkę. No i lata temu powiedziała: przyjmuje tylko dziewczynki.

Żadnych rodzinnych planów

O trzech z nich – pochodzących jak Kacper z „Korczaka" – opowiedziała „Tygodnikowi" w wywiadzie trzy lata temu.

O Agnieszce, dziewczynce z zaburzeniami hiperkinetycznymi, wadą serca i zrośniętym przełykiem. O jej przeszłości i trudnych zachowaniach, gdy już do Beaty trafiła („Np. nagle zaczynała krzyczeć w miejscu publicznym"). I o zachwycie: „Dziś o siódmej trzydzieści weszła do gabinetu, powiedziała »dzień dobry«. Odwróciła się do mnie, pomachała, poszła. Opowiadam panu o czymś, czego raczej nie zrozumie rodzic pełnosprawnego, zdrowego dziecka".

O Nikoli, którą znała z wizyt u Agnieszki, ale nie wiązała z nią rodzinnych planów. O tym, że Nikola miała nie żyć: w jej organizmie po narodzeniu wykryto 4,26 promila alkoholu... O tym, że z „Korczaka" zapamiętała „dziewczynkę siedzącą prawie bez ruchu. Robiła tylko jedno: mechanicznie, niemal beznamiętnie wprawiała w ruch wiszącą przy niej materiałową huśtawkę".

O decyzji Nikoli – gdy była już u Beaty – by żyć. „Pamiętam jedną noc – kolejną z płaczem i krzykiem. Zabrałam Nikolę do naszego łóżka. Przez pozostałą połowę nocy nie drgnęła i nie wydała dźwięku. Przylgnęła do nas swoim maleńkim ciałem, produkując niebywałą ilość ciepła – tak jakby dostała gorączki (...) Spała. Niemal fizycznie mogłam poczuć jej szczęście. Wtedy sobie uzmysłowiłam, że ona w wieku pięciu lat po raz pierwszy w życiu trafiła do kogoś do łóżka".

O Asi, w sprawie której zadzwoniono do Beaty po radę: gdzie by można ją wysłać. Skądże znowu, Beata także z Asią nie wiązała rodzinnych planów.

W tamtym wywiadzie Beata Potocka nie opowiedziała o Kacprze. Choć musiała go już kojarzyć: podczas licznych wizyt w „Korczaku" przewijał się w tle. Nie, nie na tyle – rzecz jasna – by wiązać z nim rodzinne plany.

Odsłona trzecia, czyli „może jednak"?

Beata Potocka: – W pewnym momencie prezydent powiedział, że może Kacper, który uczy się w szkole specjalnej, mógłby spędzać środek tygodnia w internacie, a weekendy w rodzinie, gdyby się taka znalazła. Pomyślałam z ulgą: internat ich odciąży, dadzą radę.

– Kiedy pomyślała Pani: „Dam radę?".

– Nie pamiętam. Ale przypominam sobie dwa komunikaty: z głowy i z serca. Ten z głowy, o internacie, już pan zna. A z serca: że on przez całe życie był odrzucany ze względu na zespół Downa. I że teraz byłby odrzucony dlatego, że jest... chłopcem.

Prezydent Guć: – Pamiętam swoją ambiwalencję... Z jednej strony wiedziałem, że to najlepsze miejsce dla Kacpra pod słońcem. Z drugiej pamiętałem: tylko dziewczynki... Kiedyś nawet, gdy powstał pomysł tworzenia ogólnopolskiej bazy danych w pieczy rodzinnej, usłyszałem od Beaty: „To teraz sąd postanowi, że do mnie trafi chłopiec z Łomży, bo będę akurat miała miejsce? I nikt się nie zastanowi, czy on tu pasuje?".

Beata Potocka: – Zaczęłam myśleć, jak przeorganizować nasze życie. I szybko poczułam się bezpiecznie. Wiceprezydent zaprosił do siebie strony: szefostwo MOPS, mnie, organizatora pieczy. To było spotkanie o tym, czego potrzebujemy. Sygnał, że nie będę sama.

Dlaczego Gdynia może?

Z Anną Krawczak wracamy do kwestii złości. – Losy tego chłopca – mówi – nie są wynikiem cudu, a pracy.

Po pierwsze, uściśla Krawczak, doboru odpowiednich ludzi: – Takich jak prezydent Guć i Franciszek Bronk, który zawiaduje gdyńską pieczą. Odbyli ileś studyjnych wizyt za granicą, by zobaczyć, jak to się w innym miejscach robi. I przeczytali ileś specjalistycznych opracowań.

Po drugie, strategii: – Gdynia nie szła za porywem entuzjazmu. Placówki, zgodnie z przyjętą w Polsce zasadą deinstytucjonalizacji, likwiduje stopniowo. I nie wysyła do nich dzieci do 10. roku życia. Dlaczego tu się udaje, a w innych miejscach nie? Bo w Gdyni zbudowano sieć rodzicielstwa zastępczego.

Po trzecie, zaufania rodziców zastępczych do urzędników. – Owszem, Beata Potocka jest niezwykła – mówi Anna Krawczak. – Ale żeby takie osoby mogły działać, muszą mieć warunki. I nie chodzi wyłącznie o pieniądze, które w wielu samorządach nie wystarczają rodzicom zastępczym na przeżycie. Jedna rodzina będzie potrzebować dużego domu w centrum miasta, ktoś inny opieki wytchnieniowej, bo ma w domu niemowlaki, ktoś kolejny pomocy w pracach gospodarskich, a ktoś jeszcze inny „tylko" psychologa i fizjoterapii. I albo urzędnicy, jak w Gdyni i kilku innych miejscach, to rozumieją, albo nie. W tym drugim przypadku zarządzają pieczą zastępczą jak paletami w magazynie sklepowym.

– A co do złości, to mam kilka pytań – puentuje Krawczak. – Skoro w Gdyni się da, to dlaczego ci ludzie nie zostali nigdy zaproszeni do tworzenia ogólnopolskiej strategii? Dlaczego nikt ich nie spytał: jak znaleźli odpowiednią liczbę rodzin zastępczych? W innych miastach też są urzędnicy, którzy w porywie serca mogliby powiedzieć: „Po moim trupie". Tylko na tym zdaniu mogłoby się skończyć, bo potem dla tego dziecka mogłaby się nie znaleźć rodzina.

Odsłona czwarta, czyli przejście

Wakacje 2023 r. Beata Potocka stawia, m.in. po konsultacji z psychiatrą dziecięcym, warunek: przejście Kacpra musi być stopniowe i muszą w nim uczestniczyć wszyscy bliscy mu ludzie. – To ważny moment tej historii: warunek, by zmiana w życiu dziecka była zauważona. My sobie możemy mówić, że placówki są złe dla dzieci, bo są złe, ale dla Kacpra ta placówka to był jedyny znany dom – opowiada Anna Krawczak, która opracowuje i prowadzi wraz z Beatą Potocką szkolenia dotyczące przechodzenia dzieci z placówek do rodzin.

Punkt pierwszy: spotkanie Kacpra i Beaty w „Korczaku". Jeszcze nie we dwoje – poza nimi dwojgiem jest też pracownik placówki. Później kolejne – już sam na sam.

Krok następny: Beata i Kacper zataczają kręgi. On śpi w „Korczaku", ona zabiera go na spacery. Najpierw wokół placówki – po znanych alejkach. Później w nieodległym parku Oliwskim: też znanymi alejkami

Kacper z rodziną. Gdynia, styczeń 2024 r.

i wśród miejsc, które Kacper kojarzy (np. zabytkowa palmiarnia).

Etap kolejny: nowe miejsce. – Kręgielnia – mówi Beata Potocka. – Sam Kacper ją zaproponował, i było to nasze pierwsze wyjście poza jego strefę komfortu.

Następny: „symboliczne zasiedlanie". W domu Beaty Potockiej powstaje pokój Kacpra, do którego jednak chłopiec na razie nie trafia. Za to dostaje jego kolejne fotografie, także z kupionymi specjalnie na tę okazję zabawkami – jego zabawkami. I zdjęcia z innych części domu, a na nich córki Beaty i plączący się wśród nich mały pies – grzywacz chiński.

Kolejny: Kacper odwiedza dom Beaty, wpierw w towarzystwie opiekunki z „Korczaka". Później bez opiekunki. Z zabawką, którą zostawia w nowym domu. Bez zabawki.

– Wszystko to trwało kilka miesięcy, w międzyczasie odbył się rytuał rozstania z paniami z „Korczaka" – wspomina Beata Potocka.

Wreszcie etap ostatni, trwający nadal, który skończy się w okolicach letnich wakacji 2024 r. – powolne rozstawanie się z internatem, w którym Kacper śpi teraz zwykle cztery noce w tygodniu (w domu trzy).

– To, że ten plan przejścia przyjęła Beata, to żadna sensacja – podsumowuje Anna Krawczak. – Ważniejsze, że usankcjonowały je urzędy i instytucje. I to jest duża sprawa: pokazuje, że w Polsce możliwe jest zobaczenie dziecka i jego perspektywy.

Beata Potocka: – Gdy to wszystko już się wydarzyło, przyszedł do mnie wiceprezydent z żoną. Cóż mogę panu powiedzieć... Tak, to była duża chwila.

Syn

Środek stycznia, dom Beaty Potockiej.

– Proszę się przygotować na bodźce, dużo bodźców. Osoby, które nas odwiedzają, zwykle są zadowolone, ale mówią też potem, że były zmęczone – znaczenie tych zdań poznam w ciągu najbliższych godzin.

Agnieszka wróci ze szkoły z płaczem, który Beata będzie koiła kilkunastoma sesjami przytulania. Kacper wpadnie z drewnianą deseczką, na której narysował choinkę, i wręczy ją Beacie, domagając się recenzji. Jego kolejne pantomimy (jak ta z basenem) będą coraz donośniejsze. Beata przeczyta w dzienniczku, że wkrótce ma – na potrzeby szkolnej zabawy – przebrać swoje cztery chodzące do tej samej placówki dzieci w cztery różne owoce, i będzie z tego sporo śmiechu. A w czasie obiadu przeleci nad naszymi głowami plastikowa butelka i metalowy sztuciec – pokłosie dwóch nieporozumień.

– O Beacie? W kilku zdaniach? – pyta Anna Krawczak, gdy proszę o krótki rys matki Kacpra, którą dobrze zna zawodowo. – Ciężko będzie nielaurkowo, bo poza tym, że żywi się żelkami i kupuje ciągle nowe torebki, to ciężko mi na nią coś znaleźć. Beata to przykład, jak specjalistyczne kompetencje przenikają się z rolą matki. Beata to przykład, że rodzic zastępczy nie jest odlewany z formy podczas szkolenia. On wtedy podejmuje tylko decyzję, że chce być do końca dla dzieci, ale później musi być gotowy na wielki samorozwój. Beata to klasyczny przykład kogoś, kto robi duże rzeczy, ale nie lubi być nazywany bohaterem z misją. Aha, i jeszcze jedno. Ona nie jest udręczoną matką Polką: wybór, którego dokonała, sprawia jej radość.

– Mogę powiedzieć o Kacprze, ale to będzie zwyczajne – ostrzega prezydent Guć. – On jest tylko nieco młodszy od mojego syna, więc przypomina mi go sprzed kilku lat: dojrzewający, energiczny, niezwykle ciekaw świata chłopiec, który pod dachem Beaty na pewno urośnie. Bo tam dzieciom rosną skrzydła.

Beata Potocka: – Mój wybitny syn. Wybitnie układający klocki Lego i zapinający guziki w koszuli, choć z jego wadą takie czynności są trudne. Świetnie tańczący break dance. Wchodzący na sam szczyt ścianki wspinaczkowej. Ultrapogodny. Za każdym razem, gdy wysiada pod domem z busa, krzyczy: „Mamo!". Jeszcze znaczenia tego słowa do końca nie zna, ale mam nadzieję, że pozna.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

WIARA

CZY PIEKŁO JEST PUSTE

Potrzebujemy strachu przed potępieniem, by dobrze żyć? Trudno sobie wyobrazić radość w niebie, którego mieszkańcy mają świadomość istnienia miejsca wiecznej kaźni – mówią zwolennicy tezy o nadziei powszechnego zbawienia.

ARTUR SPORNIAK

To nie dogmat wiary. To, co powiem, to moje osobiste przekonanie, które mi się podoba. Lubię myśleć, że piekło jest puste" – powiedział papież Franciszek w popularnym włoskim programie „Che Tempo Che Fa", oglądanym na żywo przez 3 mln widzów. Po czym jeszcze raz zastrzegł: „To pragnienie. Mam nadzieję, że taka jest też rzeczywistość, ale to pragnienie".

Mimo tych wielokrotnych zastrzeżeń i specyficznego miejsca wypowiedzi (Edward Augustyn na tych łamach nazwał papieską wypowiedź „nauczaniem na poziomie talk-show", zob. powszech.net/talk-show), uwaga Franciszka wywołała gorące reakcje. Nieważne, jak niską rangę kościelną miała wypowiedź, papież dotknął tematu, który łączy w sobie wiele fundamentalnych dla religii kwestii i ma odniesienie do wielkiej, niekończącej się debaty teologicznej.

Reakcje na słowa papieża

Setki ludzi pytało na platformie X: a co z Hitlerem i innymi czarnymi postaciami historii? Co ze sprawiedliwością? Co z Biblią? „Piekło jest rzeczywistością według Naszego Pana Jezusa i objawień Matki Bożej Fatimskiej. Ci, którzy mó-

wią, że piekło jest puste, czynią Jezusa kłamcą i naśmiewają się z naszej wiary, która uczy, że w piekle jest diabeł i jego aniołowie, a także ludzie, którzy odrzucają Chrystusa" – napisano w komentarzu na prawicowym religijnym portalu lifesitenews.com.

Inni przytaczali Modlitwę Fatimską i pytali, czy ona nie jest zgodna z nadzieją papieża: „O mój Jezu, przebacz nam nasze grzechy, zachowaj nas od ognia piekielnego, zaprowadź wszystkie dusze do nieba, i dopomóż szczególnie tym, którzy najbardziej potrzebują Twojego miłosierdzia". Wywiązał się też pojedynek na biblijne cytaty mówiące o perspektywie piekła, ale także o perspektywie zbawienia dla wszystkich.

Wielu oskarżyło Franciszka o szerzenie herezji uniwersalizmu – przekonania, że wszystkie dusze idą do nieba, niezależnie od tego, czy żałują za swoje grzechy, czy nie. Inni przypominali, że papież wielokrotnie mówił o diable i piekle, np. kiedy w 2014 r. w mocnych słowach upominał członków mafii, żeby się nawrócili, „póki jest jeszcze czas, aby nie trafić do piekła". „To właśnie cię czeka, jeśli będziesz podążać tą ścieżką" – przestrzegał Franciszek mafiozów.

Herezję uniwersalizmu zarzucił papieżowi także znany amerykański ewangelizator katolicki Ralph Martin. „Choć papież przedstawia jedynie swoje osobiste spekulacje na temat możliwości, że piekło będzie puste, choć ma jedynie taką nadzieję, i jasno stwierdza, że nie jest to oficjalne nauczanie Kościoła, to jednak ta wypowiedź jest niezwykle szkodliwa". Bo jeśli piekło jest lub będzie puste, czy naprawdę musimy się starać przestrzegać Bożych przykazań i tego, czego nauczał Jezus oraz apostołowie? – pyta ewangelizator w swoim komentarzu i zauważa: „Prawdy dotyczące ostatecznego przeznaczenia istot ludzkich są najważniejszymi prawdami, jakie ludzie powinni znać; niestety coraz rzadziej się o nich mówi". A sam papież – uważa Martin – przyczynia się do ich rozmywania. Tym bardziej że – jak naucza Jezus, a za nim Kościół – wąska jest brama do życia, w przeciwieństwie do szerokiej bramy prowadzącej ku zatraceniu. Łatwo jest zatem trafić do piekła, i w istocie większość tam trafia, jak – zdaniem Martina – od wieków nauczają najwięksi teologowie Kościoła. Na zarzut, że to duszpasterstwo strachu, świecki ewangelizator odpowiada, że „strach przed piekłem i konsekwencjami grzechu jest doskonałym początkiem duchowej podróży", która ostatecznie prowadzi do „doskonałej miłości usuwającej strach" (1 J 4, 18).

Statystyki eschatologiczne

Jeśli przejrzymy badania statystyczne na temat wiary Polaków, okaże się, iż wiara w piekło w naszym kraju słabnie. W 2009 r. na pytanie zadane przez CBOS: „Czy wierzysz w piekło?" odpowiedziało pozytywnie 59 proc. respondentów. Sześć lat później 56 proc. W 2023 r. podobne pytanie zadał Ipsos i pozytywną odpowiedź uzyskał od 44 proc. pytanych.

Ale z drugiej strony według CBOS zmniejsza się liczba eschatologicznych „liberałów", dla których istnieje tylko niebo i wszyscy do niego zmierzamy – z 6 proc. w 2006 r. do 4 proc. w 2015 r. Bardziej interesujące i kłopotliwe w interpretacji są odpowiedzi na pytanie CBOS (z 2015 r.): „Co staje się z nami po śmierci?". Tylko 36 proc. pytanych odpowiedziało, że idziemy do nieba, piekła lub czyśćca (przy 56 procentach wierzących w piekło). 31 proc. wskazało na odpowiedź: „Jest coś, ale nie wiem co", a 7 proc. odpowiedziało: „Nie wiem, czy coś jest, czy nie ma".

Płonący krater na pustyni Karakum zwany „Wrotami do piekła", Tadżykistan, 2014 r.

IGOR SASIN / AFP / EAST NEWS

↦ Dowodzi to dużej ostrożności w myśleniu o własnym życiu przyszłym. Mogę mówić, że wierzę w istnienie piekła (i nieba), a równocześnie myślenie o tym, gdzie sam mogę trafić, zbija mnie z tropu. W każdym razie tzw. rzeczy ostateczne (czyli to, co czeka nas po śmierci) jako tematy nie są emocjonalnie obojętne i prowokują gorące dyskusje.

Nadzieja zbawienia dla wszystkich

Mówi się, że to była do tej pory najważniejsza dyskusja teologiczna w Polsce. Zaczęła się od artykułu wydrukowanego w miesięczniku „Więź" w 1978 r. przez ks. Wacława Hryniewicza o nadziei powszechnego zbawienia. Do myślenia o możliwości, że piekło pozostanie ostatecznie puste, teologa z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego skłoniły dwa powody: teologiczny i praktyczny. Jeśli piekło na zawsze pozostanie wypełnione rzeszą potępionych, oznaczać to będzie jakąś wyjątkowo smutną porażkę Boga. Poza tym trudno sobie wyobrazić radość wieczną w niebie, którego mieszkańcy mają świadomość istnienia miejsca wiecznej kaźni dla ich potępionych bliźnich. (Hryniewicz w swoich książkach będzie pokazywał, że takie myślenie prowadziło do teologicznych patologii w postaci twierdzeń, że zbawieni mają dodatkową gratyfikację z oglądania cierpienia potępionych).

Powodem praktycznym były spotkania z ludźmi umierającymi. „Często niepokoiło mnie to, że ludzie tak bardzo boją się śmierci – pisał Hryniewicz w książce „Nad przepaściami wiary". – Rozpowszechniony obraz Boga przeraża ludzi. To skłaniało do wniosku, że teologia spraw ostatecznych potrzebuje przemyślenia".

To doświadczenie pokazywało, że strach przed piekłem i konsekwencjami grzechu wcale nie jest „doskonałym początkiem duchowej podróży", jak mniema dziś amerykański ewangelizator i wielu podobnie myślących.

Powszechnego zbawienia Hryniewicz nie chciał głosić w postaci tezy teologicznej – mógłby się spotkać wtedy z oskarżeniem o głoszenie herezji, ale wiedział, że nadziei, iż na końcu czasów Bóg wszystkich przyciągnie ku sobie, nie powinien nikt mu odbierać. Co i tak nie uchroniło go przed gorącymi polemikami, a nawet donosami do biskupów oskarżającymi go o głoszenie zwodniczych nauk.

Główne zarzuty były trzy: taka nadzieja podważa Bożą sprawiedliwość, demobilizować będzie naszą moralność i staranie o niepopełnianie grzechów (skoro ostatecznie i tak zostaniemy zbawieni) oraz przeczą jej liczne wypowiedzi Jezusa o tych, którzy zasługują na potępienie. Na przykład w przypowieści o chwaście Jezus mówi: „Syn Człowieczy pośle aniołów swoich: ci zbiorą z Jego Królestwa wszystkie zgorszenia i tych, którzy dopuszczają się nieprawości, i wrzucą ich w piec rozpalony" (Mt 13, 41-42). Na sądzie ostatecznym wobec nieczułych na niedolę bliźnich On sam wypowie słowa potępienia: „Idźcie precz ode Mnie, przeklęci, w ogień wieczny!" (Mt 25, 41).

Hryniewicz wskazywał, że nie ma takiego doczesnego zła, które zasługiwałoby na wieczną karę. Poza tym proces pośmiertnego nawracania się do Boga wiązałby się z oczyszczającym cierpieniem. A w Biblii znajdziemy wiele fragmentów dających podstawy dla nadziei powszechnego zbawienia – także słowa samego Jezusa (np. „A Ja, gdy zostanę nad ziemię wywyższony, przyciągnę wszystkich do siebie"; J 12, 32).

Głoszeniu takiej nadziei Hryniewicz poświęcił pięć swoich książek (m.in. za tę determinację w 2010 r. „Tygodnik Powszechny" przyznał mu Medal św. Jerzego). Dyskusja ciągnęła się do lat 90. XX wieku i nigdy nie została zakończona. Jak widać po reakcjach na słowa Franciszka, spór o nadzieję powszechnego zbawienia tli się w różnych miejscach na świecie. Prawdopodobnie świadczy to o tym, że w grę wchodzą różne wizje Boga, religijności i rozumienia moralności, które zawsze będą wobec siebie w pewnym napięciu.

Nadzieja powszechnego zbawienia nie jest jednak jedyną próbą poradzenia sobie z kłopotami, jakie funduje nam myślenie o sprawach ostatecznych.

Zamiana w niebyt

Ciekawą próbą uniknięcia paradoksu wiecznych kar piekielnych jest hipoteza anihilacji – Hryniewicz wspomina o niej w kilku swoich książkach, a także na tych łamach. Zakłada ona, że nie ma w człowieku żadnego pierwiastka, który byłby sam z siebie nieśmiertelny (taka jest m.in. wizja człowieka i śmierci w Księdze Koheleta). Jeśli źródłem istnienia jest Bóg, to ten, kto konsekwentnie odwraca się od Boga i oddala od niego, w chwili śmierci traci po prostu istnienie. Zatwardziali grzesznicy przestają istnieć, nie następuje ich zmartwychwstanie, bowiem Bóg nie narzuca się nikomu na siłę. Można też powiedzieć, że zostaliśmy stworzeni z miłości i do miłości – kto nie kochał albo przestał kochać, ten się nie ostoi.

W 1996 r. Synod Generalny Kościoła anglikańskiego przyjął tę hipotezę za swoje oficjalne nauczanie. „»Piekło nie jest wieczną męką« – pisał wówczas na tych łamach ks. Wacław Hryniewicz, cytując przyjęty przez anglikanów raport. – To przede wszystkim ostateczny i nieodwołalny wybór tego, co »sprzeciwia się Bogu tak całkowicie i tak absolutnie, że jedynym końcem jest całkowity niebyt«" („TP" nr 38/96).

Unowocześniając tę wizję, można by powiedzieć, że przejście od naszej rzeczywistości do biblijnego „nowego nieba i nowej ziemi" nastąpi w formie transformacji, której „niezmiennikiem" będzie miłość. Tu powstaje pytanie, które właściwie rozsadza hipotezę anihilacji i w pewnym sensie przywraca nadzieję powszechnego zbawienia: czy chodzi o miłość tylko w postaci czynnej – jako kochanie; czy także biernej – jako bycie kochanym? Pytanie uzasadnione, bo miłość zawsze jest relacją. Jeśli ocala także cudza miłość, to złoczyńca mógłby zostać ocalony, jeśli byłby przez kogoś kochany. To bardzo mocna intuicja. Pomyślmy, co mogłoby się stać, gdyby na Golgocie stała też matka (żona, siostra, córka) złego łotra...

Czyściec Benedykta XVI

Kto sięgnie do encykliki o nadziei „Spe salvi" Benedykta XVI z 2007 r., może zauważyć zastanawiającą dysproporcję. Odnosząc się do rzeczy ostatecznych, papież poświęca trzy zdania piekłu, jedno zdanie niebu i aż trzy obszerne akapity na analizę czyśćca. Wprowadza też wyraźną zmianę akcentów w nauczaniu.

Dotychczas Kościół wskazywał przede wszystkim dychotomię piekła i nieba. Zgodnie z katechizmowym nauczaniem, ci, którzy umierają w stanie grzechu śmiertelnego, bezpośrednio po śmierci idą do piekła. Ci zaś, którzy umierają w łasce i przyjaźni z Bogiem oraz są doskonale

IWONA BURDZANOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ks. Wacław Hryniewicz na Zamku Lubelskim, marzec 2001 r.

oczyszczeni, trafiają do nieba. Czyściec jako stan przejściowy jest pomocą dla umierających w łasce, którzy nie są doskonale oczyszczeni. Występuje tu też sugestia, że łatwo trafić do piekła („szeroka brama"), a trudno do nieba („wąska brama").

O tyle Benedykt XVI zmienia perspektywę: wyraźnie sugeruje, że trudno jest trafić zarówno do piekła, jak i do nieba. Do piekła trafiają ludzie, „którzy całkowicie zniszczyli w sobie pragnienie prawdy i gotowość do kochania"; „w których wszystko stało się kłamstwem"; „którzy żyli w nienawiści i podeptali w sobie miłość". Takie zniszczenie dobra w sobie jest nieodwracalne, stąd trwały stan oddzielenia od Boga, czyli piekło. Papież dodaje, że „w niektórych postaciach naszej historii można odnaleźć w sposób przerażający postawy tego rodzaju". O niebie Benedykt XVI pisze: „Z drugiej strony, są ludzie całkowicie czyści, którzy pozwolili się Bogu wewnętrznie przeniknąć, a w konsekwencji są całkowicie otwarci na bliźniego – ludzie, których całe istnienie już teraz kształtuje komunia z Bogiem i których droga ku Bogu prowadzi jedynie do spełnienia tego, czym już są".

Po czym następuje teologicznie zaskakująca – choć z potocznej perspektywy oczywista – obserwacja: „Nasze doświadczenie mówi jednak, że ani jeden, ani drugi przypadek nie jest normalnym stanem ludzkiej egzystencji". Normalnie kwalifikujemy się zatem do czyśćca. Papież pisze: „Jak możemy przypuszczać, u większości ludzi w najgłębszej sferze ich istoty jest obecne ostateczne wewnętrzne otwarcie na prawdę, na miłość, na Boga. Jednak w konkretnych wyborach życiowych jest ono przesłonięte przez coraz to nowe kompromisy ze złem. Chociaż czystość bywa pokryta różnorakim brudem, to jednak jej pragnienie pozostaje i mimo wszystko wciąż na nowo wynurza się z nikczemności i pozostaje obecne w duszy".

Katechizm Kościoła Katolickiego, uzasadniając nauczanie o czyśćcu, odwołuje się do dwóch miejsc w Piśmie Świętym: Mt 12, 32, kiedy Jezus mówi, iż bluźnierstwo przeciw Duchowi Świętemu nie zostanie odpuszczone „ani w tym życiu, ani w przyszłym", z czego wysunięto wniosek, że są winy, które mogą zostać odpuszczone po śmierci; oraz 2 Mch 12, 45, gdzie mowa o Judzie Machabeuszu składającym ofiarę przebłagalną za zabitych, aby zostali uwolnieni od grzechu. Benedykt XVI dodaje jeszcze jedno miejsce: 1 Kor 3, 12-15, w którym św. Paweł zapowiada, że w Dniu Pańskim ogień wypróbuje budowle naszego życia, a „ten zaś, którego dzieło spłonie, poniesie szkodę: sam wprawdzie ocaleje, lecz tak jakby przez ogień". Dla papieża jest to sugestia, że dzieło naszego życia może na końcu okazać się nic niewarte, a i tak mamy jeszcze szansę całkowicie otworzyć się na Boga w bolesnym oczyszczeniu po śmierci. Nie bez znaczenia są tutaj modlitwy naszych bliskich.

Nowe nauczanie

Jakie jest zatem obecne nauczanie Magisterium Kościoła o rzeczach ostatecznych, skoro encyklika „Spe salvi" jest najnowszym na ten temat dokumentem?

Po pierwsze Benedykt XVI wyraźnie przerywa tradycję nauczania o przeludnionym piekle. Tym samym próbuje wycofać się z duszpasterstwa opartego na lęku (ewangelizator z USA i inni kaznodzieje piekła tracą podstawy dla swoich tez). Reaguje zatem na zarzut, że dotychczasowe nauczanie może łatwo prowadzić do religijności nerwicowej.

Z drugiej strony, papież pozostaje przy nauczaniu, że człowiek w swojej wolności ma możliwość całkowicie i nieodwracalnie zniszczyć w sobie dobro. W tym sensie jest to podkreślenie powagi naszej wolności i odpowiedzialności człowieka za swoje życie. Dzieje się to jednak kosztem obrazu Boga – wobec ostatecznie destrukcyjnego działania człowieka Bóg zdaje się być bezsilny.

Dlatego nadzieja powszechnego zbawienia i pustego piekła nadal pozostaje atrakcyjnym myśleniem.

©℗ ARTUR SPORNIAK

JACEK TARAN

PROF. LUIGINO BRUNI – ekonomista i historyk myśli ekonomicznej, wykładowca na Uniwersytecie LUMSA w Rzymie, dyrektor naukowy projektu „Ekonomia Franciszka".

Na zdjęciu w przerwie konferencji „Creatio Continua". Seminarium duchowne, Kraków, grudzień 2023 r.

Ruch, który zmieni świat

PROF. LUIGINO BRUNI, DYREKTOR PROJEKTU „EKONOMIA FRANCISZKA".

Nie oczekujmy od Franciszka wielkiej myśli. Nie jest intelektualistą, tylko duszpasterzem. Praktykiem, który szuka konkretnych rozwiązań.

EDWARD AUGUSTYN: Co to jest „Ekonomia Franciszka"?

PROF. LUIGINO BRUNI: Mówiąc najkrócej – to ruch społeczny zorganizowany wokół papieża Franciszka, który ma zmienić nasze podejście do spraw gospodarczych.

Papież zajmuje się ekonomią?

Skoro Kościół zajmuje się człowiekiem, musi myśleć też o jego pracy, warunkach życia. A więc o ekonomii. Tematy gospodarki rynkowej, sprawiedliwości społecznej, prawa do pracy, były od dawna obecne w katolickiej nauce społecznej. Pamiętamy ważne dokumenty, choćby „Laborem exercens" czy „Centesimus annus" Jana Pawła II.

Franciszek od początku pontyfikatu przywiązywał do tego tematu dużą wagę, co zresztą pokazał już wyborem imienia. Historia św. Franciszka z Asyżu to przecież opowieść o bogactwie i ubóstwie. O rezygnacji z pieniądza. Już w swojej pierwszej adhortacji „Evangelii gaudium" papież pisał o dobrej i złej ekonomii, pokazał nowe spojrzenie także na ten obszar rzeczywistości.

Gdy 40 lat temu Jan Paweł II pisał wspomniane encykliki, ekonomia prospołeczna była kontrowersyjną nowinką. Dziś większość specjalistów od ekonomii, przynajmniej na Zachodzie, ma poglądy zbieżne z katolicką nauką społeczną. Na czym ma polegać nowatorstwo Franciszka?

Widzę co najmniej trzy nowości. Po pierwsze, nadanie ogromnego znaczenia ekologii, czyli trosce o nasz wspólny, cały dom. Papież jest przekonany, że krzyk ubogich i krzyk Ziemi to jedno – wołanie o sprawiedliwość. Dotąd mieliśmy podział na tych, którzy walczą z ubóstwem, jak Caritas i inne organizacje charytatywne, oraz na tych, którzy zajmują się ochroną środowiska, jak Greenpeace czy WWF. Jedni zarzucali drugim, że myślą o wielorybach czy delfinach, a tymczasem dzieci umierają z głodu. To były dwa odrębne obszary. Franciszek powiedział: nie, to jedno i to samo. Jest jedno ubóstwo – Ziemi i ludzi.

Po drugie, kwestia nierówności. Nie wszyscy ekonomiści są przeciwko nierównościom, to nie jest wcale takie oczywiste. Merytokracja, która talent uważa za zasługę, legitymizuje nierówności, nawet jeśli dużo mówi o walce z niesprawiedliwością. Myślę, że nierówności nie są dziś tak gorliwie zwalczane, jak w XX wieku. Franciszek stawia nierówności społeczne i gospodarcze w centrum swojego nauczania. I nie chodzi tu, jak często myślimy, o różnice między Północą i Południem, krajami bogatymi i biednymi. Nierówności są w każdym kraju. Dystans pomiędzy garstką najbogatszych i całą resztą jest dziś dużo większy niż 40 lat temu.

I wreszcie po trzecie – Franciszek mówi o ubogich, nie o ubóstwie. Mówi o ludziach. Zwraca uwagę nie tyle na ich biedę, co na to, jak sobie z nią radzą. Na problemy konkretnych ludzi.

Kościół zawsze mówił o ubogich.

Tak, ale dla papieża stosunek do ludzi biednych, odrzuconych, jest pierwszym kryterium sprawiedliwości. Wyrzucanie ludzi na margines jest największym marnotrawstwem naszej gospodarki. Niestety, dziś ta kwestia jest dla ekonomistów czy przedsiębiorców dużo mniej ważna niż jeszcze 20 lat temu.

Z jednej strony – problemy stare jak świat. Ale przecież dla wielu osób nowe. Bo nie wszyscy jeszcze do tego miejsca, co Franciszek, dotarli. Myślę, że on w praktyczny sposób rozwija refleksję Jana Pawła II nad takimi zagadnieniami jak praca, wolność, sprawiedliwość społeczna. Najpiękniejsze słowa, jakie zostały napisane o pracy, znajdziemy w „Laborem exercens". To jedna z najważniejszych encyklik ostatnich stu lat. Ale pamiętajmy, że Karol Wojtyła był intelektualistą i filozofem, zajmował się teorią pracy, zanim został papieżem.

Franciszek nie jest myślicielem, tylko duszpasterzem. Nie oczekujmy od niego, czego dać nie może, choćby wielkiej myśli na temat pracy. Studiował chemię, nie filozofię. Jest praktykiem i szuka kon-

kretnych rozwiązań. I dlatego też uważa, że dokumenty to za mało. W związku z czym stworzył ekonomiczny ruch społeczny. To zupełna nowość.

Pan był jednym z organizatorów tego ruchu.

Gdy Franciszek ogłosił encyklikę „Laudato si'", zobaczyłem, że temat bliski mojemu sercu – ekonomia społeczna, troska o wspólny dom – jest w jego nauczaniu kwestią zasadniczą. W czasie jednego ze spotkań z papieżem zapytałem go, czy nie chciałby zrobić czegoś więcej. Przedstawiłem ideę ruchu. Powiedział mi, że od dawna o takim konkretnym działaniu myślał, ale chciał, żeby zaangażowali się w to młodzi, bo tylko oni mogą coś zmienić. Znani ekonomiści tego nie zrobią. I tak powstał projekt „Ekonomii Franciszka".

To był początek 2019 r. Świętujecie pięciolecie istnienia.

Na początku myśleliśmy jedynie o zorganizowaniu spotkania. W marcu 2019 r. papież napisał list do młodych ekonomistów, rodzaj apelu: „Chcę razem z wami zmienić ekonomię. Tworzyć taką, która wspiera życie, a nie zabija. Włącza, a nie wyklucza. Jest humanistyczna, a nie nieludzka. Dba o stworzenie, a nie niszczy go. Zapraszam was do Asyżu na spotkanie, które pomoże nam się poznać i doprowadzi do zawarcia »umowy« na rzecz zmiany obecnej gospodarki i tworzenia gospodarki jutra". Odpowiedziało 3,4 tys. młodych ludzi. Spotkanie zaplanowano na marzec 2020 r., ale przyszła pandemia i można było spotkać się tylko online. I tak, zamiast jednorazowej konferencji, powstał ogólnoświatowy ruch, liczący kilka tysięcy młodych ludzi, którzy – jestem o tym przekonany – za kilka lat będą decydowali o najważniejszych sprawach dla ludzkości. Zresztą już dziś widać efekty naszej pracy – ci ludzie stoją za wieloma inicjatywami na całym świecie: konferencjami, szkoleniami, firmami dającymi pracę innym. To, moim zdaniem, jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakich dokonał Franciszek.

Mówi Pan o ludziach młodych, ale znajdziemy u was także nazwiska całkiem stare. Na przykład prof. Jeffreya Sachsa.

Prof. Sachs jest od dwóch lat członkiem Papieskiej Akademii Nauk Społecznych. Uczestniczy w niektórych wydarzeniach naszego projektu, podobnie jak inni seniorzy, np. Vandana Shiva, którzy jednak nie należą do zarządu ani komitetu naukowego. Projekt, jak mówiłem, jest skierowany do osób poniżej 35. roku życia – studentów, pracowników naukowych, przedsiębiorców, animatorów zmian i innowacji, teoretyków i praktyków ekonomii.

W Polsce prof. Sachs jest znany głównie jako ojciec terapii szokowej, planu Balcerowicza i mitu „niewidzialnej ręki wolnego rynku". Z kolei amerykańskie media prawicowe wytykają mu wspieranie ruchów aborcyjnych i propagujących antykoncepcję.

Na obecność ekspertów w naszym projekcie nie wpływa ten czy inny epizod z ich życia albo jakiś jeden aspekt ich działalności. Nasze podejście nie jest ideologiczne. „Ekonomia Franciszka" ma swój własny charakter i cel, nie obejmuje wszystkich dziedzin nauk społecznych, a tym bardziej etyki.

A co do wolnego rynku – nie jest niczym złym. Nie gospodarka wolnorynkowa jest problemem, ale wolnorynkowe społeczeństwo.

Co to znaczy?

Źle jest, gdy rynek staje się jedynym kryterium życia społecznego. Gdy jego zasady wprowadzamy bezmyślnie do szkół, opieki zdrowotnej, nawet do Kościoła. Gdy wszędzie idziemy za logiką popytu i podaży, wszystko musi mieć cenę, a zysk jest jedynym bodźcem. To mi się nie podoba. Zasady ekonomii są dobre, jeśli stosujemy je w sferze gospodarczej, a nie w życiu społecznym. Temu jestem przeciwny.

Wierzy Pan, że bogaci podzielą się z biednymi swym bogactwem? W Polsce mamy takie przysłowie: Syty głodnego nie zrozumie.

Bardzo mądre to wasze przysłowie. Oczywiście, nie zrobią tego sami z siebie, spontanicznie. Po to jest potrzebna mądra polityka.

Mieliśmy po wojnie ustrój, który nazywał się „systemem sprawiedliwości społecznej". Nie był ani społeczny, ani sprawiedliwy. I nie skończyło się to dobrze.

↦

EKONOMIA FRANCISZKA

Ruch młodych ekonomistów, przedsiębiorców, ekologów i animatorów społecznych realizujących ideę „troski o wspólny dom" w duchu św. Franciszka z Asyżu i nauczania papieża Franciszka. Uczestnicy ruchu pracują w 12 grupach tematycznych (zwanych „wioskami"), zajmujących się takimi tematami jak polityka, zarządzanie, finanse, biznes, rolnictwo, praca, ekologia, źródła energii, nierówności, opieka społeczna, kobiety w ekonomii, styl życia. Wioski działają nie tylko w internecie – wiele z nich ma lokalizację realną (w Polsce działa Wioska św. Franciszka na Żuławach Wiślanych, promująca ekologiczne, niskoenergetyczne i regeneratywne rolnictwo).

Przystąpienie do ruchu zadeklarowało 11 tys. młodych osób z ponad 100 państw (ok. 3 tys. można uznać za członków aktywnych). Program pomaga im promować inicjatywy lokalne, a także umożliwia realizację wspólnych, międzynarodowych projektów (biznesowych, ekologicznych, edukacyjnych). Zapleczem naukowym jest dla niego siedem uniwersytetów z trzech krajów (Włoch, Meksyku, Wielkiej Brytanii).

W ramach programu, oprócz corocznych, jesiennych spotkań plenarnych, organizowane są także „Akademie Ekonomii Franciszka" (zajęcia trwają przez cały rok na kanale YouTube) i tygodniowe szkoły letnie (w toskańskiej miejscowości La Verna). Cały rok trwa też praca w poszczególnych wioskach oraz projekty edukacyjne (współpracujący z ruchem dydaktycy opracowali program ekonomii społecznej dla szkół średnich).

Do ruchu społecznego „Ekonomia Franciszka" mogą włączać się młode osoby (poniżej 35. roku życia) zainteresowane tematyką. Informacje na stronie: www.francescoeconomy.org. ©℗ EA

↦ Tak, wiem o tym. Ale alternatywą nie jest przecież komunizm. Każdy człowiek ma prawo się bogacić pod warunkiem, że dokonuje tego uczciwie – płaci podatki, sprawiedliwie opłaca swoich pracowników. Musimy dbać o tych, którzy dla nas pracują, produkują jedzenie, dbają o nasze zdrowie i edukację, o piękno wokół nas, słowem o tych, którzy w nasz dobrobyt inwestują – swoją pracę, czas, siły. I o tych, którzy pracować nie mogą, są chorzy, słabi, starzy. Do tego właśnie potrzebna jest polityka – mechanizm, który poprzez mądre prawo i sprawiedliwe podatki sprawi, że bogaty jednak podzieli się z biednym.

Zresztą pewnie Pan pamięta, że gdy upadł komunizm, Jan Paweł II przestrzegał was przed innym wrogiem, mniej widocznym, ale nie mniej groźnym, jakim jest konsumpcjonizm.

Może problem jest jeszcze głębszy? I jest nim konflikt pomiędzy religią, dla której liczy się wspólnota, a indywidualizmem, jakiego domaga się współczesny człowiek i który jest podstawą liberalizmu?

Akurat chrześcijaństwo, jako religia, odwołuje się i do wspólnoty, i do jednostki. Słowa Jana Pawła II może były wtedy dla wielu niezrozumiałe. Ale były prorocze. Widzimy, jak świat się zmienił przez te 30 lat. To, przed czym papież przestrzegał, już się stało. Dziś stają przed nami inne wyzwania. Myślę, że teraz zadaniem Kościoła, katolika, chrześcijanina, jest znalezienie sposobu, jak w tym zmienionym świecie – dóbr i zakupów z jednej strony, a samotności i ubóstwa z drugiej – ożywić wiarę i odzyskać harmonię. Wierzę, że młodzi ludzie zaangażowani w „Ekonomię Franciszka" będą umieli to zrobić. Do nich należy przyszłość.

Pontyfikat Franciszka prędzej czy później dobiegnie końca. Co wtedy stanie się z „Ekonomią Franciszka"?

Wyjaśnijmy jedno – w tym projekcie nie chodzi o papieża, ale o ideę św. Franciszka z Asyżu! Żeby nazwa nikogo nie zmyliła. Nie wiem, jaka będzie przyszłość ruchu. A co będzie w przyszłości? Papież Franciszek znany jest z tego, że inicjuje procesy, a potem... To jak butelka wrzucona do morza. Mam nadzieję, że ruch przetrwa jeszcze niejeden pontyfikat, choćby i miał się po drodze tysiąc razy zmienić.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

Nie pomimo wiary, ale z jej powodu

AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ

W USA działają katolicy opowiadający się za wolnym wyborem w sprawie aborcji. O ich motywację pytamy przewodniczącą Catholics for Choice Jamie Manson.

Czytając jej pierwsze felietony w „National Catholic Reporter" (NCR), nie mogłam się opędzić od skojarzeń z Dorothy Day – i nie chodzi tylko o mrówczą pracowitość i niezwykłą aktywność w wypowiadaniu się na ważne aktualne tematy. Skojarzenia przychodziły zwłaszcza, gdy czytałam o jej pracy z ludźmi najuboższymi, zmagającymi się z uzależnieniami, z marginesu. Artykuł o „dolnym Kościele", w którym nie celebruje się sakramentów, ale w którym wciąż wydarza się sakrament spotkania Jezusa w bliźnich, można by śmiało przypisać Day i prawdopodobnie nikt by się nie połapał.

Tak jak Day, tak i moja rozmówczyni walczy o sprawiedliwość społeczną, jedna i druga odwołuje się do sumienia w sytuacjach sprzeciwu względem władzy świeckiej czy kościelnej. Obie odbiegają od stereotypu pobożnej katoliczki: jedna jako samodzielna matka nieślubnego dziecka, druga jako żyjąca w związku lesbijka, która wyoutowała się w swoim pierwszym artykule dla NCR.

A jednak Dorothy Day i Jamie Manson nie zgodziłyby się w wielu sprawach: święceń dla kobiet, antykoncepcji, prawdopodobnie stosunku Kościoła do osób LGBT+, a już na pewno dostępu do aborcji (Day sama w młodości dokonała aborcji, a potem była jej gorącą przeciwniczką). Ich przekonania i działania, także kontrowersyjne, wypływają z wiary. Manson podkreśla to przy wielu okazjach: „Jestem za dostępem do aborcji nie pomimo, ale z powodu mojej wiary". Dlatego zgodziła się pokierować ruchem Catholics for Choice.

Płeć jako ograniczenie

Jamie Manson wychowała się w rodzinie katolickiej, lecz nietypowej w swoim otoczeniu. Kwestię sprawiedliwości społecznej, do której wielokrotnie się odwołuje, zna nie tylko z nauki w katolickiej szkole i ze studiowa-

PAUL MORIGI / GETTY IMAGES

Jamie Manson, przewodnicząca ruchu Catholics for Choice, przemawia do ponad 400 tys. manifestantów popierających senacki projekt liberalizacji prawa aborcyjnego. Waszyngton, wrzesień 2021 r.

nia teologii, ale też z doświadczeń życiowych. Często rozpoczyna wspominanie od czasu pierwszej komunii. Wówczas jej mama, rozwiedziona i ponownie zamężna, nie mogła przystąpić do komunii jako jedyny rodzic w kościele. Jamie zrozumiała, że wynikało to z biedy – jej matki nie było stać na opłatę dla diecezji za proces stwierdzenia nieważności małżeństwa. Od tej pory wielokrotnie będzie widziała brak tak ważnej dla katolicyzmu sprawiedliwości społecznej tam, gdzie inni go nie dostrzegają. I głośno o nim mówiła.

Jedną z kwestii, o które się od lat upomina, jest równouprawnienie kobiet. Jako nastolatka poczuła wezwanie do służby w Kościele, które w przypadku, gdyby była chłopcem, wszyscy nazwaliby powołaniem do kapłaństwa. Ale nie była chłopcem i w miarę zaangażowania w życie Kościoła i studiów teologicznych coraz wyraźniej widziała, że „środowisko kościelne może być dla kobiety bardzo toksyczne". Nie chodzi tylko o pojedyncze zdarzenia wynikające z zachowań poszczególnych duchownych czy decyzji hierarchów, ale o silnie obecne w teologii i praktyce Kościoła przekonanie, że płeć jest przeszkodą, że Bóg nie może działać sakramentalnie przez osobę, która jest kobietą. W rezultacie kobiety nie mogą zostać wyświęcone, nie mogą podejmować decyzji w kościelnych zgromadzeniach, a także – niezależnie czy są katoliczkami, czy nie – według Kościoła nie mają prawa decydować o tym, co się wydarzy, kiedy zajdą w ciążę.

Troska o sprawiedliwość społeczną jest jednym z trzech aspektów tradycji katolickiej, na które Manson się powołuje, kiedy domaga się praw reprodukcyjnych dla kobiet, w tym dostępu do aborcji. Manson wskazuje, że „zakazy i ograniczenia dostępu do aborcji uderzają znacznie mocniej w osoby, które już cierpią: osoby ubogie żyjące z dala od miast czy kobiety doświadczające przemocy domowej, kobiety w najtrudniejszej sytuacji życiowej – to są właśnie te osoby, które nasza wiara każe nam stawiać na pierwszym miejscu".

Rola sumienia

Oprócz sprawiedliwości społecznej i preferencyjnej opcji na rzecz ubogich, moja rozmówczyni wskazuje na katolickie rozumienie sumienia: – W naszym katechizmie znajdujemy nauczanie, obecne już u św. Tomasza z Akwinu, że Bóg dał nam dar rozumu, abyśmy mogli rozeznawać złożone kwestie moralne, a aborcja jest złożoną kwestią moralną. Musimy to uszanować. Katechizm mówi nam, że we wszystkim, co mówimy i robimy, ostateczną instancją w podejmowaniu decyzji moralnych jest sumienie. Św. Tomasz z Akwinu twierdził, że przeczyć sumieniu oznacza przeczyć naszej ludzkiej godności; tak głęboko wiąże się ono z naszą tożsamością.

Kolejną kwestią jest wolność religijna i szacunek dla pluralizmu religijnego. – Kościół katolicki posiada własne stanowisko odnośnie do początku życia i osoby ludzkiej. Są to jednak koncepcje teologiczne, a jak długo nie żyjemy w teokracji, tak długo powinniśmy szanować pluralizm przekonań w społeczeństwie obywatelskim. Faktem jest, że wielu katolików nie zgadza się ze stanowiskiem Kościoła w kwestii aborcji. Mogę powiedzieć konkretnie o USA, gdzie 63 proc. katolików uważa, że aborcja powinna być legalna we wszystkich albo w większości przypadków. Ponadto jedna na cztery osoby, które zdecydowały się na aborcję, jest katoliczką. A zatem istnieje wysokie poparcie wśród katolików dla aborcji i wiele osób utożsamiających się z katolicyzmem dokonało aborcji. Według mnie pokazuje to, iż katolicy podzielają wiarę w prymat sumienia, która jest tak fundamentalna dla naszej tradycji.

Manson uważa, że jest to coś, z czym jako katolicy musimy się zmierzyć. – Jest wiele przyczyn, z powodu których kobiety sięgają po aborcję, i bardzo często okoliczności, w jakich się znajdują, są tragiczne czy katastrofalne. Nie wierzę, że przymuszanie kogokolwiek do urodzenia dziecka może być ucieleśnieniem sprawiedliwości społecznej.

Brak konsekwencji

Jamie podkreśla, że to, jak złożonym problemem moralnym jest aborcja, nie znajduje wystarczającego zrozumienia ani w sekularnym ruchu *pro-choice*, ani w religijnym ruchu *pro-life*. Pytana o ten ostatni, podkreśla, że część osób widzi cele ruchów *pro-life* jako ochronę matek i dzieci i są to bardzo dobre instynkty. – Chcemy chronić matki i dzieci, ale kończy się na tym, mówię z perspektywy USA, że politycy, którzy mówią, iż chcą chronić matki i dzieci, nie robią nic, aby wspierać ustawodawstwo, które będzie chronić matki i dzieci po tym, jak już dojdzie do porodu. Uważam, że to stawia pod znakiem zapytania ich prawdziwe motywacje.

W czerwcu 2022 r. Sąd Najwyższy USA unieważnił wyrok z 1973 r. wydany w tzw. sprawie Roe v. Wade, który dawał wszystkim kobietom w USA dostęp do aborcji – od tego czasu aborcję reguluje wyłącznie ustawodawstwo stanowe. Manson komentuje: – Biskupi chcieli obalenia Roe v. Wade. W żaden jednak sposób nie wsparli legislacji dotyczących wszystkich nowych narodzin, do których unieważnienie wyroku ma prowadzić. Nie zrobili nic, aby stworzyć domy opieki czy programy, które pozwoliłyby kobietom wychowywać dzieci w zdrowym i bezpiecznym środowisku. Jaka więc była ich motywacja? – zastanawia się działaczka.

– Chciałabym prosić ruchy *pro-life*, aby szczerze przyjrzały się swoim motywacjom – mówi Manson. Sama ocenia, że w USA sprawa aborcji została wykorzystana politycznie jako sposób na mobilizację prawicowego elektoratu w celu realizacji znacznie bardziej nikczemnego planu, którego sednem jest erozja demokracji. – Politycy używają aborcji jako metody wzbudzania silnych emocji, aby zdobywać głosy, których potrzebują, by odbierać prawa obywatelskie. ↦

Pytana o argument domagający się sprawiedliwości społecznej względem nienarodzonych i równych praw dla nich, odpowiada: – Zauważyłam, że osoby podnoszące tę kwestię zawsze przedkładają potencjalne życie nad żyjącą kobietę, która jest w ciąży. Zbyt często bardziej cenimy potencjalne życie niż rzeczywistą osobę. Przy tym kobiety są traktowane jak naczynia, a ich zdrowie, sytuacja życiowa, całość ich życia i wszystkie zawiłości, z którymi się borykają, są całkowicie pomijane. Dlatego chciałabym zachęcić ludzi, aby pomyśleli o kobiecie w ciąży, pomyśleli o jej życiu, rozważyli fakt, że ciąża ma wpływ na całą jej przyszłość. Pytanie moralne nie powinno dotyczyć aborcji, ale życia kobiety będącej w ciąży. Od tego powinno zaczynać się nasze moralne rozeznanie.

Katolicy za wyborem

To nie tylko kwestia przekonań samej Jamie Manson, ale też misja organizacji Catholics for Choice (CFC, dawniej: Catholics for a Free Choice), istniejącej od 1973 roku. Manson została jej przewodniczącą w 2020 r. i wtedy też przestała publikować na łamach „National Catholic Reporter". Czym się zajmują?

– Podstawą naszej misji jest spotykanie, edukowanie i ośmielanie osób wierzących, które popierają wolność reprodukcyjną – odpowiada Manson. – Robimy to na wiele sposobów. Właściwie obsługujemy dwie grupy osób. Jedną z nich są ludzie, którzy autentycznie nie wiedzą, co sądzić o aborcji, ponieważ jest to kwestia tak silnie spolaryzowana i stygmatyzowana. Drugą grupę stanowią ludzie, którzy popierają aborcję, ale boją się o tym mówić, ponieważ mogą stracić posługę, rodzinę, parafię, więź z lokalną społecznością i wiele innych rzeczy. To bardzo druzgocące straty. Można stracić dostęp do Eucharystii, która jest bardzo, bardzo ważna dla ludzi.

JAMIE MANSON:

Nieproporcjonalny wpływ katolickich liderów w sprawie aborcji pozbawia ludzi ich fundamentalnych praw i narusza wolność religijną.

I dopowiada: – Prowadzimy warsztaty rozeznawania wartości dla grup 20-30 osób, podczas których za pomocą różnych scenariuszy, pytań i dialogów w grupie pomagamy uczestnikom zrozumieć, co sami sądzą na temat aborcji. Zatem nie nauczamy czy mówimy, że mają ją popierać. Oprócz tego prowadzimy program edukacyjny, opracowany przeze mnie, który przekazuje uczestnikom fakty na temat aborcji. Jest to odpowiedź na 50 lat dezinformacji i błędnych informacji czy manipulacji podawanych przez prawicę katolicką. Pragniemy zmienić ten stan rzeczy.

Czy nauczanie się zmieni

W naszej rozmowie, podobnie jak w licznych wypowiedziach Manson, pojawiają się blisko siebie kwestie społeczne, religijne i polityczne. Pytam zatem o cele katolików domagających się prawa wyboru – czy pragną zmienić Kościół, czy społeczeństwo?

Moja rozmówczyni wskazuje na wielość celów, jakie sobie stawiają. W kwestii polityki i życia społecznego ważnym celem jest dla Manson ograniczenie nadmiernego jej zdaniem wpływu przywódców religijnych na prawa obywatelskie i prawa człowieka. – Nieproporcjonalny wpływ katolickich liderów, świeckich i duchownych, w sprawie aborcji pozbawia ludzi ich fundamentalnych praw człowieka i narusza wolność religijną. Nie chcę, aby moja wiara odbierała ludziom ich prawa. Zatem mówię: „Nie w moim imieniu!". To dotyczy nie tylko aborcji, ale także równości płci czy praw osób LGBT+. To Kościół katolicki, jego uprzedzenia i prowadzone przezeń kampanie oraz wpływ polityczny są przyczyną, dla której nie mamy tych praw, i dlatego to tak pilna sprawa. Niezależnie, czy jesteś, czy nie jesteś członkiem Kościoła katolickiego, ten Kościół odbiera twoje prawa. Uważam, że kiedy zmieni się nauczanie Kościoła w kwestii kobiet, osób LGBT+ i aborcji, zmieni się świat.

Ale czy nauczanie Kościoła się zmieni? Podlega ono zmianom i także w sprawie początku życia i aborcji ewoluowało. Katolicy, którzy nie zgadzają się z zasadnością całkowitego zakazu aborcji na każdym etapie ciąży i z utożsamianiem jej z zabójstwem, przywołują wypowiedzi teologów, także świętych, których poglądy na początek życia i dostęp do aborcji były odmienne od obecnego stanowiska Magisterium. Manson wskazuje na to, że radykalne stanowisko Kościoła pojawiło się oficjalnie dopiero w 1869 r., a zatem nie jest odwieczne i jedynie możliwe, wbrew roszczeniom ruchów *pro-life*. Wskazuje także na to, że obecny stan wiedzy o początkach ciąży wymaga od Kościoła wzięcia pod uwagę np. tego, że kilkadziesiąt procent zapłodnionych komórek jajowych ulega wypłukaniu z organizmu bez ingerencji zewnętrznej. Co to oznacza dla definicji początku życia i rozumienia prawa naturalnego? Kościół musi zmierzyć się z wieloma pytaniami. Nie zapowiada się jednak, by w tej kwestii można było się spodziewać zmian w najbliższym czasie.

Czy Manson uważa, że doczeka ich za swojego życia? – Ani jako kobieta czująca powołanie do kapłaństwa, ani jako lesbijka nie spodziewałam się, że synod, który odbył się w październiku, wydarzy się za mojego życia. A jednak się odbył, zatem są szanse. Poza tym oczekuję bardzo prostej sprawy: głębokiego wysłuchania, bo to jedyny sposób na zmianę serc i umysłów, a ostatecznie także nauczania. Czy to będzie długa droga? Tak. Ale jest konieczna.

© AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ

POŻEGNANIE

W dniu 23 stycznia 2024 roku odszedł kochany

Tatuś, Brat, Stryjek

dr Andrzej Zduńczyk

Jędrku, nie zapomnimy o Tobie.

EWA, ANTEK, DOROTA Z RODZINĄ

ZUZANNA

Radzik:
Przymus kolędowy

To było pożegnanie dwóch zaangażowanych katoliczek z kolędą. Rozkład obyczaju następował latami, co roku zasilany pytaniem: właściwie po co to robimy? Jedna z nich nie przyjmowała wizyty duszpasterskiej już od paru lat. Dokładniej: od momentu, w którym jej parafia odmówiła pomocy bezdomnemu schizofrenikowi śpiącemu na przystanku pod kościołem w ogromne mrozy. Zaparła się wtedy, że jak księża jego, tak ona ich nie wpuści.

Ta druga, czyli ja, tkwiła w przymusie przyjmowania kolędy, wywołanym problemami z pogrzebem w rodzinie. Na wypadek mojej nagłej śmierci byłam proszona o wpuszczanie księdza do mieszkania raz do roku, żeby nie robić bliskim ewentualnych problemów z udokumentowaniem mojego katolicyzmu. Jak wiadomo, najczytelniejszym znakiem wiary jest gościnność wobec parafialnej delegacji.

To jednak nie jest wcale takie proste. W klatce, w której mało kto ich wizyty przyjmował, księża zaczynali o godzinie 16. Trudno zdążyć po pracy. Czasem udawało nam się spotkać, innym razem minąć w drzwiach – i mimo zachęty nie chcieli już zawrócić. Było coś krępującego w duszpasterskiej wizycie u singielki mającej swoją wiedzę i zdanie na temat Kościoła. Nie bardzo jest o czym gadać, nie można, jak kiedyś, sprawdzić zeszytu do religii. Za to można ochrzanić za brak wody święconej i kropidła. Parafia dzieciństwa jednak mnie rozpieściła doświadczeniem rzadkich (raz na kilka lat), ale miłych i odświętnych spotkań. Teraz z desperacji próbowałam przejmować inicjatywę, na przykład odpytując nowego proboszcza z życia wspólnot, wielkości parafii i poziomu zaangażowania. Czasem moje próby wciągnięcia w rozmowę były zupełnie nieudane. Z kolei mnie krępowało, gdy konserwatywny wikary próbował mnie wciągnąć w ploteczki o arcybiskupie krakowskim, a zapytany, czego się napije, wypatrzył w kuchni wino, co wróżyło dłuższą rozmowę. Rozmowę, która zostawiła ślad w mojej kartotece.

Na moją ostatnią wizytę duszpasterską zaprosiłam więc tę przyjaciółkę, co już przyjmować przestała. Głównie po to, by nie stawiać samotnie czoła dziwności tej sytuacji. Nakryłyśmy stół, wyciągnęłam wielki krzyż po byłej właścicielce mieszkania oraz brzydkie, nowiutkie kropidło. Prymuska kolędy. No prawie, bo wody święconej jednak w mieszkaniu nie gromadzę. Stawiłyśmy się o czwartej po południu, wizyta zapukała niewiele później. Kleryk na stażu, dość przestraszony. Trochę mnie to dotknęło, bo parafia przysłała wynajętego człowieka.

Chciał tylko pobłogosławić i biec dalej. Oraz kopertę chyba. Wyjaśniłyśmy, że zamiast kasy w kopercie mamy plakaty inicjatywy „Zranieni w Kościele". Jak zawisną w przedsionku, zrobię przelew. Próbował iść, ale mówimy, że to w końcu duszpasterska wizyta. Siadł zlękniony. Kurczowo trzymał w ręku karty ewidencji parafialnej. „Co tam w zasadzie o nas piszecie?" – pyta koleżanka. Przycisnął mocno do piersi, nie powie. Próbujemy rozmawiać, ale nie idzie. Narzekał na upadek Kościoła na Zachodzie, ale przyszpilony przyznał, że wie niewiele. W końcu poderwał się, by kończyć. „Pomódlmy się" – wezwał i od razu zaczął „Ojcze nasz". Modlimy się, spuszczam wzrok, na stole leży moja karta z parafialnej ewidencji. Starannie wykaligrafowane imię i nazwisko, data urodzenia, adres, zawód: teolożka. Pod spodem, innym pismem, dopisek: „katolewica".

„To ksiądz to dopisał?" – pytam, gdy kończymy modły i błogosławienie domu. „To nie ja, nie ja" – mówi spanikowany. Dopisek tłumaczy lęk, z jakim przekroczył próg. Koleżanka oburzona, mówi, że powinien to wykreślić lub kartę zniszczyć. Z kolei ja, że zostawić, bo w końcu gdyby ktoś za 100 lat pisał historię parafii, o ile nie zmiecie nas katastrofa klimatyczna i ludzie będą takie rzeczy robić, to niech wiedzą, że była tu katolewica.

Dziś mu nawet współczuję, ale ostatecznie nie było mi do śmiechu. Nie mam gdzie zostawić komentarza o wikarym, chyba że w popularnych internetowych mapach, oceniając parafialny kościół jak restaurację czy fryzjera. A te wizyty, a jakże, przydają się, by potem inny stażysta mógł mi podpisać kwit na chrzestną, zaświadczając o katolicyzmie nieznanej mu osoby. Moim katolicyzmie kolędowego zastraszenia. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **KATOWICE,** środa 14 lutego godz. 18.00, wykład prof. Piotra Gutowskiego, „Chrześcijanie wobec ateizmu. O podstawach tolerancji światopoglądowej", Sala Parnassos Biblioteki Śląskiej (Pl. Rady Europy 1) / hybrydowe /
- **WARSZAWA,** czwartek 15 lutego, godz. 18:30 spotkanie z redaktorem Edwardem Augustynem i księdzem Mirosławem Tykferem, „Synod i co dalej. Kościół na drodze reformy" Sala KIK (ul. Freta 20/24A)
- **TRÓJMIASTO,** czwartek 15 lutego, godz. 18.00 spotkanie z poetkami i poetami Gdańskiego Klubu Poetów „Gdańsk i poezja", Biblioteka Manhattan (Gdańsk Wrzeszcz)
- **BIELSKO-BIAŁA,** czwartek 15 lutego, godz. 17.00 spotkanie z s. prof. Barbarą Chyrowicz, „Naganna bierność", Willa Sixta (ul. Mickiewicza 24)

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

METAFORY PRZESTAŁY WYSTARCZAĆ

SOFI OKSANEN, FIŃSKA PISARKA:

Nastroje w Finlandii pewnie nie różnią się od tych w Polsce. Ale wierzymy w naszą armię. No i mamy teraz ten sam problem co Polska: Rosja instrumentalizuje imigrację.

ULF ANDERSEN / BE&W

PATRYCJA BUKALSKA: Ostatnim razem rozmawiałyśmy dla „Tygodnika" w pierwszych dniach rosyjskiej inwazji, w lutym 2022 r. Od tego czasu trochę się zmieniło, Finlandia wstąpiła do NATO. Wojna niestety trwa, to się nie zmieniło.

SOFI OKSANEN: I nie zmieniło się też stabilne wsparcie Finlandii dla Ukrainy. Oczywiście jest mnóstwo dyskusji o tym, co członkostwo w NATO oznacza dla naszych sił zbrojnych. Ale w tej chwili chyba najważniejsze są doniesienia o hybrydowej operacji, którą Rosja prowadzi na naszej wschodniej granicy. Mamy teraz ten sam problem co Polska: Rosja instrumentalizuje imigrację, wykorzystuje tych biednych ludzi, wypychając ich ku naszej granicy. Teraz nasza granica z Rosją jest zamknięta i jest to historyczna decyzja, bo ona nie była zamknięta od czasu II wojny światowej.

Mówi Pani o wydarzeniach, gdy po wejściu Finlandii do NATO nagle u jej granicy zjawili się imigranci z Afryki i Bliskiego Wschodu, przybywający z Rosji. W odpowiedzi rząd zamknął wszystkie przejścia graniczne.

Tak, to dziś główne u nas newsy w kontekście rosyjskim. Natomiast ostatniej jesieni byłam we Francji i w Niemczech i zdziwiłam się, że tam te informacje, co dzieje się na naszej granicy, nie wzbudzały zainteresowania. Nawet nie byli świadomi, że coś takiego się dzieje. Ani tego, czym

SOFI OKSANEN (ur. 1977) pochodzi z rodziny fińsko-estońskiej (jej ojciec to Fin, matka Estonka). W swoich książkach – tłumaczonych na kilkadziesiąt języków i sprzedanych w ponad 2 mln egzemplarzy – podejmuje temat sowieckiego i rosyjskiego imperializmu. W 2008 r. antologia o sowieckiej okupacji, której była współautorką, zapoczątkowała debatę o pamięci w Finlandii i Estonii. Jej najnowsza książka „The Same River Twice: Putin's War on Women" to esej o rosyjskim kolonializmie, kobietach i wojnie.

jest instrumentalizacja migracji. To tak, jakby to był fiński problem czy polski problem, a reszty Europy to nie obchodzi.

Czy tylko to wzbudza w Finach niepokój? Ostatnio w mediach pojawia się wiele spekulacji o możliwym ataku Rosji na NATO za kilka lat.

Przypuszczam, że nastroje nie różnią się od tych w Polsce. Co się zmieniło, to fakt, że teraz w Finlandii otwarcie mówi się o rosyjskiej agresji i łamaniu przez Rosję praw człowieka bez obawy, że ktoś oskarży nas o złośliwość czy rusofobię.

W tym sensie publiczny dyskurs w Finlandii się zmienił. Do tego dochodzą pojawiające się cały czas informacje o naszej armii – tu może jest zmiana akcentów, bo trochę więcej się mówi o naszej własnej obronie, a mniej o Ukrainie. Wierzymy oczywiście w naszą armię. Wierzymy, że w razie czego się obronimy. Martwi mnie jednak, że za mało mówi się o dezinformacji i hybrydowych operacjach Rosji.

Takich jak na granicy?

O niej się akurat mówi, choć nie pada najważniejsze pytanie: dlaczego ta operacja jest prowadzona? Dlaczego Rosja chce wpływać na debatę w Finlandii? Tu muszę podkreślić, że rząd i politycy zdołali szybko przekazać ludziom informację, iż to jest operacja hybrydowa, komunikacja zadziałała dobrze. W czasach sowieckich KGB poświęcał 85 proc. czasu i zasobów na tworzenie kłamstw i szerzenie dezinformacji, a jedynie 15 proc. na szpiegostwo. Nie wiem, jak teraz wyglądają te proporcje w Rosji, ale pewnie podobnie. Starają się znaleźć nowe sposoby, by osłabić Zachód. I o tej „amunicji" mówimy zdecydowanie za mało.

W swojej najnowszej książce „The Same River Twice: Putin's War on Women" – co na polski można przełożyć jako „Dwa razy do tej samej rzeki: wojna Putina z kobietami" – pisze Pani, że Rosja nie zmieniła swoich metod walki. Dalej korzysta ze starego podręcznika. I choć wiele osób na Zachodzie wciąż ulega złudzeniom co do Moskwy, Pani ich nie ma od dawna i od wielu lat ostrzega przed Rosją.

Było to dość jasne od chwili, gdy Putin doszedł do władzy. Zmieniła się temperatura, pojawiła się narracja skierowana przeciw państwom bałtyckim. Rosja nie kryła, że nie zamierza być miłym sąsiadem.

Czy jako fińska pisarka o estońskich korzeniach ma Pani poczucie obowiązku, by poruszać te kwestie? Ta najnowsza książka to esej o Rosji i sposobach, w jakich prowadzi swoje wojny. Ale podobno nie taki miała Pani plan. Aby ją napisać, odłożyła Pani na bok inny projekt pisarski. Dlaczego ten temat był tak ważny, by poruszyć go teraz?

Obawiałam się, że głosy kobiet dotkniętych przez wojnę nie będą usłyszane. I widzimy, że właściwie to się stało – są spychane na margines. Na terenach okupowanych przez Rosję kobiety padają ofiarą przemocy seksualnej, w ośrodkach zatrzymania stosowane są tortury seksualne, w sieci rozpowszechniana jest rosyjska dezinformacja w obszarze płci – Anglosasi mają na to określenie: *gendered disinformation* – ale już się o tym nie mówi. Swiatłana Aleksijewicz mówiła, że wojna nie ma w sobie nic z kobiety – widzimy, że nic się w tej sprawie nie zmieniło i właśnie dlatego musimy o tym mówić. To wojna skierowana przeciw prawom kobiet, równości, przeciw wartościom.

Kiedy ta inwazja się zaczęła – i myślę, że zgodziłoby się ze mną wielu ukraińskich poetów i autorów – poczułam, że metafory przestały wystarczać, że potrzebne jest bardziej bezpośrednie podejście. Fikcja może być potężną formą pisarską, ale to esej pozwala mi zwracać się do czytelnika bardziej bezpośrednio, pisać w bardziej analityczny sposób, wykorzystując historyczne fakty. Chciałam też napisać książkę przystępną, by jej czytelnik nie musiał mieć wcześniejszej wiedzy o Związku Sowieckim, Rosji i Ukrainie. Chciałam pokazać w szerszym kontekście wojenne narzędzia Rosji, których używa od dawna.

Pokazuje Pani powtarzające się mechanizmy w postępowaniu Rosji. Jest też w tej książce wiele szczegółów dotyczących Pani estońskiej rodziny. Np. ciotecznej babci, która – jak można przypuszczać, bo sama o tym nigdy nie opowiedziała – w czasie II wojny światowej została zgwałcona podczas nocnego przesłuchania i ta trauma sprawiła, że przestała mówić. To doświadczenie krewnej legło też u podstaw Pani powieści „Oczyszczenie". Znów to wszystko się powtarza.

Dokładnie tak: to się powtarza. Dlatego uważam, że musimy mówić o tym, jak Rosja wykorzystuje w tej wojnie przemoc seksualną jako broń. Trzeba o tym mówić i położyć kres bezkarności sprawców. To dotychczasowa bezkarność sprawiła, że rosyjscy żołnierze ciągle tak się zachowują.

Jako czytelniczka byłam wściekła, gdy przeczytałam, jak wojenna przemoc seksualna, uznawana przecież za element ludobójstwa, wciąż nie jest traktowana dość poważnie – bo jest trudna do udowodnienia, bo trudno uzyskać wyrok skazujący. To na tych prawnych trudnościach koncentruje się narracja na Zachodzie.

Potrzebujemy zmian prawnych, większej determinacji. Jeśli pomyślimy o skali zbrodni wojennych popełnianych w Ukrainie, to w przyszłości procesy potrwają pewnie kilkadziesiąt lat. Będzie potrzeba całych zastępów prawników i dokumentalistów. Sposób, w jaki teraz te zbrodnie są badane i rejestrowane, będzie miał znaczenie dla przyszłości. Może być to kamień milowy. Przecież jeśli chodzi o przemoc seksualną, jesteśmy teraz w stanie pozyskiwać dowody szybciej niż kiedykolwiek wcześniej.

A dzięki technologii, jak nagrania telefonem, dowody można szybko rejestrować i przesłać dalej.

DNA też szybko nie znika. I to pozwala na jasny przekaz dla rosyjskich sprawców: być może będziesz mógł wieść spokojne życie w Rosji, ale nigdy nie opuścisz jej granic.

Dodajmy, że Rosja gwarantuje bezkarność żołnierzom, którzy popełniają zbrodnie w Ukrainie. Pisze Pani o procedurach sądowych i kłopotach z nimi, ale też o innym wymiarze sprawiedliwości. Dla ofiar równie ważne jak sprawiedliwość w sądzie może być wysłuchanie, wsparcie i pamiętanie. Ten rodzaj

↦

VIACHESLAV RATYNSKYI / AFP / EAST NEWS

Mieszkanki Buczy upamiętniają rocznicę wyzwolenia miasta spod okupacji. Podkijowska Bucza była jednym z miejsc, gdzie żołnierze rosyjscy popełnili masowe zbrodnie. 31 marca 2023 r.

↦ **sprawiedliwości zależy od nas wszystkich.**

Tak, po prostu nie wolno nam o tym zapomnieć. Bo to, co pamiętamy, to, co jest uznane za ważne, wyznacza również moralny drogowskaz dla przyszłych pokoleń.

Nie od dziś pamięć jest kolejnym polem bitewnym Rosji. „Żadne wspomnienie nie jest dla okupanta zbyt małe, by je zniszczyć, bo czasem jedno zdjęcie, jedna opowieść sprawią, że historia całej rodziny pozostanie żywa" – pisze Pani i to też wynika z rodzinnych doświadczeń, bo np. zdjęcie swojej ciotecznej babci mogła Pani przywieźć do Finlandii dopiero w latach 90. XX w., gdy Estonia odzyskała niepodległość.

Mamy dziesięć takich fotografii, które wcześniej musiały być ukrywane, w tym mojego dziadka, który należał do Leśnych Braci, antykomunistycznej partyzantki działającej w krajach bałtyckich.

Takie zdjęcia zakopywano, chowano w skrytkach. Pani rodzina przechowała je za tapetą. Stare zdjęcia były też na liście zakazanych dóbr, których nie można było wwozić lub wywozić ze Związku Sowieckiego. Gdyby znaleziono je w razie rewizji na granicy, stracilibyście je bezpowrotnie.

To było bardzo „niebezpieczne" zdjęcie, bo dziadek był w estońskim mundurze wojskowym. Udało mu się uniknąć i mobilizacji prowadzonej przez Niemców, i przez Sowietów – był wtedy w leśnej partyzantce. Na tej fotografii był w estońskim mundurze, bo służba wojskowa była w Estonii obowiązkowa. Dzięki temu zdjęciu nawet ja jako dziecko wiedziałam, że Estonia była kiedyś niepodległym krajem. Mieliśmy też inne zdjęcie z estońską flagą, która w Związku Sowieckim była zakazana.

Wracając do głównego tematu Pani książki, zbrodni wojennych i przemocy seksualnej: podnosi Pani problem ich dokumentowania i liczenia. Bo przyzwyczailiśmy się do liczb i tak raportujemy wojnę, przez pokazanie jej skali.

Łatwo jest policzyć, ile nóg żołnierzy amputowano, ile amunicji wystrzelono. Natomiast przestępstwa seksualne policzyć jest bardzo trudno. Również dlatego, że definicja obejmuje bardzo wiele zachowań. Nawet groźba gwałtu może być przestępstwem seksualnym. Chcę też podkreślić, jak trudno rozróżniać różne formy przemocy seksualnej, bo skutki psychologiczne są takie same. Nie możemy mówić tylko o gwałcie, polegającym na stosunku seksualnym, jako o jedynym rodzaju przestępstwa seksualnego. Bo nie można oceniać, czy to więcej cierpienia, czy mniej niż np. podczas tortur polegających na rażeniu części intymnych prądem czy podczas gwałtu butelką. Dodatkową trudnością jest fakt, że kobiety i mężczyźni, którzy doświadczyli takiej przemocy, nie chcą czasem o tym mówić. Można oczywiście założyć, że policzy się osoby, które doświadczyły jakiejś formy przemocy, ale dla mnie to niepokojące, że to liczby okazują się tak istotne.

Tym bardziej że przestępstwa seksualne przez swoją naturę krzywdzą nie tylko bezpośrednią ofiarę, ale wpływają na jej rodzinę, na dzieci. Ta trauma trwa nieraz całe pokolenia.

To prawda.

W książce przywołuje Pani sytuację z pierwszych tygodni wojny w Ukrainie, gdy litewska organizacja kobieca otrzymała prośbę o przesłanie tam testów ciążowych. Litwinki wysłały też „tabletki dzień po", czyli antykoncepcję awaryjną. To kolejny przykład, jak Rosja dalej stosuje metody znane z jej poprzednich wojen. I jak wykorzystuje tę „najtańszą" z broni – gwałt.

Możemy wykazać się większą determinacją, potępiając popełniane zbrodnie. Musimy też więcej o nich mówić, ale do tego potrzebujemy większego researchu. To wstrząsające, jak zepchnięte na margines są przestępstwa seksualne podczas dokumentacji zbrodni w strefach wojny. Ile pani zna książek o wojennych gwałtach? Kilka? A ile jest książek o przykładowo rodzajach broni palnej? O rodzajach uzbrojenia podczas II wojny światowej? W Finlandii co roku publikowana jest o tym nowa książka!

Myślę, że nikt już nie zaprzeczy, że Rosja stosuje przemoc seksualną jako broń. To wiedza powszechna. Ale skoro to broń, gdzie publikacje na ten temat? Programy badawcze? Jeśli rzeczywiście uznajemy, że to narzędzie walki, powinny znaleźć się pieniądze na badania i debatę publiczną. I oczywiście na pomoc dla ofiar. Teraz nie ma po prostu na to dość środków.

Kolejną pozycją w seksualnym arsenale Rosji jest wspomniana już *gendered disinformation* – dezinformacja w obszarze płci. Nie bada się tego w wystarczającym stopniu, a powinniśmy, bo to broń nieznająca granic państwowych.

Na czym to polega?

Ukraińskie i zachodnie dziennikarki, naukowczynie, polityczki są celem rosyjskich trolli. W takie zawstydzanie, w wyszydzanie kobiet w sieci zaangażowany

jest GRU, rosyjski wywiad wojskowy. Skoro rosyjski wywiad wykorzystuje takie tematy, to znaczy, że traktuje je jako narzędzie walki. To też powinno dać nam do myślenia. I znowu – potrzebne są badania, by opracować sposoby radzenia sobie z takimi metodami, badania nad długoterminowymi skutkami dla kobiet. Bo to ma psychologiczne konsekwencje i wpływa na wolność słowa. Nie możemy być pewni, że kobiety będą chcieć brać udział w publicznych debatach, jeśli czyni je to celem mowy nienawiści i gróźb.

Poważne potraktowanie tej sprawy to także część systemu obrony kraju, naszej obrony. Dużo się teraz dyskutuje, czy Rosja zaatakuje państwa NATO-wskie, i w tym kontekście zastanawiamy się, czy mamy dość amunicji, materiałów wojennych. Cóż, moim zdaniem nie musimy obawiać się rosyjskich czołgów na granicy w ciągu kolejnych dwóch lat, bo Rosja jest za bardzo zaangażowana w Ukrainie. Ale to, co ona może już teraz robić – i co jest w stanie robić – to skierowanie przeciwko kobietom mowy nienawiści w internecie. Były już takie ataki na szefowe zachodnich rządów, na ukraińskie polityczki, dziennikarki.

Rosja nas testuje, jej kampanie dezinformacyjne i ataki hybrydowe będą coraz silniejsze. **Również te skierowane przeciw kobietom.**

I jeszcze jedna rzecz: nasilenie mowy nienawiści i seksualnych gróźb wobec kobiet online może prowadzić do przestępstw w świecie rzeczywistym, offline. Nic nie dzieje się „tylko” online, to prowadzi do rzeczywistych sytuacji i uwarunkowań. Ma też wpływ nie tylko na zaatakowane kobiety, ale kształtuje debatę publiczną. Wojskowi eksperci nie widzą tego, bo to nie na ich laptopach wyskakują te groźby. Nikt im nie grozi każdego dnia, że zostaną zgwałceni. Jeśli jesteś jednak kobietą mówiącą o Rosji, to takie groźby otrzymasz – jeśli nawet nie codziennie, to na pewno często.

Rosja nas testuje, kampanie dezinformacyjne i ataki hybrydowe będą coraz silniejsze. Zadaniem państwa jest obrona jego obywateli – również od takich gróźb.

Czy Pani też była lub jest celem takich ataków online?

Oczywiście, że tak! Jestem osobą publiczną i jestem kobietą.

Czy teraz, po publikacji „The Same River”, wróci Pani do projektu, który musiała Pani odłożyć na później? Co jest następną pozycją w Pani kalendarzu?

Na początku marca w Fińskim Teatrze Narodowym w Helsinkach odbędzie się premiera mojej sztuki. To współczesny dramat. Rzecz jasna, z wątkami rosyjskimi.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Ostatnia wyspa nadziei

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z EL HIERRO (WYSPY KANARYJSKIE)

Alexis umie pracować pod presją. To przydaje się dziś na Kanarach – od kilku miesięcy na tych hiszpańskich wyspach na Atlantyku trwa stan wyjątkowy. Liczba Afrykanów, którzy tą drogą chcą dostać się do Europy, jest rekordowa.

Gwar niczym w turystycznym kurorcie. Tłumów nie ma, ale Hiszpanie bywają bardzo głośni. W rybackiej wiosce La Restinga, w największej restauracji w tutejszym porcie, kelner serwuje zimne napoje i żartuje przy tym, że są „chłodniejsze niż serce jego byłej dziewczyny". Jest zima, ale słońce mocno grzeje.

Tego dnia w La Restinga, liczącej niespełna pół tysiąca mieszkańców, jest spokojnie. Wyjątkowo spokojnie – to jeden z tych nielicznych dni w ostatnich miesiącach, w których do portu nie dociera żadna łódź z migrantami.

O tym, że zwykle jest inaczej, świadczą pozostawione na brzegu *cayucos*. Ta hiszpańska nazwa (dosłownie: dłubanki) jest myląca. To długie drewniane łodzie, które pomieścić mogą nawet ponad 200 osób. Najdłuższe są z Senegalu.

DALEJ JEST OCEAN | Naprzeciw restauracji, na końcu portu, jest pomost. Niewielkimi schodkami na ląd schodzą imigranci, którzy tu dotarli. Po kilku dniach na morzu w prowizorycznych łodziach reagują emocjonalnie. Wielu pada na kolana i całuje ziemię.

Naprzeciw wychodzi im Alexis Ramos Fdez. Nie rusza się z domu bez kamizelki Czerwonego Krzyża. W aucie ma dwie, na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, gdzie zastanie go informacja o nowo przybyłych. Służby państwowe – paramilitarna Guardia Civil i odpowiadająca za bezpieczeństwo na wodach terytorialnych Salvamento Marítimo – regularnie patrolują wybrzeże. Gdy dostają sygnał z radaru, płyną na poszukiwanie łódek.

El Hierro to ostatnia z Wysp Kanaryjskich, wysunięta na południowy zachód archipelagu. Dalej jest pusty ocean. Jeśli migrantom nie uda się tu dotrzeć, ich szanse na przeżycie na oceanie będą minimalne.

Alexis chce pokazać mi port i nowo postawione namioty Czerwonego Krzyża. Nie mają kłódek – na wyspie, gdzie żyje 11 tys. stałych mieszkańców, przestępczość prawie nie istnieje. Jest namiot, gdzie imigranci dostają suche ubrania i koce. Jest punkt wydawania wody, soków i napojów dietetycznych bez sodu. Jedzenie? To wydają rzadko. Gdy migranci z Afryki Subsaharyjskiej spędzą na morzu nawet 11 dni, wymiotują często już po wypiciu wody, wyjaśnia 54-letni Alexis.

STAN NADZWYCZAJNY | Wolontariuszem w Czerwonym Krzyżu został 37 lat temu, a od 2012 r. jest szefem jego oddziału na El Hierro. Wcześniej pracował w Centrum Ratunkowym 112 na sąsiedniej Teneryfie. Odpowiadał za plan ewakuacji El Hierro, gdy w 2011 r. wybuchł wulkan Tagoro. Dyżurując w „112", co dzień odbierał zgłoszenia o wypadkach, pożarach, samobójstwach. Nauczył się pracy pod presją.

Ta umiejętność przydała mu się jesienią 2023 r. W październiku na El Hierro ogłoszono stan sytuacji nadzwyczajnej ze względu na kryzys migracyjny. Wyspa mająca 278 km² (to obszar Zielonej Góry) musiała opracować procedury na przyjęcie tysięcy migrantów przypływających na „dłubankach", a czasem na tratwach. Wielu w stanie hipotermii i odwodnionych.

Łącznie w 2023 r. do Hiszpanii przybyło drogą nielegalną ponad 57 tys. mi-

grantów, z tego znaczna większość, bo blisko 40 tys., na Wyspy Kanaryjskie. To wzrost o ponad 154 proc. w porównaniu z rokiem 2022. Większość pochodziła z Mali, Mauretanii, a zwłaszcza Senegalu.

Prof. Pablo Pumares z Uniwersytetu w Almerí, który specjalizuje się w geografii społeczno-ekonomicznej, zwraca uwagę, że nie ma prawie Marokańczyków. Ich emigrację hamują kontrole brzegu i morza, które prowadzą służby marokańskie. – To efekt umów między rządami Hiszpanii i Maroka – wyjaśnia. – Dziś migrują zwłaszcza Senegalczycy, to zapewne efekt pogarszającej się sytuacji politycznej i ekonomicznej w ich kraju.

NAJDŁUŻSZA TRASA | Na El Hierro opinie o migracji są podzielone. Wielu uważa, że Europa powinna bardziej pomagać krajom Afryki, by ich obywatele nie musieli migrować. Inni pamiętają migrację Hiszpanów do Wenezueli i Kuby w połowie XX w.

– Ludzie muszą uciekać ze swoich krajów przez głód, biedę, wojnę, przemoc. To zrozumiałe, że muszą szukać lepszego miejsca do życia. Nasi ojcowie i dziadkowie musieli też stąd emigrować do Ameryki Południowej, dlatego to rozumiemy – mówi mi Enrique Febles, mieszkaniec Valverde, stolicy El Hierro.

Trasa z Afryki na El Hierro uznawana jest za najniebezpieczniejszą z wszystkich tras wiodących stamtąd na Kanary. Chodzi o długość: aby dotrzeć na Lanzarote, zwykle wystarczą jeden-dwa dni na morzu. Aby dotrzeć na El Hierro, potrzebne są minimum trzy dni. Bywa, że gdy pogoda jest zła, nawet 11 dni. Łodzie i tratwy są prowizoryczne, często przepełnione.

– Nie wiemy, dlaczego akurat do nas dociera znaczna część łodzi. Mamy hipotezę, że to trasa tak obliczona, aby uniknąć większości kontroli – ocenia Alexis.

I prowadzi do namiotu sanitarnego. Jest tutaj osiem stanowisk plus jedno na końcu, za zasłoną. Służy do reanimacji. – Czy było potrzebne? Mieliśmy kilka trudnych momentów – mówi lapidarnie Alexis.

NA TRZY DOBY | – Bywało, że ludzie siedzieli na deskach pomostu, bo było ich tylu, że nie mieliśmy krzeseł dla wszystkich – Alexis wspomina jeden z październikowych weekendów, gdy na El Hierro dotarło ponad tysiąc ludzi. Wówczas w dawnym centrum sportowym było tylko 370 łóżek. Dlatego pod koniec listopada rząd w Madrycie zainwestował prawie 6 mln euro w szybką budowę na wyspie Tymczasowego Ośrodka Recepcyjnego dla Cudzoziemców. Mieści ponad 500 osób. W porównaniu z poprzednim ma ogrzewanie, jest ogrodzony i prowadzony przez policję.

Tam pracownicy i wolontariusze Czerwonego Krzyża nie wchodzą. Choć współpracują z policją, wolą, jak mówią, pozostać neutralni. Alexis: – Jestem dumny, że imigranci nam ufają. Mówią nam o rzeczach, o których nie wspomną policjantom. Chcę, by tak pozostało.

Matki z dziećmi, kobiety w ciąży i rodziny zwykle trafiają do jeszcze innego ośrodka – dawnego klasztoru w miejscowości La Frontera. Prowadzi go Czerwony Krzyż. Miejsce przypomina zabytkową rezydencję z patio w środku. Są tu osobne pokoje dla rodzin, kobiet i mężczyzn. Większość czasu upływa w korytarzu, gdzie najlepiej łapie wifi, albo przed budynkiem, gdzie dzieci kopią piłkę.

W ośrodku recepcyjnym policja zakłada każdemu migrantowi kartę z danymi, robi zdjęcia, pobiera odciski palców i tworzy numer identyfikacyjny obcokrajowca (hiszp. *el NIE*), który odtąd służy za najważniejszy dokument.

W realiach nadzwyczajnych ważne jest, by procedury biegły szybko. Migranci mogą zostać na El Hierro maksymalnie 72 godziny, po czym muszą być wysłani na większe wyspy archipelagu lub na kontynent. Chodzi o to, by zwolnić miejsca dla tych, którzy mogą przybyć na El Hierro w kolejnych godzinach. Najmniejsza kanaryjska wyspa nie ma zasobów, by kwaterować i żywić większą liczbę migrantów. ↦

AFP / EAST NEWS

Funkcjonariusze Guardia Civil i członkowie Czerwonego Krzyża opiekują się migrantami, którzy zeszli na ląd. El Pinar na wyspie El Hierro na Kanarach, 26 października 2023 r.

ADOBE STOCK / EA

↦ **KRES ŚWIATA** | Prócz klifów, naturalnych basenów i panoramicznych widoków, wulkaniczna wyspa porośnięta jest gęstymi lasami; dominuje sosna kanaryjska. Aż 58 proc. obszaru El Hierro jest pod przyrodniczą ochroną. Ludność skupia się w kilku miasteczkach i wsiach – niemal wszyscy się tu znają.

Niemniej kiedyś była uważana za koniec świata. Biegł przez nią południk zerowy, aż do przeniesienia go w 1884 r. do Greenwich.

Na El Hierro jest też wiele długich i krętych dróg, na których znajdziemy tylko jedną sygnalizację świetlną. Jest też siłownia, mogą z niej korzystać bezpłatnie wszyscy mieszkańcy. Nie ma za to dużych hoteli ani supermarketów.

– Gdy przybyłem tu pierwszy raz, pomyślałem: otworzę pierwszy na wyspie zakład szewski, bo jeśli zepsuje ci się but, nie ma gdzie go naprawić – mówi Alexis. – Z czasem zdajesz sobie sprawę, że tutaj nie będzie to działać. Wolę nie mówić, jak długo czekamy na paczki z kontynentu. Gdy przybywasz na wyspę z daleka, myślisz, że wszystko jest łatwe. Ale nic nie jest łatwe.

Rozmiar i zasoby El Hierro mają znaczenie, gdy idzie o pomoc migrantom. Tylko w styczniu 2024 r. dotarło tu ponad 30 łodzi i tratw, a na nich ponad 2 tys. ludzi.

Alexis: – Mamy możliwości dopasowane do wyspy, na której żyje 11 tysięcy. Np. jest tylko jedna firma, która zajmuje się transportem. Największe bary mają maksymalnie po 8-10 stolików. Co chcę powiedzieć? Że gdy mamy do czynienia ze stanem nadzwyczajnym, jest to za mało.

Dodaje: – To trochę jak ze sportem. Gdy ćwiczysz, nabierasz mięśni. Teraz pracujemy w miarę normalnie, ale to efekt tych „mięśni", które wypracowaliśmy sobie wspólnie z innymi organizacjami. Czyli procedur, planów i środków.

DŁUGI PROCES | Adam wyjmuje zakupy z auta. Było otwarte? – A po co zamykać, tu nikt auta nie ukradnie – mówi 32-letni Senegalczyk i stały mieszkaniec wyspy. Z zawodu elektryk, po godzinach dorabia jako tłumacz francuskiego i wolof, języka używanego w Senegalu. Z jego usług korzysta policja, gdy prowadzi pierwsze wywiady.

Adam: – Dwa lata temu przypływała do nas jedna tratwa na dwa tygodnie. Teraz niemal codziennie. Wyobraź sobie, że siedzisz 8-9 dni na dłubance, przemoczona, w słonej wodzie. Ludzie, którzy docierają teraz na wyspę, źle to znoszą. Woda w oceanie jest zimna.

– Ludzie są oszukiwani – uważa Adam. – Życie w Hiszpanii nie jest łatwe, zwłaszcza jak nie znasz języka i nie masz dokumentów ani pracy. To długi proces. Jeśli masz szczęście, za kilka lat ułożysz sobie życie. Ale w Hiszpanii jest wielu imigrantów, którzy żyją w gorszych warunkach, niż mieli we własnym kraju.

Adam wie, przez co przechodzą migranci, bo jako nastolatek wyruszył w taką podróż łodzią z Senegalu. W rodzinnym domu nie przelewało się, rodzicom trudno było wyżywić piątkę dzieci, więc Adam postanowił dołączyć do wuja, którym mieszkał już na Majorce. Jednak zamiast do niego, trafił do centrum dla nieletnich. W sumie – nie tak źle: dzięki temu nauczył się języka, zdobył zawód, a teraz kupił kawalerkę na El Hierro.

MIGRACYJNA MAFIA | Adam uważa, że prowizoryczne łodzie organizują mafie, które zarabiają na migracji. – Obiecują, że w Europie będziesz zarabiać 4-5 razy więcej niż w Afryce. Nie wspominają, że tu koszty życia i podatki są znacznie wyższe. Jedyne co ich interesuje, to pieniądze. Płacone z góry. Dla nich nie liczy się, czy dotrzesz żywy.

Z Adamem rozmawiam pod koniec stycznia. Tego dnia jest 20 stopni, a wiatr wieje z prędkością w porywach nawet do 49 km/h. Nie zniechęca to kolejnych migrantów. Tuż po jedenastej rano lokalne wiadomości podają, że do wybrzeża El Hierro dotarła kolejna łódź. Na pokładzie jest 65 osób, w tym osiem kobiet i troje dzieci. Jedna z kobiet nie przeżyła podróży.

Gdy o tym rozmawiamy, Adam jest rozgoryczony: – Bilet lotniczy Hiszpania-Senegal kosztuje tylko 300 euro. Dlaczego ludzie płacą mafii 1000 euro, by móc płynąć prowizoryczną łodzią? Bo nie mają innej możliwości. To nie kwestia pieniędzy, lecz wymagań, które trzeba spełnić, by legalnie dostać się do Europy. Senegalczyk chce pracować we Francji i nie może, ale gdy Francuz chce przyjechać do Senegalu, jutro rano ma samolot. Wytłumacz mi, proszę, dlaczego tak jest?

– Nie wiemy, ile łodzi nie dociera. Widzimy cierpienie, ale co możemy zrobić? – pyta Alexis.

AGNIESZKA ZIELIŃSKA x2

32-letni **ADAM,** *z urodzenia Senegalczyk, a dziś stały mieszkaniec wyspy, uważa, że prowizoryczne łodzie organizują mafie, które zarabiają na migracji. „Obiecują, że w Europie będziesz zarabiać 4-5 razy więcej niż w Afryce".*

54-letni **ALEXIS RAMOS FDEZ,** *szef Czerwonego Krzyża na El Hierro, nie rusza się z domu bez służbowej kamizelki. Nigdy nie wiadomo, gdzie zastanie go informacja o nowo przybyłych, którzy na morzu mogli spędzić wiele dni.*

BEZIMIENNE GROBY | Ta kobieta, która nie przeżyła, zostanie pochowana na cmentarzu w gminie El Pinar. Cmentarz jest ładny, otoczonym wysokim białym murem. Jeśli uda się ją zidentyfikować, w miejscu jej pochówku na białej ścianie, tuż obok innych, pojawi się tablica z jej nazwiskiem. Jeśli nie, dołączy do kilkunastu innych grobów opisanych literą „T". To od hiszpańskiego słowa *tripulante*, dosłownie: członek załogi. Np. tablica T1 podaje tylko datę (24 października 2023 r.) i godzinę (2.28 rano). Ślad po człowieku, który nie przeżył.

Adam: – Odwiedzałem kiedyś rodzinę w Senegalu. Usłyszałem, że z jednej wsi wypłynęła tratwa z ponad 70 ludźmi. Minęło 25 dni bez kontaktu. Potem okazało się, że łódź nie dotarła do Hiszpanii ani do żadnego innego miejsca. Wszyscy zginęli.

Jego zdaniem młodzi nie mówią rodzicom, gdy chcą płynąć do Europy, bo boją się, że rodzice im zabronią: – Nagle ojciec dowiaduje się, że tratwa, na której był syn, zaginęła. Nie chcę wyobrazić sobie bólu, przez który muszą przechodzić taki ojciec czy matka.

KWESTIA WIEKU | Faktem jest, że do Hiszpanii na łodziach dociera wielu nieletnich bez rodziców. W 2023 r. było ich ponad 4,5 tysiąca. Alexis: – Zwykle to, czy ktoś jest nieletni, widać od razu. Jeśli policja ma wątpliwości, trzeba zrobić badanie. Możemy to wykonać w naszym centrum ratunkowym, ale lepiej zaczekać. Nastolatkowie są w szoku, a to może wpływać na wyniki.

Pisały o tym Minerva Herrera Santiago i Carla Segura Ortiz, pracowniczki socjalne z Gran Canarii, w analizie na łamach magazynu „TSDifusion". Według nich jest różnica między wiekiem prawnym a biologicznym. Rozmowy z nastolatkami, którzy przybyli do Hiszpanii bez rodziców, prowadzone są zwykle przy udziale tłumacza. Dodatkowo nastolatek poddawany jest radiografii nadgarstka, szczęki czy obojczyka, ale margines błędu takiego badania to nawet dwa lata.

– Analizy wieku, które się przeprowadza, są bardzo szacunkowe, a margines błędu duży. To, czy ktoś ma 18 lat, to kwestia nawet kilku dni, a to ciężko wykazać w badaniu. Ponadto ludzie rozwijają się w różnym tempie. Dla nich ta różnica ma duże znaczenie. Jako nieletni są objęci ochroną, dostają szansę na edukację, a jako dorośli już nie – wyjaśnia różnicę prof. Pablo Pumares z Almeríi.

SZANSA | Taka procedura trwa, a centra dla nieletnich są przepełnione. Bywa też, że nieletni są myleni z dorosłymi. Prokuratorka z Wysp Kanaryjskich, María Farnés Martínez, pod koniec grudnia 2023 r. poinformowała, że bada sprawę 200 nieletnich migrantów, którzy latem przez pomyłkę zostali wysłani do centrów recepcyjnych dla dorosłych. Farnés Martínez przy okazji apelowała, by centra dla nieletnich nie zamieniły się w miejsca „do przeczekania", i twierdziła, że trzeba „dać im szansę na przyszłość".

Taką szansę 16 lat temu dostał Adam, który w Valverde jest dziś znany jako fachowy elektryk. Jego sąsiadki mówią: „Jeśli wszyscy migranci są tacy, jak ty, niech przyjadą".

Adam nie uważa, że jest lepszy niż inni: – Pracowałem na to ciężko. I dzięki Bogu mi się udało.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Rolniczy blues

SZYMON ŁUCYK
Z DEPARTAMENTU OISE I PARYŻA

Francuzi gremialnie poparli rolniczy bunt. Choć w obliczu drożyzny sami często preferują tańszą żywność z importu.

Protest rolników w Nicei, 1 lutego 2024 r.

Do traktora któryś z protestujących doczepił tablicę z odręcznym napisem: „Kocham mój zawód, ale chciałbym z niego żyć". Wokół, jak okiem sięgnąć, długi rząd ciągników, pięćdziesiąt albo więcej. Zajmują pas autostrady A16, ok. 70 km na północ od Paryża. Protestujący okupują ją już od dziewięciu dni.

TAK NIE MOŻE BYĆ | Akurat jest przerwa na posiłek. Na „polowym" grillu smażą się wołowe steki („Lokalne mięso!" – słychać zapewnienie w gwarze rozmów). Kanapki, sałatki, miejscowe sery, wino. Jedzą i piją także samorządowcy z departamentu, którzy przyjechali wspierać rolników. Są z różnych opcji politycznych.

Za bufetem uwija się Lorine, 26 lat. Szczupła i drobna, niższa o głowę od barczystych kolegów. Samodzielnie prowadzi 40-hektarowe gospodarstwo, hoduje bydło. – Praca mi nie ciąży, jeśli zostaję na roli, to dlatego, że to lubię – mówi. – Ale doskwiera mi inflacja, niskie dochody i do tego nieuczciwa konkurencja z zagranicy.

Swoją wołowinę Lorine sprzedaje lokalnemu rzeźnikowi. Uważa, że sieci handlowe bezprawnie zaniżają ceny skupu. A Francuzi, choć na ogół deklarują, że chcą jeść produkty lokalne i ekologiczne, przyciśnięci drożyzną kupują tańsze mięso, także z importu.

– Normy, wciąż nowe normy – te słowa powtarzają się jak refren wśród protestujących. Chodzi nie tylko o regulacje unijne, ale też o rodzimą biurokrację. – Nie chcemy więcej pieniędzy, chcemy mniej norm – rzuca obecny na blokadzie Luc Smessaert, wiceprzewodniczący FNSEA, głównego związku rolników. – Tak, popieramy wspólną Europę, ale francuscy producenci rolni muszą być chronieni. Importujemy coraz więcej owoców, warzyw, drobiu. Tak nie może być!

– Rolnik polski czy francuski nie powinien płacić za skutki wojny w Ukrainie – mówi mi Smessaert. – Zboże z Ukrainy powinno docierać tam, gdzie jest potrzebne, np. do Afryki.

Widać, że rolnicy przygotowali się na długi protest: mają generatory prądu, przyczepy kempingowe i przyczepy dla bydła (te ze słomą do spania), zapasy żywności. Pomagają im mieszkańcy: przywożą jedzenie i napoje. I dodają otuchy.

RADYKALNI | Zdecydowana większość Francuzów (według różnych sondaży od 85 do 89 proc.) odnosiła się z sympatią do protestów, które w drugiej połowie stycznia przetaczały się przez cały kraj.

Rolę zapalnika dla społecznego wybuchu odegrała zapowiadana przez rząd podwyżka cen paliw rolniczych. Bunt zaczął się na południowym zachodzie, w Oksytanii, a potem szybko rozlał się na resztę kraju. Miał rozmaite formy: od blokad dróg, przez przejazdy traktorami w centrach miast, aż po „naloty" rolników na hipermarkety, traktowane jako symbole nieuczciwej konkurencji. Protestujący zapowiadali też „oblężenie" Paryża. Nie wyszło, bo traktory jadące do stolicy z południa kraju zostały po drodze zablokowane przez żandarmerię.

Centrale syndykatów rolniczych próbowały przejąć kontrolę nad spontanicznymi protestami. Nie obeszło się jednak bez czynów radykalnych. Np. 24 stycznia przed bramą prefektury w mieście Agen (między Bordeaux a Tuluzą) podpalono opony, a budynek oblano gnojówką.

Jednak takie i podobne, równie gwałtowne formy protestu nie wpłynęły na sympatię ogółu Francuzów dla rolników. Może dlatego, że uliczna przemoc jest nad Sekwaną trwałym elementem walki o prawa socjalne – przykładem ruch Żółtych Kamizelek z lat 2018-2019.

ZMIANA MODELU | Według statystyk Francja to wciąż rolnicza potęga: największy producent żywności w Europie (ok. 17 proc. całkowitej unijnej produkcji; dane z 2021 r.), przed Niemcami i Włochami. Czołowy eksporter zboża, wina i napojów spirytusowych, zwłaszcza koniaku. Jednak od dekady rolnictwo francuskie jest coraz mniej konkurencyjne.

Socjolog i badacz rolnictwa prof. François Purseigle zwraca też uwagę, że we Francji załamał się rodzinny model gospodarki rolnej. W skrócie: coraz częściej produkcja rolna przechodzi z rąk rodzin w ręce „zawodowców", rolnych firm, które zatrudniają pracowników z zewnątrz. – Ta przemiana rozgrywa się i we Francji, i w Holandii, i także w Polsce. Ona jest też wspólnym źródłem rozmaitych protestów rolniczych w całej Europie –

mówi „Tygodnikowi" Purseigle, współautor pracy o wymownym tytule „Rolnictwo bez rolników: cicha rewolucja".

We Francji jest dziś tylko niecałe 400 tys. gospodarstw, a do 2030 r. połowa ich właścicieli przejdzie na emeryturę. Nie jest pewne, czy znajdą się chętni do ich zastąpienia. Równocześnie około jednej czwartej rolników żyje dziś poniżej progu ubóstwa. W efekcie zniknąć może cała grupa społeczna – symbol mitycznej „starej dobrej Francji" – a także związany z nią sposób życia.

UWODZENIE ELEKTORATU | Jest też aspekt polityczny: wkrótce, w czerwcu, wybory do Parlamentu Europejskiego. Rolnicy, choć są coraz mniej liczni (stanowią dziś tylko 1,5 proc. osób aktywnych zawodowo), jako „żywiciele narodu" cieszą się mirem wśród rodaków.

Z tego względu skrajna prawica Marine Le Pen próbuje instrumentalizować ich protesty jako rzekomo wymierzone w Unię Europejską. Raczej bez skutku. – Francuscy rolnicy nie sprzeciwiają się Unii. Są świadomi, jak ważne dla nich są unijne dopłaty i że Francja jest największym beneficjentem Wspólnej Polityki Rolnej. Chcą tylko, by normy unijne, np. ekologiczne, były dostosowane do ich realnej sytuacji – uważa Purseigle.

O głosy rolników walczy też świeżo upieczony premier Gabriel Attal, prawa ręka prezydenta Emmanuela Macrona. Attal ruszył w podróż po kraju, aby gasić rewoltę. Obiecał spełnić najważniejsze postulaty rolników: cofnąć podwyżkę paliw rolniczych i uprościć procedury urzędowe. Zapowiedział też wzmocnione kontrole sieci handlowych, by walczyć z nieuczciwymi praktykami. Wreszcie, na przekór organizacjom ekologicznym i lewicy, chce zawiesić rządowy program, który miał stopniowo zredukować ilość pestycydów w rolnictwie.

W reakcji na obietnice Attala w czwartek 1 lutego główne związki zawodowe rolników wezwały do zakończenia protestów. Jednak według źródeł policyjnych w niektórych miejscach najbardziej zdeterminowani farmerzy byli gotowi je kontynuować.

Rolnicze związki zastrzegają, że traktory wrócą na autostrady, jeśli do czerwca władze nie wywiążą się z obietnic. Trudno traktować to jako czcze pogróżki. ©

VALERY HACHE / AFP / EAST NEWS

Demokracja z woli najjaśniejszego pana

WOJCIECH JAGIELSKI

Mieszkańcy Bhutanu po raz czwarty wybierali parlament. Tak jak nakazał im król. Zanim to się stało, musiał długo przekonywać nieufnych poddanych do nowego ustroju.

Tutaj zwykło się słuchać swoich władców. Obywatele Królestwa Bhutanu, położonego głęboko w Himalajach, są przekonani, że władcy lepiej znają się na sprawach, których rozum poddanych może nie pojmować. Nie sprzeciwili się także w sprawie zmiany ustroju. Styczniowa elekcja była już czwartą, odkąd poprzedni król Jigme Singye Wangchuck (panował w latach 1972-2006) zaprowadził tu demokrację.

Staje się powoli bhutańską tradycją, że wolne wybory kończą się porażką partii, która dotąd rządziła. Jeszcze nigdy żadnej nie udało się utrzymać władzy. Kto wie, czy Bhutańczycy, nie śmiąc wystąpić przeciw królowi, nie głosują przeciw wszystkim kolejnym rządzącym, by w ten sposób dać wyraz niezadowoleniu ze stanu spraw w królestwie?

Spokojnie i porządnie

W każdym razie tradycji stało się teraz zadość i rządzący przegrali. Przegrali jeszcze w listopadzie 2023 r., w pierwszej turze (zdobyli ledwie 13 proc. głosów i zajęli dopiero czwarte miejsce), po której do rozstrzygającej dogrywki kwalifikują się tylko dwie najlepsze partie. Taką ordynację wymyślił król, uznając, że najlepiej zaradzi to wadom parlamentaryzmu – impotencji i kłótliwości rozdrobnionej izby i dziwnej skłonności najżarliwszych nawet demokratów do jednopartyjnej tyranii.

W styczniowej dogrywce zwycięstwo odniosła Ludowa Partia Demokratyczna, a jej przywódca, dobiegający 60 lat Tshering Tobgay został premierem królewskiego rządu (objął tę posadę po raz drugi; wcześniej piastował ją w latach 2013-18).

Jak zwykle głosowanie przebiegło spokojnie i porządnie. Króla Jigme Khesara Namgyela Wangchucka, który panuje od 2006 r. jako piąty z dynastii Wangchucków, zmartwiła tylko frekwencja – najniższa, odkąd zaczęto urządzać wolne elekcje. Głosowało 65 proc., nieco mniej niż w drugich wyborach w 2013 r., i znacznie mniej niż w pierwszych w 2008 r. (wtedy do urn poszło 80 proc.) i trzecich przed pięcioma laty, gdy głos oddało prawie trzy czwarte.

Kłopoty szczęśliwców

Dworzanie uważają, że przyczyn mniejszego niż zwykle obywatelskiego entuzjazmu nie należy szukać w rozczarowaniu demokracją, lecz w kłopotach gospodarczych, które przeżywa ten niespełna milionowy kraj wciśnięty między olbrzymów: Chiny i Indie.

Bo choć poziomu życia w Bhutanie nie mierzy się, jak zwykle w świecie, wysokością dochodu dzielonego na głowę statystycznego mieszkańca, lecz poczuciem zadowolenia (lub niezadowolenia) z dnia codziennego, himalajskie królestwo nie było krainą szczęśliwości.

Przeciwnie, kraina ta zawsze klepała biedę – zarówno jako niepodległe od 1947 r. państwo, jak i wcześniej brytyjski protektorat (od połowy XIX w.) czy część Tybetu. Przemysłu nigdy nie było tu i nie ma, podstawą gospodarki pozostaje uprawa ziemi i pasterstwo. Trzy czwarte kraju, wielkością podobnego Szwajcarii, zajmują dziewicze lasy.

Obecny król próbował zarabiać na turystyce, lecz podróżnych przepędziła pandemia. Po niej już nie wrócili, choć monarcha kazał obniżyć ceny wiz i kwotę wymaganą od przybyszów (z dwustu do stu dolarów) na każdy dzień pobytu (obywatelom Indii stawkę obniżono aż do 14,5 dolara dziennie). Sytuację pogorszył ↦

KYODO NEWS / GETTY IMAGES

Mieszkańcy Bhutanu wciąż traktują demokrację nieufnie, frekwencja była niska. Na zdjęciu: głosowanie w stołecznym Thimphu, 9 stycznia 2024 r.

↦ kryzys światowej gospodarki i drożyzna, będąca skutkiem podwyżek cen żywności i paliw.

Nawet królewski rząd przyznaje, że na dziesięciu poddanych ośmiu z trudem wiąże koniec z końcem. Młodzi, nie mając widoków na przyzwoitą pracę (co trzeci w ogóle jej nie ma), coraz liczniej wyjeżdżają za chlebem w świat, głównie do Australii.

W prowadzonych od paru lat na zlecenie ONZ badaniach poziomu zadowolenia z życia Bhutan zawsze ląduje w dolnej połowie listy (pierwsze miejsca niezmiennie zajmuje piątka państw skandynawskich). „To, że poziom życia mierzymy poziomem zadowolenia, nie znaczy, że jesteśmy z naszego życia zadowoleni" – tłumaczą dworzanie.

Szczęście krajowe brutto

Na pomysł, by poziomu życia nie mierzyć krajowym dochodem, lecz zadowoleniem poddanych, wpadł król Jigme Singye – ten sam, który wprowadził demokrację. „Donoszą mi, że wzrósł nasz dochód krajowy brutto, ale nic mi to nie mówi. A muszę przecież wiedzieć, czy królestwo się rozwija i moim poddanym żyje się lepiej, czy są szczęśliwi – miał oznajmić dworzanom, gdy na początku lat 70. XX w. jako nastolatek zasiadł na tronie. – Wymyślcie coś nowego. Musi być jakiś inny sposób, by wiedzieć, na czym stoimy".

Jak nakazał, tak się stało – i od pół wieku urzędnicy króla wyruszają co pięć lat w wędrówkę po kraju, by dowiedzieć się od poddanych, jak się im żyje. Na podstawie zebranych danych sporządzają dla króla raporty.

„Czy jesteście zadowoleni z życia, jakie wiedziecie? Odpowiedzcie w skali od 1 do 10" – pytają. W buddyzmie, który wyznaje dziewięciu na dziesięciu mieszkańców, lepsze życie nie znaczy wcale życia w bogactwie. Urzędnicy pytają więc rodaków, jak często się modlą i medytują, co ich martwi, co zakłóca ich spokój ducha i czy czegoś zazdroszczą innym.

Pytania dotyczą dziewięciu sfer życia (m.in. rządzących, gospodarki, kultury, przyrody, zdrowia, samopoczucia), a na podstawie 72 wskaźników specjalnie przeszkoleni urzędnicy wyliczają, czy w królestwie jest lepiej, czy jednak gorzej. Taki sposób mierzenia jakości życia król kazał umieścić w konstytucji. Podobnie jak zapis, iż celem rządzących jest jak największe szczęście poddanych.

Czas izolacji

Konstytucja z 2008 r. była jedną z kilku rewolucyjnych zmian, które zaprowadził król Jigme Singye. Jego ojciec, dziadek i pradziadek (który w 1907 r. pierwszy zasiadł jako król na bhutańskim tronie, przy wsparciu Brytyjczyków) wierzyli, że tylko zrywając kontakty ze światem, ich królestwo zachowa niezależność i nie zostanie zniewolone przez mocarstwa. Podobną wiarę wyznawali kiedyś też emirowie Afganistanu, którzy nie zgodzili się, by Brytyjczycy podciągnęli do Kabulu linię kolejową z ich kolonii w Indiach.

Niedostępność i obojętność na sprawy reszty świata zapewniły Bhutanowi niezależność, ale skazały na zacofanie. Do lat 60. XX w. kraj nie utrzymywał niemal żadnych kontaktów ze światem zewnętrznym. Nie było tu bitych dróg, telefonów, samochodów, elektryczności ani nawet pieniędzy, a cudzoziemców po prostu nie wpuszczano. Gdy w 1961 r. do stolicy wjechał pierwszy terenowy dżip, niektórzy z mieszkańców wzięli go za ziejącego ogniem smoka (miejscowi nazywają swój kraj Królestwem Smoka).

Końcem epoki izolacji była właśnie koronacja Jigme Singyego w 1972 r. Zaproszono na nią prawie pół tysiąca zagranicznych gości. Nigdy wcześniej stolica nie widziała tylu cudzoziemców naraz. 17-letni z chwilą objęcia tronu król, wykształcony w najlepszych uczelniach Zachodu, uznał, iż w epoce lotów kosmicznych jego królestwo musi choć odrobinę dostosować się do nowych czasów.

Postęp z zastrzeżeniami

Aby jednak oszczędzić poddanym wstrząsu, jakim mogło zakończyć się zbyt nagłe zderzenie z nowoczesnością, król postanowił stopniowo uchylać drzwi na świat i w ten sposób wpuszczać do Bhutanu nowinki. Radio pojawiło się już rok po koronacji, ale telewizję Bhutan wprowadził dopiero w 1999 r. (jako ostatni na świecie), a rok później – internet.

Chcąc uchronić poddanych przed kultem pieniądza i ciągłą konkurencją, które mogły zagrozić buddyjskiej duchowości i tradycji, król namawiał ich do wstrzemięźliwości i do tego, aby stawiali rozwój ducha nad pomnażanie

dóbr. Sam dał przykład: wyprowadził się z pałacu do chaty na przedmieściach stolicy.

W trosce o zachowanie bhutańskiej tożsamości Jigme Singye nakazał, by Bhutańczycy nie nosili zachodnich ubrań, lecz aby szli do pracy w tradycyjnych ludowych szatach. Imigrantom z sąsiedniego Nepalu oznajmił, że albo porzucą hinduizm i zostaną buddystami, przejmując też bhutańską kulturę i mowę, albo muszą się wynieść. Zakazał sprzedaży papierosów i palenia tytoniu poza własnym domem. Zakazał plastikowych torebek. Zarządził, by dzieci w szkołach obowiązkowo uczyły się angielskiego, ale też ludowych tańców i śpiewu. Oraz aby wszystkie budynki wznoszono w tradycyjnym bhutańskim stylu.

Jigme Singye zadbał też radykalnie o przyrodę. Lasy ogłosił narodowym dobrem i zabronił ich wycinania (dla pewności kazał to zapisać w konstytucji). Aby chronić góry, zakazał organizowania wypraw wspinaczkowych. Cudzoziemcom zapowiedział, że nie wolno im bez zezwolenia zwiedzać miejscowych świątyń (pagód), robić w nich zdjęć ani wywozić z kraju związanych z religią przedmiotów.

Oto czasy nadchodzą nowe

Jigme Singye uczynił coś jeszcze: zaczął dzielić się władzą z poddanymi. Na początek z dworzanami z rady koronnej, potem z sześcioma ministrami z królewskiego rządu. W 2001 r. w ogóle oddał ministrom stery rządów, sobie pozostawiając jedynie przywilej panowania.

Pod koniec 2005 r. ogłosił poddanym, że napisał dla nich konstytucję i urządzi im elekcję, w której wybiorą sobie posłów, senatorów i ministrów. Oraz że ten nowy parlament będzie mógł odrzucać królewskie edykty większością trzech czwartych głosów, a nawet pozbawić króla tronu, jeśli np. weźmie on sobie cudzoziemkę za żonę. Król zapowiedział też, że polityką nie będzie wolno się zajmować buddyjskim kapłanom i mnichom, a senatorem będzie mogła zostać jedynie osoba z wyższym wykształceniem.

W konstytucji zapisano też, że każdy król po ukończeniu 65. roku życia obowiązkowo musi przejść na emeryturę. Sam abdykował nieoczekiwanie wcześniej – w 2006 r., mając 51 lat, ogłosił, iż zrzeka się tronu na rzecz najstarszego syna, 25-letniego „księcia z bajki" Jigme Khesara Namgyala.

Pierwsze w dziejach Bhutanu wybory, zgodnie z obietnicą, odbyły się w stulecie monarchii. Wcześniej, wiosną 2007 r., przeprowadzono próbę generalną. Król sam wymyślił cztery partie, nadał im nazwy i programy. I tak Partia Niebieskiego Smoka obiecywała walkę z korupcją, Zielony Smok był partią obrońców przyrody, Żółty – ugrupowaniem tradycjonalistów walczących o zachowanie tradycji i kultury, a Czerwony zrzeszał zwolenników industrializacji.

Posłuszni, choć nieprzekonani

Podczas próby generalnej zwyciężył Żółty Smok, którego zwolennicy uważali, że w królestwie nic zmieniać nie trzeba. „Po co to wszystko? Na co nam politycy? A czy to najjaśniejszy pan nie wie najlepiej, co dla nas dobre?" – grzecznie, choć stanowczo argumentowali obywatele, z których zaledwie co trzeci stawił się na to testowanie demokracji. „Po co w ogóle coś zmieniać, skoro sprawy mają się dobrze?".

Niezrażony tym młody król Jigme Khesar Namgyal, wzorem ojca cierpliwie tłumaczył, że nie ma innego wyjścia, bo w XXI stuleciu trzeba iść z duchem czasu, nadążać za innymi. Dosiadł konia i wyruszył ze świtą w wędrówkę po kraju, przekonywać rodaków, by nie bali się demokracji. Dowodził, że zmiany najlepiej jest dokonywać właśnie wtedy, gdy sprawy mają się dobrze. Przywoływał przykład pobliskiego Nepalu: zaślepienie władzą zgubiło tamtejszego króla, który wywołał domową wojnę, po niej zaś sprzymierzeni komuniści i demokraci odebrali mu koronę, a monarchię zastąpili republiką. „Po co czekać ze zmianami na rewolucję?" – tłumaczył król.

Bhutańczycy zrobili, co kazał, choć niewielu przekonał. Większość, zwłaszcza mieszkańcy wiosek – w nich żyje trzy czwarte ludności kraju – posłuchali króla tylko z powodu bezgranicznego szacunku i zaufania do władców. W końcu oni zawsze wiedzieli, co dla nich najlepsze, i o wszystkim, co najważniejsze, zawsze za nich decydowali.

Tymczasem termin kolejnego badania poziomu zadowolenia mieszkańców Bhutanu wypada już wkrótce – w roku 2025.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

OGŁOSZENIE

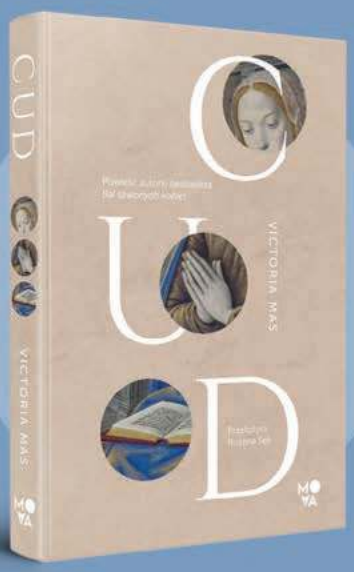

LUDZKIE SERCA TWARDNIEJĄ W OBLICZU NIEPOJĘTEGO

Nowa powieść potwierdza talent Victorii Mas - magazyn literacki „Lire"

MOVA

PIERWSZA (NIE)ŚWIĘTA WOJNA

Na początku XX wieku w Galicji powstają liczne kluby piłkarskie. Narasta rywalizacja, w której idzie nie tylko o futbol, ale też o to, kto lepiej służy „sprawie polskiej".

MICHAŁ OKOŃSKI

Bomba wybucha 6 listopada 1910 r. „Jak się dowiadujemy w ostatniej chwili, zamierzony na niedzielę najbliższą match między Wisłą a Cracovią nie odbędzie się" – pisze krakowski „Czas". „Że match ten został obecnie pogrzebany, jest to wyłączną winą Cracovii i jej nieuzasadnionego, nie zbyt nawet »sportowego« postępowania" – czytamy parę dni później w „Gazecie Poniedziałkowej".

O co poszło w jednej z pierwszych – i nie całkiem świętych – wojen między dwoma krakowskimi drużynami? Cofnijmy się o kilka lat.

Wisła i Cracovia: oba kluby, założone w 1906 r., przez pierwsze lata istnienia można określić (narażając się na oburzenie tych, którzy do dziś wiodą zacięty spór o starszeństwo któregoś) mianem dzikich lub podwórkowych. Wprawdzie wśród tych, którzy je tworzą, są persony obdarzone w przyszłości tytułami naukowymi czy stopniami oficerskimi. Ale na razie zajmuje je po prostu gra w piłkę, a nie pisanie statutów i protokołowanie zebrań.

Z parku na boisko

Wiedza na temat futbolu jest na ziemiach polskich wciąż niewielka. Praktyków brakuje, a opowieści przyjezdnych – np. nauczyciela angielskiego Williama Caldera, zatrudnionego w krakowskiej szkole języków Berlitza, w 1908 r. będącego już kimś w rodzaju grającego trenera Cracovii, sędziującego też mecze Wisły – przyjmowane są jak ewangelia. Z każdym rokiem wśród młodzieńców, którzy początkowo spotykają się w parku doktora Jordana, rosną jednak ambicje. Pojawia się coraz więcej chętnych i do kibicowania, i do gry. Już nie na ciasnych parkowych placach, lecz na Błoniach. Już nie tylko w szkolnych mundurkach, ale w spodenkach z odsłoniętymi kolanami. I już nie tylko między sobą, ale też z drużynami przyjezdnymi, choćby ze Lwowa.

Żeby zrobić kolejny krok i myśleć np. o włączeniu się do europejskiego systemu rozgrywek, trzeba się zalegalizować.

„W Galicji proces przekształcania się dzikich drużyn piłkarskich w stowarzyszenia z osobowością prawną zapoczątkował się we Lwowie" – pisze historyk sportu Dobiesław Dudek. Władze, czyli C.K. Namiestnictwo, zatwierdzają status lwowskiej Pogoni w czerwcu, a Czarnych w lipcu 1908 r. Cracovia zostaje „stowarzyszeniem sportowym o celach niezarobkowych" w listopadzie 1909 r., Wisła podobny status uzyskuje w lutym 1910 r.

Przed najlepszymi zespołami, przyciągającymi w największych miastach Galicji największą publiczność, otwierają się w ten sposób nowe perspektywy: powołania wspólnej organizacji i rywalizowania z innymi klubami, zarówno na terenie Austro-Węgier, jak za granicą.

Football i c.k. polityka

Spór między Cracovią i Wisłą wybucha w niespokojnym czasie. Nad Europą wisi już widmo wojny, w Galicji dochodzi do niespotykanego wzmożenia patriotycznych emocji. Latem 1910 r., podczas hucznych obchodów 500-lecia grunwaldzkiego triumfu nad Krzyżakami, tysiące krakowian uczestniczą w odsłonięciu pomnika tej bitwy przed Bramą Floriańską. Na Błoniach zaś – wielkiej łące za zachodnimi rogatkami miasta – buduje się stadion na rocznicowy zlot Towarzystwa „Sokół"; później korzystają z niego miejscowe drużyny piłkarskie.

„Sokół" oficjalnie promuje sprawność fizyczną młodzieży, faktycznie wychowuje ją w duchu patriotycznym. Nie on jeden: w tym samym 1910 r., z inicjatywy kierowanego przez Józefa Piłsudskiego nielegalnego Związku Walki Czynnej, w Krakowie i Lwowie powstają Związek Strzelecki i Towarzystwo Strzelec. A Andrzej Małkowski tworzy podwaliny pod przyszłe harcerstwo.

Czy to zmieniające się uwarunkowania „sprawy polskiej" leżą także u podłoża awantury między Cracovią i Wisłą?

Od paru miesięcy oba kluby (podobnie jak najmocniejsze drużyny ze Lwowa) należą już do Austriackiego Związku Footballowego, zrzeszonego w FIFA. Ale oprócz FIFA istnieje jeszcze jedna organizacja: Union Internationale de Football Association. Wprawdzie słabsza, ale zrzeszająca nie instytucje reprezentujące państwa, lecz amatorskie związki o charakterze narodowym.

Podporą UIFA są kluby z Czech, z którymi Wisła ma ożywione kontakty i które namawiają ją, by opuściła szeregi AZF oraz doprowadziła do powstania związku piłkarskiego ze słowem „Polska" w nazwie.

Austriacka kara dla Wisły

Rozgrywka toczy się więc również o to, aby galicyjscy Polacy – choć nie mają państwa – uzyskali samodzielność w życiu sportowym, co w ramach Austriackiego Związku Footballowego wydaje się niemożliwe.

W cytowanym już tekście w „Czasie" mowa jest o tym, że mecz Cracovia-Wisła nie doszedł do skutku, „ponieważ Związek austryacki zabronił klubom swoim zawodów z Wisłą". Rygor ten, czytamy dalej, dotknął Wisłę „za to, że wbrew zakazowi i ostrzeżeniu, grała dwukrotnie z czeskimi klubami, nienależącymi do związku, Unionem i Slavią. Wobec karności w międzynarodowej organizacyi piłki nożnej, kluby galicyjskie muszą na razie poddać się zakazowi Związku, pod grozą, że one z kolei byłyby wykluczone ze Związku, a zatem odcięte od całego ruchu footballowego we wszystkich krajach".

Wisła odpowiada, że dotąd AZF zezwalał – obu krakowskim klubom zresztą – na mecze z drużynami czeskimi. A następnie odpala wspomnianą w pierwszym zdaniu bombę: „T.S. Wisła zrażona przeto niekonsekwentnym postępowaniem Austr. Związku Football. zgłosiła telegraficznie d. 6 bm. swoje wystąpienie nie chcąc krępować nadal swego tak pięknego rozwoju".

Intencja kolejnych zdań jej stanowiska jest oczywista i wpisuje się w to, co Marian Kukiel nazwał (w „Dziejach Polski Porozbiorowej 1795-1921") taktyką „czynną, dążącą do stworzenia faktów dokonanych, aktywistyczną", przeciwstawiając ją dominującemu, zwłaszcza na terenie obdarzonej autonomią Galicji, wyczekiwaniu.

„Dodać by jeszcze należało, że hegemonia niemiecka nad budzącym się sportem polskim nie bardzo zdaje się być sympatyczną i doprawdy wstydzić się trzeba, że dzięki jednemu z klubów krakowskich niemiecki Związek grać nie pozwala dwu polskim drużynom" – czytamy w oświadczeniu Wisły.

O własny związek, ponad zaborami

Kolejne miesiące – jest zima, mecze się nie odbywają – upływają na gorączkowych negocjacjach. Stanowisko Austriaków, wspieranych przez FIFA, brzmi twardo: ↦

Bramkarz Cracovii Józef Lustgarten (w jasnym golfie) i napastnik Wisły Jan Cudek w meczu wygranym przez Cracovię 2:0. Błonia, 22 maja 1910 r.

ZDJĘCIE POCHODZI Z ALBUMU „PIŁKARSTWO POLSKIE W ZABORACH 1886-1918" – WWW.SKLEP.ROCZNIKPILKARSKI.PL

samodzielność klubowa i międzyklubowa jest nie do przyjęcia, a udział w meczach z drużynami reprezentującymi konkurencyjną UIFA grozi sankcjami.

Wisła jednak uznaje, że nie ma wyboru: wstępuje do UIFA i rozpoczyna kampanię mającą na celu pociągnięcie za sobą kolejnych polskich drużyn. W redagowanym przez jej późniejszego prezesa, doktora Antoniego Beaupré, narodowo-katolickim „Głosie Narodu" w styczniu 1911 r. ukazuje się „Sprawozdanie Towarzystwa sportowego »Wisła« w Krakowie". Czytamy w nim, że „z okazyi matchów z czeskiemi drużynami" klub popadł w konflikt z AZF, który „powodując się wysoko wybujałym szowinizmem, zabronił jej grać z Czechami, nie uznającymi supremacyi Wiednia w sporcie, samotnie narzuconej innym narodowościom".

W tekście mowa o wystąpieniu z AZF, wstąpieniu do UIFA oraz „zapoczątkowaniu akcyi mającej na celu utworzenie własnego Polskiego Związku sportowego, obejmującego prócz Galicyi także dwa pozostałe zabory". Celem takiego związku ma być m.in. „utrzymanie łączności między wszystkimi drużynami polskimi" oraz – uwaga – urządzanie dorocznych zawodów o mistrzostwo Polski.

Kibice „w prawdziwym kłopocie"

Kluczem do powodzenia akcji zapoczątkowanej przez Wisłę musi być poparcie jej przez czołowe lwowskie kluby i Cracovię. Te jednak nie kwapią się do wystąpienia z AZF. Przeciwnie: Stanisław Kopernicki, prezes Cracovii – i redaktor „Czasu", w stańczykowskim duchu lojalistycznego wobec monarchii (a także konkurencyjnego wobec „Głosu Narodu") – korzystając ze swoich wiedeńskich kontaktów, zaczyna grę, aby w ramach AZF powołać jednak autonomiczny galicyjski związek.

Secesjonistów z Wisły wspierają, rzecz jasna, czeskie kluby. Dzięki temu kibice pod Wawelem oglądają wiosną 1911 r. sporo niezłej piłki, np. w wykonaniu zawodników Sparty Praga.

Rywalizacja Cracovii i Wisły przybiera wówczas formy gorszące. W kwietniu 1911 r. „Ilustrowany Kurier Codzienny" z zażenowaniem donosi o motywach „osobistych nieledwie zawiści i konkurencyi" między klubami. Zauważa, że współzawodnictwo może być „bodźcem szlachetnym, o ile nie wprowadza się w nie osobistych inwektyw, które nawiasem mówiąc, obu towarzystwom nie wychodzą na dobre, dyskredytując je w opinii publicznej".

WIKIMEDIA.COM / DOMENA PUBLICZNA

Stanisław Kopernicki, redaktor „Czasu" i prezes Cracovii 1911-1912, organizator Związku Polskiego Piłki Nożnej

NAC

Antoni Beaupré, redaktor „Głosu Narodu" i prezes Wisły 1911-1912, organizator Związku Footballistów Polskich

Przyczyną, dla której „IKC" używa tych sformułowań, jest wyznaczenie przez Wisłę i Cracovię tego samego terminu na mecze, „wskutek czego sfery interesujące się sportem znalazły się w prawdziwym kłopocie: interes wybitnie sportowy ciągnie ich ku matchowi Wisły ze Spartą [Praga], drużyną par excellence pierwszorzędną i najlepszą, jaką dotąd oglądaliśmy w Krakowie, obowiązki gościnności natomiast każą wziąć udział w walce Cracovii z reprezentacyjną drużyną Królestwa Polskiego z Warszawy i Łodzi" (pod tym opisem kryje się drużyna wyłoniona przez Warszawskie Koło Sportowe, którą gospodarze łatwo pokonają).

„Na cele narodowe"

W końcu działacze Wisły postanawiają, by uchylającą się od spotkań z nią Cracovię zaszachować: proponują jej rozegranie meczu 3 maja, w rocznicę konstytucji z 1791 r., a cały dochód przeznaczyć na Dar Narodowy Towarzystwa Szkoły Ludowej.

„Cracovia odmawia walki na cele narodowe" – pisze krakowska prasa 30 kwietnia. To wskazywałoby, że pułapka jest udana przynajmniej medialnie. Wisła próbuje zastawić ją również na kluby lwowskie, ale i one się uchylają.

Cracovia zresztą potrafi ujść z matni także wizerunkowo: „Odnosząc się w zasadzie z największą sympatyą do tej propozycji, wydział K.S. Cracovia nie może jej na razie wykonać z powodów od siebie niezależnych, dla ogółu publiczności obojętnych, a T.S. Wisła znanych – piszą jej działacze w liście do Zarządu Głównego Towarzystwa Szkoły Ludowej. – Nie chcąc jednak, aby wewnętrzne stosunki obu Towarzystw sportowych przyniosły jakikolwiek uszczerbek funduszowi Daru Narodowego, obowiązujemy się złożyć na ten cel połowę domniemanego czystego dochodu z proponowanego a nierozegranego matchu w tej wysokości, w jakiej złoży ją poprzednio T.S. Wisła jako inicyatorka pięknego pomysłu".

Kto zaprosi większe sławy

Maj roku 1911 to apogeum konfliktu.

Argumentem Cracovii za utrzymywaniem *status quo* – tj. przynależnością do austriackiej organizacji piłkarskiej – jest trzydniowy „meeting footballowy", w którym oprócz gospodarzy biorą udział Czarni Lwów i ściągnięta z Wiednia, dzięki zabiegom Kopernickiego, reprezentacja Austrii. Pokaźny dochód z biletów na te mecze pozwoli potem gospodarzom na zaangażowanie pierwszego profesjonalnego trenera, Czecha Františka Koželucha.

Przyciśnięta do ściany Wisła odpowiada zaproszeniem FC Aberdeen, które wcześniej odwiedziło Pragę. I właśnie przy okazji przyjazdu Szkotów (każda drużyna z ojczyzny futbolu, odbywająca w tamtym czasie tourneé po kontynencie, budzi ogromne zainteresowanie), decyduje się zagrać *va banque*: jak pisze prasa, zwołuje „zjazd delegatów wszystkich polskich towarzystw i klubów piłki nożnej na 21 maja 1911 r. w Krakowie, celem ułożenia statutu i wprowadzenia w życie tego związku [tj. polskiego narodowego związku piłkarskiego], zapraszając delegatów drużyn polskich, bez

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Powyższy tekst jest skróconym rozdziałem książki „Nic się nie stało. Historia polskiej piłki nożnej", realizowanej w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

względu na granice terytorjalne, do jak najliczniejszego udziału”.

Pomysł skazany na klęskę

W niedzielny poranek 21 maja na pozlotowym boisku na Błoniach zjawiają się jednak przedstawiciele zaledwie jedenastu klubów galicyjskich – i wspierający inicjatywę goście z Czech, m.in. prezes Slavii. W większości są to przybysze z mniejszych miejscowości. Z liczących się drużyn akces do Związku Footballistów Polskich składają jedynie Czarni Lwów. W powołanym zarządzie dominują działacze Wisły.

Inicjatywa jest więc skazana na klęskę już w momencie powstania.

W czerwcu 1911 r. wprawdzie na mecze z Wisłą zjeżdżają do Krakowa reprezentacja Czeskiego Związku Footballowego i praska Slavia. Tyle tylko, że w tym samym czasie we Lwowie konstytuuje się... Związek Polski Piłki Nożnej – pozostający wprawdzie w strukturze AZF i uznający jej zwierzchnictwo na arenie międzynarodowej, ale obdarzony przez Wiedeń szeroką autonomią i – na czym przecież zależało wiślakom – z Polską w nazwie.

Stanisław Kopernicki zostaje wiceprezesem AZF, Polakom przypada też jedno z czterech miejsc przynależnych austriackiemu związkowi na Kongresie FIFA. Jako że w nowej instytucji są znów Czarni – spośród dużych galicyjskich zespołów Wisła zostaje w Związku Footballistów Polskich sama.

Drogą pragmatyczną

„Dobrego rozwiązania nie było – uważa badacz dziejów tego klubu Paweł Pierzchała. – Z jednej bowiem strony zaprzestanie działalności ZFP godziło w te kluby, które zawierzyły Wiśle i wsparły ją w tworzeniu tego związku. Z kolei bojkot ze strony czołowych polskich klubów, wsparty zakazem rozgrywania spotkań z drużynami austriackimi i węgierskimi, skazywał Wisłę na sportową bylejakość. A przecież klub ten dopiero raczkował w rywalizacji sportowej, także tej międzynarodowej, i kontaktów z lepszymi piłkarsko drużynami potrzebował jak kania dżdżu. Do tego dochodziły względy pozasportowe, ambicjonalne i patriotyczne. Wisła ostatecznie wybrała drogę pragmatyczną”.

Walne zebranie klubu 26-28 lipca 1911 r. jest burzliwe. Po dyskusji zapada decyzja o powrocie w szeregi AZF i dołączeniu do ZPPN.

Krakowska prasa nie jest tym zachwycona. „IKC” pisze 6 sierpnia o „rzuceniu się w objęcia Niemców” (tj. Austriaków) i „zawarciu sojuszu z dawnym swym wrogiem”. Utworzenie nowej struktury w ramach związku austriackiego nazywa się „wątpliwymi koncesjami na rzecz poszczególnych narodowości”.

Wisła odpowiada, że miała na celu „zsolidaryzowanie drużyn krajowych” i danie „widomego znaku autonomii sportu polskiego na zewnątrz”. „Znaczniejsze drużyny polskie” uznały jednak, że ich „żywotne interesy klubowe” ucierpiałyby na skutek kar ze strony AZF. Rzucone przez Wisłę „hasło solidarności polskiego sportu nie zostało jednak bez echa”, więc „bezstronny sąd wykazać musi, że, aczkolwiek pośrednio, usiłowania nasze zostały uwieńczone odpowiednim skutkiem” – czytamy w jej oświadczeniu.

Nagroda za lojalność

Trudno nie widzieć w tym konflikcie przejawów różnic większych niż czysto sportowe.

Jak pisze Paweł Pierzchała na stronie historiawisly.pl: „Wisła u zarania stawała się klubem *stricte* polskim, pielęgnującym tożsamość narodową swoich członków, co w czasach zaborczych miało swoją patriotyczną wymowę i wcale nie było powszechne w innych galicyjskich klubach”. W Cracovii tymczasem grywali wówczas Czesi, Węgrzy, Żydzi, a „nawet [podkreślenie Pierzchały] Austriacy”. Jeden ze współzałożycieli Wisły, Roman Wilczyński, opisując pierwsze spotkanie przyszłych piłkarzy tej drużyny z prof. Tadeuszem Łopuszańskim (ich nauczycielem w II Wyższej Szkole Realnej), wspomina, że „po jego odejściu podjęliśmy wobec siebie jeszcze jedną uchwałę, by w naszym klubie grali tylko sami Polacy”.

Historyk związany z Wisłą, opisując tę „nieświętą wojnę”, pisze w puencie, że Cracovia za swą lojalną postawę wobec austriackiego związku została nagrodzona nadaniem klubowi tzw. A-klasy, najwyższego stopnia przyznawanego drużynom występującym wówczas na terenie c.k. monarchii (inne polskie kluby ubiegające się o podobny status musiały rozegrać turniej kwalifikacyjny). To jednak niepotrzebna złośliwość: na ziemiach polskich nie było w tamtym czasie drużyny budzącej większe zainteresowanie, lepiej zorganizowanej, a przede wszystkim ciekawszej piłkarsko niż Cracovia.

To jednak temat na inną opowieść.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WYŻSZA SZKOŁA INFORMATYKI i ZARZĄDZANIA z siedzibą w Rzeszowie

TYGODNIK POWSZECHNY

WIELKIE PYTANIA w NAUCE

UWIKŁANI W PRZESZŁOŚĆ. PATRZĄCY W PRZYSZŁOŚĆ

REJESTRACJA

28.02 2024 17:00

Filharmonia Podkarpacka im. Artura Malawskiego w Rzeszowie

WSIZ.EDU.PL/WPWN

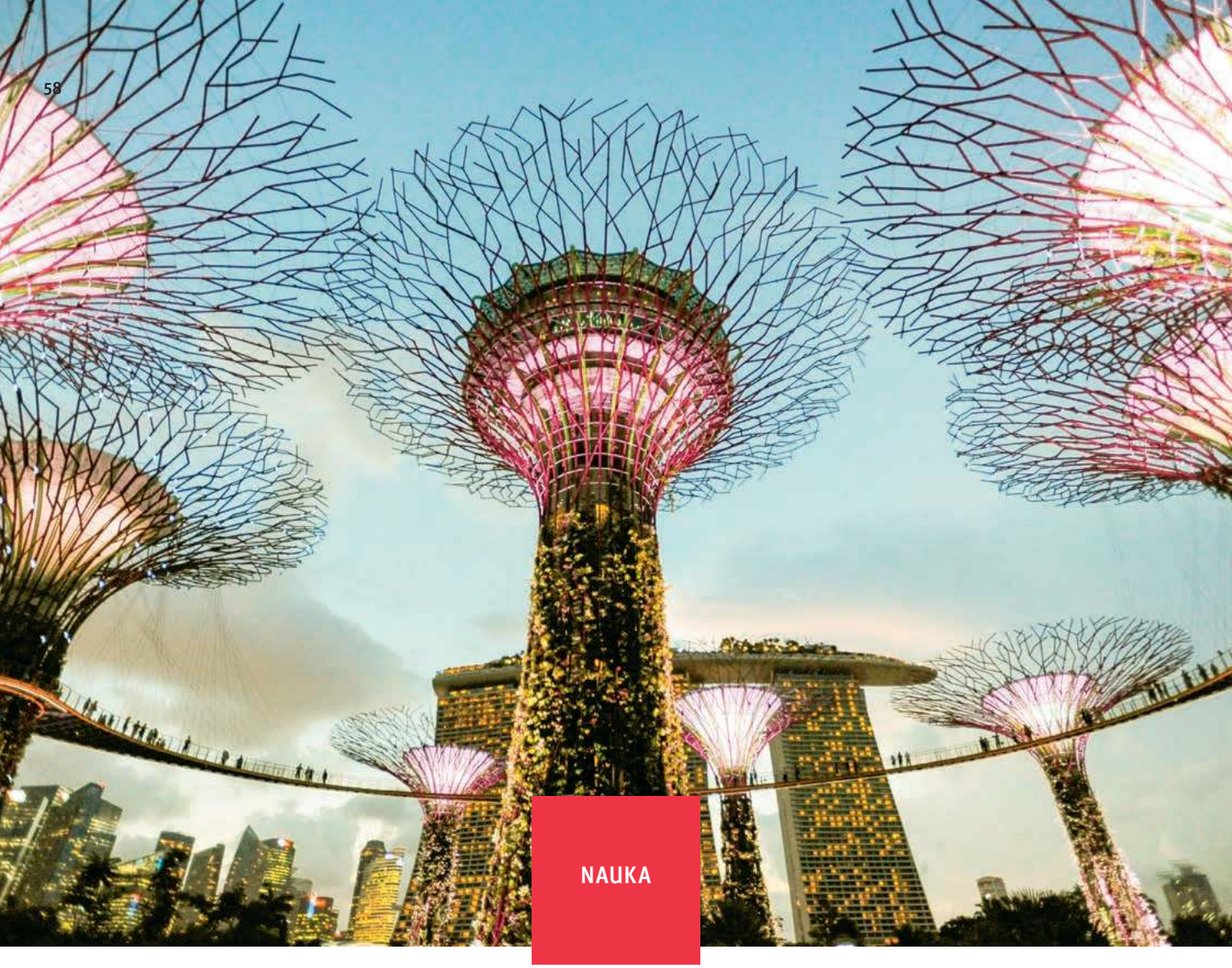

NAUKA

ŻYCIE ZŻYTE

Koncepcja endosymbiozy pojawiała się i znikała w nauce od początku XX w. Głosi, że zwierzęce i roślinne komórki zawdzięczają energię odległemu potomstwu niedojedzonych bakterii. I dziś mamy na nią solidne dowody.

MARIUSZ GOGÓL

Najpierw w Londynie wybuchła wielka epidemia dżumy, potem Izaak Newton zrobił dyplom na Uniwersytecie w Cambridge, a Giovanni Cassini zmierzył czerwoną plamę na Jowiszu. Krótko po tych wydarzeniach, we wrześniu 1665 r., przyrodnik i astronom Robert Hooke opublikował swoje największe dzieło. „Micrographia" była pierwszą książką zawierającą ilustracje roślin i owadów w skali mikroskopowej. Hooke przedstawił w niej teorię komórkowej budowy organizmów, na którą wpadł, gdy pod prymitywnym mikroskopem umieścił korek. Dostrzegł w nim strukturę przypominającą plaster miodu, z mniejszymi przestrzeniami oddzielonymi ścianami. Przywiodły mu na myśl klasztorne cele – po łacinie *cellara*. Doszedł do wniosku, że podobnie muszą być zbudowane organizmy.

Kilkanaście lat później soczewki ulepszonego mikroskopu pozwoliły sukiennikowi Antoniemu van Leeuwenhoekowi dostrzec znacznie więcej. Dzięki już niemal 300-krotnemu powiększeniu zaobserwował „drobne animakuły poru-

Pokaz świateł w Gaju Superdrzew w Singapurze. Tworzy go 18 sztucznych struktur przypominających drzewa, zaplanowanych m.in. jako pionowe ogrody.

szające się z gracją". Współcześnie nazywamy je protistami lub pierwotniakami.

W 1675 r. van Leeuwenhoek odkrył też ruchomą wić, nadającą ruch różnym mikroorganizmom. Np. giardii, pierwotniakowi wywołującemu chorobę zwaną giardiozą lub lambliozą. Udoskonalana w ciągu następnych dekad aparatura pozwoliła na jeszcze dokładniejszy wgląd w komórkowy mikroświat, w tym coraz dokładniejszy opis organelli – struktur występujących w komórkach.

Zrośnięte porosty

W budowie wewnętrznej komórek dostrzegano między innymi chloroplasty, wyglądające jak owalne kapsułki z systemem rurek wewnątrz. To miejsca zachodzenia fotosyntezy, czyli wytwarzania cukrów przez roślinę, z dwutlenku węgla i wody, przy udziale energii słonecznej. Pierwszy szczegółowy opis chloroplastów zielonych liści podał Hugo von Mohl w 1837 r., chociaż zauważał je już van Leeuwenhoek. Dla obu badaczy były to odosobnione ciałka w zielonej komórce roślinnej. Mitochondria – komórkowe elektrownie produkujące cząsteczkowe nośniki energii – dostrzegł w tkance mięśniowej 20 lat później szwajcarski fizjolog Albert von Kölliker. Jednak to nie on jest autorem terminu. Wymyślił go Carl Brenda, łącząc łacińskie *mitos* (nici) oraz *chondros* (ziarna), co nawiązywało do ziarnistej budowy wydłużonych organelli.

Jeszcze zanim odkryto i opisano inne struktury komórkowe, zaczęto zastanawiać się nad ich pochodzeniem – a zatem nad historią powstania złożonych komórek. Już na początku XX w. pewni naukowcy uważali, że eukariotyczne (posiadające jądro) komórki powstały z połączenia prymitywnych organizmów jednokomórkowych. Pierwszym z nich był rosyjski botanik i lichenolog Konstantin Mereżkowski, który pracował na Uniwersytecie Kazańskim.

W 1905 r. opublikował pracę, w której przekonywał, że według takiego scenariusza powstało jądro komórkowe i chloroplasty. Swoją teorię nazwał symbiogenezą, czyli narodzinami życia. W komórkowej relacji dwóch prymitywnych istot widział podobną zależność do tej, jaką obserwował u porostów (grzybów zlichenizowanych) – organizmów złożonych z żyjących w symbiozie grzyba i glonu. W swojej kolekcji zgromadził ich setki okazów.

Mereżkowski znał też wcześniejsze prace, które sugerowały, że chloroplasty dzielą się podobnie jak bakterie. Wiedział, że proces ten zachodzi nawet, jeśli oddzieli się je od jądra. Jego intuicja dotycząca „zielonych ciałek" była dobra, ale po jego śmierci cała koncepcja symbiogenezy zniknęła w cieniu. On sam zresztą okrył się mroczną sławą – oskarżony o pedofilię (miał skrzywdzić ponad 20 dziewczynek), uciekł do Genewy. Stworzył naukową utopię, w której snuł niepokojące refleksję o „ziemskim raju", gdzie żyją obok siebie różne wyhodowane ludzkie kasty – m.in. taka, która zachowuje dziecięce cechy i jest utrzymywana przy życiu przez 35 lat. Sfrustrowany bankructwem i pogarszającym się zdrowiem, w 1921 r. popełnił samobójstwo.

Pomoc wzajemna

Zarysy teorii endosymbiozy pojawiały się także w pracach anatoma Ivana Emanuela Wallina, urodzonego w 1883 r. Swoje pomysły na temat mitochondriów testował w szopie za salami wykładowymi Szkoły Medycznej Uniwersytetu Colorado, w której był profesorem. Doszedł do wniosku, że cechy mitochondriów są zbieżne z niektórymi bakteriami – bo jedne i drugie barwiły się za pomocą tych samych technik laboratoryjnych. Miało to wskazywać na „podobny skład chemiczny". Bakteryjne pochodzenie Wallin dostrzegał także w chloroplastach. Według niego mogły być to żywe istoty, które w poszukiwaniu lepszych warunków wybrały taki rodzaj relacji ze swoim gospodarzem. Wallin porzucił jednak swoje eksperymenty po ostrej krytyce środowiska naukowego. Utrzymywał bowiem, że jest w stanie hodować wyizolowane mitochondria, choć te nie mogą funkcjonować w oddzieleniu od komórki – jego preparaty były zwyczajnie zanieczyszczone. W końcu skupił się na pracy dydaktycznej i biurowej.

Renesans teorii mówiącej o bakteryjnym pochodzeniu różnych elementów komórkowych przypada na rok 1967. Na łamach „Journal of Theoretical Biology" ukazała się wtedy praca „O pochodzeniu komórek mitozujących". Jej autorka – Lynn Margulis – pracowała na uniwersytecie bostońskim. Zderzyła się z potężnym oporem w środowisku. Zanim ta praca ukazała się drukiem, została przez recenzentów odrzucona kilkanaście razy.

Według Margulis ewolucja komórki eukariotycznej zaszła w procesie, który nazwała endosymbiozą seryjną – szeregiem następujących po sobie wchłonięć mikroorganizmów przez inny, większy organizm jednokomórkowy. Ten proces, jej zdaniem, miał się rozpocząć w odpowiedzi na zmieniający się skład atmosfery Ziemi. Mogło to być przeszło miliard lat temu, bo wówczas atmosfera była już bogata w tlen – gaz toksyczny dla organizmów beztlenowych (dziś wiemy, że tzw. katastrofa tlenowa, która unicestwiła większość bardzo prostego wówczas życia na Ziemi, miała miejsce ponad 2 mld lat temu).

Poddane silnej presji selekcyjnej beztlenowe mikroorganizmy musiały nauczyć się wykorzystywać toksyczny gaz – a sposobem na to mogłoby być wchłonięcie mniejszego organizmu tlenowego. Następnie miało powstać jądro komórkowe, a potem wchłonięta mogła być bakteria posiadająca wić. Np. krętek, którego współcześni przedstawiciele mają kształt korkociągów. Według Margulis pochłonięte i niestrawione krętki uprościły się i dały początek aparatowi ruchowemu komórek. Z kolei roślinne chloroplasty miały się wywodzić z pochłoniętych sinic – samożywnych mikroorganizmów zdolnych do przeprowadzania fotosyntezy.

Pokrętne krętki

Margulis czerpała inspirację nie tylko z prac Mereżkowskiego i Wallina, ale również Piotra Kropotkina – rosyjskiego przyrodnika i anarchisty, który dostrzegł w syberyjskiej faunie imperatyw „pomocy wzajemnej". Kropotkin uważał, że altruizm jest nawet potężniejszą siłą napędową ewolucji niż darwinowska „walka o byt". Margulis rozciągnęła ten sposób myślenia z organizmów na komórki i ich wnętrza.

Teoria endosymbiozy ma dziś rzeszę zwolenników, choć jej współczesna wersja różni się w szczegółach od scenariusza zaproponowanego przez Margulis. W jej sercu nadal znajduje się koncepcja mówiąca o tym, że większy mikroorganizm wchłonął mniejsze – i zamiast je strawić, ↦

SCHUELKE / B&EW

↦ nauczył się z nimi współpracować, a te w nowym, bezpiecznym i przyjaznym środowisku mogły uprościć swoją strukturę i zacząć się specjalizować w konkretnym zadaniu. Ale np. zasugerowana przez Margulis historia pochodzenia komórkowej wici nie została potwierdzona.

Nie znaleziono bowiem genów, które sugerowałyby, że wici mogą wywodzić się od organizmu prokariotycznego. Za przyjęciem tej części teorii Margulis mogą przemawiać jedynie rzadkie obserwacje współczesnych relacji między organizmami. Np. bakterie *Mixotricha paradoxa* zamieszkują jelito tylne pewnych australijskich termitów. W szczytowej części komórki tych bakterii znajduje się dołek z systemem kotwiczącym. Przyczepiają się do niego właśnie krętki, które czasowo tworzą aparat napędowy dla gościnnych komórek. Nie jest to jednak wystarczający dowód na endosymbiozę wici. Obecnie uważa się, że komórkowy aparat ruchu nie ma bakteryjnego pochodzenia, lecz wyewoluował z białkowego rusztowania, które musiało już funkcjonować w prakomórce eukariotycznej. Było ono wykorzystywane m.in. do podziałów komórkowych.

Spokrewnione geny

Za koncepcją endosymbiozy przemawiają przede wszystkim podobieństwa między mitochondriami i chloroplastami a jednokomórkowymi organizmami. Kluczową kwestią jest obecność u nich wszystkich kolistej cząsteczki DNA. Podobnie jak u bakterii, w organellach komórkowych nie jest ona oddzielona od otoczenia żadną błoną. Poza tym jedne i drugie nie mają histonów – białek stanowiących rusztowanie dla DNA. Zaś sam kwas nukleinowy, zawierający informację genetyczną, jest kopiowany w chloroplastach i mitochondriach niezależnie od materiału genetycznego w jądrze, co sugeruje, że kiedyś geny te faktycznie należały do innego, niezależnego jednokomórkowca. Podobieństwo między organellami a bakteriami dotyczy także maszynerii odpowiedzialnej za tworzenie białek. Struktury, w których zachodzi ostatni etap tworzenia białka zarówno w organellach, jak i bakteriach, składają się z takich samych elementów. W dodatku mitochondria i chloroplasty „rozmnażają się" przez podział – tak jak mikroorganizmy.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Lynn Margulis podczas sympozjum „150 lat Darwina". Madryt, 2010 r.

W literaturze naukowej pojawiały się głosy, że endosymbiozie zawdzięczamy także struktury zwane peroksysomami. Obecnie te niewielkie pęcherzyki odpowiedzialne są za ochronę komórki przed toksycznymi formami tlenu. Kiedyś miałyby być wolnożyjącym mikroorganizmem. Ale ich podobieństwa do bakterii nie sugeruje wygląd czy ich struktura. Podstawą do twierdzenia o ich bakteryjnym pochodzeniu był mechanizm transportu istotnego dla peroksysomów białka (katalazy), który przypomina rozwiązanie występujące u chloroplastów i mitochondriów. Przeciwko pochodzeniu peroksysomów od jakiegokolwiek organizmu świadczą jednak badania przeprowadzone w Centrum Medycznym w Nijmegen. W 2006 r. Toni Gabaldón i współpracownicy zrekonstruowali skład białkowy dawnych pęcherzyków i stwierdzili, że wywodzą się one raczej z siateczki śródplazmatycznej. Jest ona zestawem kanałów i cystern łączących się z otoczką jądra komórkowego. To sugeruje, że peroksysomy wyewoluowały z innych organelli komórkowych, a nie są reliktami dawnych bakterii.

Przyjaciele azotu

Najlepszy dowód na to, że proces endosymbiozy może zachodzić w przyrodzie, znaleźliśmy niedawno. W 2021 r. naukowcy z Instytutu Mikrobiologii Morskiej Maxa Plancka w Bremie, wraz ze współpracownikami z Centrum Genomu Maxa Plancka w Kolonii i Szwajcarskiego Instytutu Badań Wodnych zaobserwowali nieznany wcześniej mechanizm zasilania komórek. Badania prowadzili w beztlenowych warstwach leżących w głębinach jeziora Zug. Szukali mikroorganizmów, które biorą udział w przetwarzaniu metanu. Wśród różnych stworzeń wykryto protista (orzęska), a w jego wnętrzu – endosymbionta potrafiącego przetwarzać związki azotu i pozyskiwać z nich energię. Nowy organizm nazwano *Candidatus Azoamicus ciliaticola*. Dosłownie: „przyjaciel azotu, który zamieszkuje orzęski", co idealnie opisało preferencje mikroorganizmu oraz jego gospodarza.

Ta relacja okazała się zaskakująca. W środowiskach beztlenowych najczęstszym sposobem pozyskiwania energii jest fermentacja. To proces mniej wydajny niż oddychanie tlenowe, w dodatku przebiegający poza mitochondriami. Te zresztą często ulegają zanikowi u organizmów żyjących w beztlenowych warunkach.

Fermentujące komórki produkują mniej cząsteczek będących paliwem dla procesów życiowych. Dlatego nie mogą pozwolić sobie na szybki wzrost i podział komórki. Taki sposób życia jest typowy również dla orzęsków. Nie mogąc wykorzystywać mitochondriów w beztlenowym środowisku, orzęsek nauczył się jednak polegać na innym źródle energii. Potrzebne paliwo komórkowe pobiera od bakterii przetwarzającej azot, która rozgościła się w jego wnętrzu. Zaobserwowana przez badaczy relacja wyglądała tak, jakby była w pewnym stadium endosymbiozy. Bakteria ma już zredukowaną liczbę swoich genów i w zasadzie zastępuje mitochondria.

W przyszłości mogą nas czekać podobne niespodzianki. Autorzy odkrycia z dna jeziora Zug oszacowali, że symbioza orzęska z bakterią istnieje od ok. 200-300 mln lat. Samo zaś polodowcowe jezioro ma dopiero 10 tys. lat. Ta para symbiotycznych organizmów musiała tam więc skądś przywędrować. Skąd? Nie wiemy. Być może podobne relacje można spotkać w innych miejscach. A może istnieje tak wiele różnorodnych symbioz, że dzisiaj ich po prostu nie dostrzegamy? Być może, aby je znaleźć, trzeba będzie próbować wyjść poza utarte schematy myślenia. Tego samego wymagało przecież kiedyś wyjaśnienie, skąd się wzięły mitochondria i chloroplasty.

© MARIUSZ GOGÓL

ELIZA

Kącka:

Jestem twoja wieczorem

Uniwersytet Trzeciego Wieku, Marymoncka, biegnę, mamrocąc pod nosem, na wykład. Tym razem o Gałczyńskim. Mijam grupki, jak to się tutaj mówi, seniorów. Już budynek, słuchacze w auli i pod, ale że jeszcze chwilka, szukam toalety. W pełnym rynsztunku, a co tam. Toalety na dole, żywego ducha, tym lepiej. Niemniej trzeba się zamknąć. Gorzej z otwarciem. Zasuwa nie chce ruszyć. Siłuję się raz, drugi, trzeci, a w końcu wołam, bo ktoś myje ręce: „Przepraszam, jest tu kto? Zacięłam się". Ktoś nie reaguje na moje wołanie, a konkretniej – reaguje tak: „Alusia, Alusia, poczekaj na mnie, ktoś tu krzyczy". No znakomicie, siedzę w areszcie. Ale że zbliża się godzina prelekcji, to zaczynam się drzeć z lekka. Ktoś wchodzi do kabiny sąsiedniej, robi swoje, wychodzi. Pytam: „Słyszy mnie pani?". Od zlewu: „Nie, nie przypominam sobie". Ja: „Nie musi sobie pani przypominać, uwięziłam się, a za chwilę mam wykład". „Mnie to nie interesuje, mam rehabilitację zaraz". No świetnie. Wołam nadal, bo kwadrans nam został. Raptem męski głos. Krzyczę, że nie mogę otworzyć. „Dlaczego pani tu jest?". Hm, no żeńska toaleta, ale krzyczę, że wykład, że Gałczyński. Cisza. Za jakie dwie minuty już dwa męskie głosy. Pierwszy: „W toalecie jest jakiś Gałczyński". Drugi: „Ale to damska". Pierwszy: „No ale co, jak już tu siedzi. Trzeba wypuścić". Przyszli z narzędziem, wypuścili, zdążyłam. A mogłam tam siedzieć do dziś.

Instytut Onkologii, korytarz. Siedzę, czekam. Podchodzi gość w moim wieku, z bukietem. Róże, irysy, duża wiązka. „Mogę pani to dać?". „Jasne, popilnuję, ale wchodzę zaraz tu obok...". „Nie, to dla pani". „?". „Pani chyba nowa, tu wszystko jest przechodnie. Mama lubiła fioletowy i róż". Co powiedzieć. „Przykro mi". „Nie marnujmy kwiatów, nie trzeba".

Autobus 131, dziadek z wnuczkiem – sześcioletnim, na oko. Wnuczek: „Dziadek, a czego się boisz?". Dziadek na animuszu: „Ja się niczego nie boję!". „Musisz się czegoś bać". „Bo?". „Bo taką mam grę". „Jaką grę?!". „Ja pytam, a ludzie odpowiadają". „To rozmowa". „Nie, bo w rozmowie możesz przestać, a tu nie". „Cwaniak". „Czego się boiiisz?". Dziadek zaczepnie: „No jak, babci". Wnuk poważnie: „Nie". „O?". „Żartujesz, bo się śmiejesz. A ja pytam naprawdę". Dziadek milczy przez chwilę: „To powiedz, czego ty się boisz". Mały: „Tracisz punkt, ale powiem: boję się, że szybko umrzesz". Dziadek: „Lepiej nie żyć za długo, wiesz, wszyscy się męczą". „Ty możesz jeszcze trochę". „Dziękuję. Pani spytaj, czego się boi" – wskazał na mnie. Wnuk podbił. „Boję się odpowiadać, a poza tym życia" – uśmiecham się. Mały z urzędniczą powagą: „A śmierci nie?". „Nie". Dziadek puścił do mnie oko: „Silny obóz". Wnuk ponawia: „Dziadek, musisz powiedzieć, czego się boisz!". „No dobrze. Boję się, że świat się psuje. I zamkniętych drzwi". Mały: „Drzwi do czego?". „Spryciarz! Do życia".

Biblioteka Narodowa, dwa stoliki za mną. Dziewczyna po dwudziestce ze słuchawkami w uszach: „Ciszej mów, w bibliotece jestem". Fakt, pogłos z komputera taki, że niemal transmitują. „Musiałam tu przyjść, rozumiesz?". Szmer słuchawkowy. „Wynagrodzę ci tę bibliotekę". Szmer koncyliacyjny. „Słuchaj, jakby było w internecie, tobym tu nie jechała. Ogólnie tu nikt normalny nie jedzie tak sobie". Szmer rozumiejący. „Będę, słuchaj, kończyć, bo się na mnie patrzą". Szmer zintensyfikowany. „Nikt mnie nie rwie, no co ty, nie kłamię, jestem w bibliotece". Szmer nie odpuszcza. „Bosz, tu nie ma mężczyzn". Gość myszkujący po półkach podręcznych spojrzał na mnie i na gadającą z niesmakiem. Ona w słuchawki: „Jak mi nie wierzysz, to wyślę zaraz fotografię babki, co siedzi przede mną, OK?". Myślę, czy się obrócić i wyszczerzyć. Wykonałam. Szmer napiera, a ta na przerażeniu: „Bosz, ona widziała, że ją robię. Może zaraz ochrona przyjść. Słuchaj, muszę już kończyć. Serio, tu jest tylko paru starych zboków w garniturach". Szmer komentuje. „No bo oni wolą książki od wiesz czego". Szmer ukontentowany. „Jestem twoja wieczorem, baj".

Metro, dwójka kiele siedemdziesiątki ze zwiniętym transparentem, zagadują do znajomej w tym samym wieku: „Jedzie Jola z nami na protest?". Jola: „A gdzie tym razem?". On: „No przecie pod Madonnę". Jola: „Tę jadłodajnię?". Ona: „A jak. Krzyżem tam leżą!". Jola: „W taką pogodę? Kurtka do wyrzucenia". On: „Chyba mają podpórki. Jasia wzięła dwie duże miski". „???". „Obróci dnem i kwadrans krzyża wytrzymie". Jola: „No, nie wiem, ja niepraktykująca". Ona: „Ale naszą partię wyznaje". Jola: „A pewno!". On: „No to wierząca".

Dzwoni staruszka od ciśnienia: „Pani Elizo, nie widuję pani". „Ale przecież ja do pani nie wpadam". „Co nie jest pani zasługą. Ale nie widuję pani z okna i nie widuję pani w snach". „Oho, to ja śmigam w pani snach?!". „Owszem. Jako osoba śniąca powinna pani wiedzieć, że ludzie dla nas sugestywni wracają w snach". „Nono". „Jeden z moich absztyfikantów miał teorię, że są różne poziomy energetyczne obecności ludzi w naszym życiu. Złe i dobre. I te nadwyżki przechodzą w sen". „Ładne". „No, więc gdzie się pani podziała?" „Pewnie wyczerpałam nadwyżkę". „Nie, to niemożliwe. Proszę wrócić na trasę, bo nie będę miała pewności". „Że?". „Jakie »że«? Tu nie ma »że«. Bo nie będę miała pewności". ©

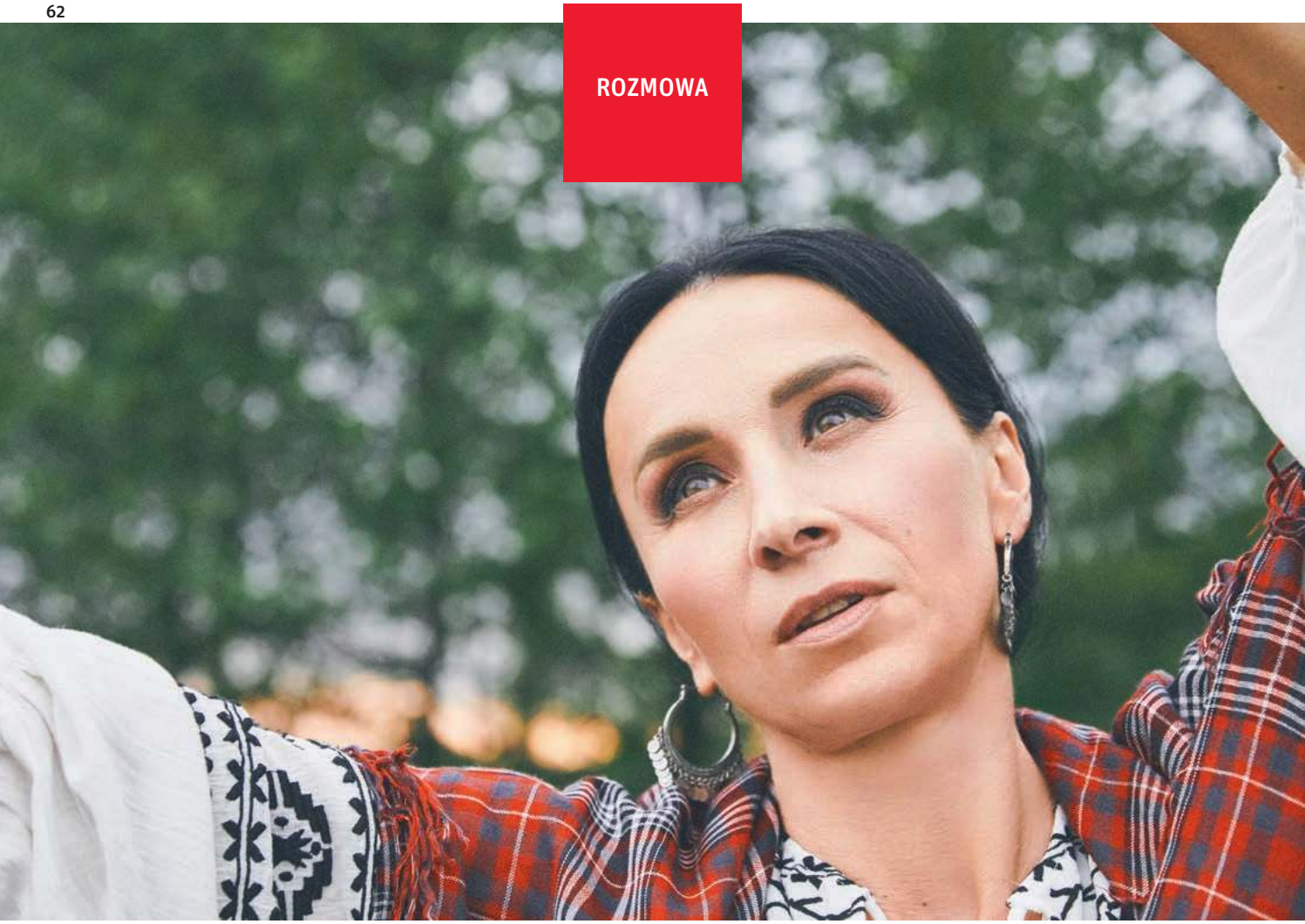

Renata Przemyk

ZRÓB, MATKA, Z TEGO PIOSENKĘ

RENATA PRZEMYK, PIOSENKARKA:

Jestem odwrotnością kwoki. Wypycham córkę na zewnątrz. Przerobiłam swoje w rodzinie jak z „Chłopek".

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Skąd wzięła się Vera?

RENATA PRZEMYK: Z filmu, którego tytułu nie pamiętam. Ale pamiętam, że kilka lat temu oglądałyśmy go z córką. I podobała nam się postać Very, mądrej łobuziary. Klara zaczęła sobie nucić: „Vera to ja, Vera to ja...". Mówi: „Zrób, matka, z tego piosenkę". Pomyślałam, że to dobry pomysł, i zdanie w zeszycie zapisałam. Potem przyszła pandemia, wróciłam do lektury „Biegnącej z wilkami" i w głowie zaczęła mi się układać cała historia. W dwa tygodnie napisałam trzynaście tekstów na kanwie piosenki ludowej, w których centrum jest cykl kobiecego życia: poczęcie, dzieciństwo, macierzyństwo, związek, starzenie się, śmierć. Ta kobieta żyje w zgodzie z naturą – wpływami księżyca, wschodami i zachodami słońca, porami roku. Chciałam, by wsparły mnie głosem świetne wokalistki z Dagadany – Daga Gregorowicz i Dana Vynnytska, kobiety mądre i silne,

prawdziwe Very. „To ja Vera" powstała bez presji – nie miałam dedlajnu i nie stał nade mną producent z batem. Zresztą, ta płyta nie mogłaby powstać inaczej. I pewnie nie mogłaby powstać wcześniej.

Dlaczego?

Musiałam doświadczyć siebie, zgromadzić doświadczenie. Jako kobieta późno zaczęłam dojrzewać: matką zostałam w wieku 36 lat, a po raz pierwszy zakochałam się, jak miałam lat 43. W obu przypadkach byłam zdumiona, że można doświadczać tak głębokich uczuć. Szczególnie macierzyństwo pod tym względem jest bezkompromisowe. Właściwie to był szok.

A „mądra łobuziara" to właściwie kto?

Kobieta żyjąca na własnych warunkach. Zupełnie inaczej niż kobiety w mojej rodzinie.

Czyli?

Z domu rodzinnego w Bielsku-Białej zapamiętałam nierówności. Mam dwóch braci, a to ja – dziewczyna, do tego najdrobniejsza – byłam delegowana do prac domowych: obierania, zmywania, ścierania, zamiatania. Starszy brat raz w roku przed świętami trzepał dywan na trzepaku, i tyle. Uwierało mnie to od samego początku, choć nie umiałam jeszcze tego nazwać. Taki ład wprowadzała babka Małgorzata, która z nami mieszkała. Identycznie wychowywana była moja mama. Wiecznie w ruchu, w pośpiechu, coś przynosząca, gdzieś idąca; nigdy jej nie widziałam siedzącej na krześle.

Mama pracowała w zakładach włókienniczych, w sklepiku przyzakładowym kupowała resztki tkanin i szyła po nocach ubrania dla nas i dla siebie. Ładne rzeczy robiła. Dbała o nas, jak mogła, choć widać było, że czasem brakuje jej sił. To był PRL, czyli wieczny niedostatek, każdą rzecz trzeba było załatwiać. Co wiązało się ze zmartwieniem, wysiłkiem i kolejkami.

Atmosfera w domu?

Chłodna. Dom bez dotyku, bliskości, rozmów przy stole. Ale w takich samych domach wychowali się moi rodzice – ten, który stworzyli, był kalką tych, z których wyszli. Mama zakochała się w moim tacie po uszy: gdy miała 21 lat, była już żoną. A chwilę wcześniej ścięła piękny, gruby warkocz, by ułożyć sobie na głowie modną wtedy simonę.

Z ojcem różnie jej się układało. Typowy facet tamtych czasów: więcej czasu spędzał poza domem. Ekstrawertyczny, głośny, zabawowy. Mama powiedziała mi kiedyś, że dwa lata przepłakała. I w pewnym momencie przestała; uznała, że trzeba przetrwać. Ratowała ją wiara: trzeba nieść swój krzyż i tym podobne. To wszystko przekładało się na wychowanie. Całą młodość słyszałam, że nagroda za bycie dobrym nie zawsze jest już na ziemi, czasem dopiero w niebie. I że łatwiej się żyje, jak się człowiek dostosuje.

Do sytuacji?

Do zastanego porządku.

Na to wszystko nakładała się wstydliwość. Nie pamiętam żadnej rozmowy z mamą o fizjologii, o kobiecości. Jako trzynastolatka dostałam miesiączkę i nie wiedziałam na ten temat nic a nic. Kiedy zobaczyłam krew, myślałam, że umieram. Niesamowite jest to, że mieszkaliśmy w maleńkim mieszkanku, a wata i podpaski były tak świetnie pochowane, że nigdy ich nie zauważyłam. Nie widziałam też mamy nagiej. Kiedyś przyszła do nas młodsza siostra mamy, której udało się zdobyć stanik. I one we dwie, przede mną nastolatką, zamknęły się w łazience, gdzie ten stanik mierzyły.

Ponad dbanie o ciało mama stawiała wartości przypisane porządnej osobie: uczciwość i pracowitość. W domu nigdy nie usłyszałam, że jestem ładna, zgrabna. W ogóle, że jestem w czymś dobra. Przynosiłam świadectwa z czerwonym paskiem, a mama tylko wzruszała ramionami. O czym tu mówić? Renia, no to piątki. Tak miało być.

A inne kobiety w rodzinie?

Babka Małgorzata, mama taty. Spójrz na to zdjęcie nad stołem: babcia jeszcze malutka, obok siedzi jej mama, siostra i na kolanach braciszek. A tu wisi zdjęcie dziadka. Powiesiłam ku przestrodze.

Przestrodze?

Babka Małgorzata była prostą kobietą, nie o wszystkim umiała opowiedzieć. Ale ja miałam kiedyś czas pytań, chciałam wiedzieć, więc drążyłam. To zdjęcie z malutką babcią jest zrobione krótki czas przed śmiercią jej mamy. Gdy dziadek owdowiał, szybko się ożenił z nową kobietą, która mu urodziła kolejne dzieci. A tę trójkę z pierwszego małżeństwa oddał na służbę. Za parobków, do obcych ludzi. Babka Małgorzata, jak tylko odrosła od ziemi – to jej słowa – wypasała gęsi. Pewnie miała 3-4 lata, nie więcej. Jak miała 10 lat, poszła w odwiedziny do ojca mieszkającego w tej samej wsi. A on do niej od progu: „Po coś przyszła? Idź mi stąd".

Jak o tym opowiadała?

Zwyczajnie, nie roniąc jednej łzy. Do tego stopnia miała wytłumione emocje. Nie było w niej przestrzeni na użalanie się, musiała być twarda.

Opowieści babki Małgorzaty są jak wyimki „Chłopów" Reymonta i „Chłopek" Kuciel-Frydryszak. Raz do roku dostawała psi grosz, by sobie kupiła coś do ubrania. W izbie stała skrzynia, do której chowała swoje rzeczy, w tym strój paradny, na specjalne okazje. Którejś niedzieli poszła do kościoła i w tym czasie cały jej majątek, gromadzony latami, ktoś jej ukradł z tej skrzyni. Gdy miała 17 lat – zgwałcił ją gospodarz, u którego pracowała. Nawet nie miała się komu poskarżyć. Żadnych praw, ludzie byli traktowani jak zwierzęta. Różnica była taka, że oni nie kończyli w ubojni.

Potem babcia miała narzeczonego, zaszła w ciążę. Przyszła wojna, narzeczony poszedł do wojska, ślad po nim zaginął. A babcia urodziła mojego ojca, pięknego syna. Służąca z nieślubnym dzieckiem na wsi oznacza bycie w jeszcze gorszej sytuacji niż służąca bez dziecka. Kiedy miałam 20 lat, przyjechałam ze studiów do domu na weekend, a babka Małgorzata woła mnie i mówi ściszonym głosem: „Renia, powiem ci coś ważnego, wiesz, dziewczyna to ma taki swój okres". Ja: „Wiem, babciu". Ona: „Ty uważaj se na chłopów". Ja: „Dobrze, babciu".

Po ojcu swego jedynego syna babcia nie szukała miłości już nigdy więcej. Po przeprowadzce do Bielska miała kandydatów, ale to tato został mężczyzną jej życia – tym, który sprawił, że nie była sama.

Dość typowe dla kobiet z takim doświadczeniem.

Ciotka Helena wyszła za mąż za zakochanego w niej zabijakę, który już na weselu gonił ją z nożem, bo, jak śpiewało 2 plus 1: „Dziewczyna przez życie nie może iść całkiem sama"... Ale to były ↦

ANNA POWIERŻA / MATERIAŁ PRASOWY

↦ czasy, kiedy lepiej było pójść za łobuza, niż zostać starą panną. Moja mama też marzyła o tym, że jej jedyna córka będzie szczęśliwsza. Wiele lat zbierała dla mnie wiano: komplet pościeli i chińskie ręczniki, zdobywane po jednym. Dała mi to do pierwszego wynajętego mieszkania po studiach. I maszynę do szycia mi kupiła, łucznika w walizce, bo jak umiem szyć, to sobie w życiu poradzę.

Szczerze mówiąc, nie widziałam w okolicy szczęśliwych kobiet. Także wśród rodzin na naszym osiedlu, w dużej mierze zamieszkanym przez przesiedleńców ze wsi zalanych pod budowę zapory. Odstawałam od tego świata, byłam powodem do zmartwień. Wymyślałam jakieś domy kultury, śpiewanie, tańczenie, karate. Uspokoiło ich trochę liceum ekonomiczne i w perspektywie „czysta praca" w biurze, która była nobilitacją.

Ty nie chciałaś „czystej pracy?"

Czułam, że pójście tą drogą będzie mnie powoli zabijać, że ugrzęznę w schemacie, jak tyle kobiet wokół. Jako jedyna dziewczynka w rodzinie słyszałam non stop: bądź mądrzejsza, ustąp. Dobre i złe w jednym. Ustąp, czyli zrezygnuj, ale dlatego, że jesteś mądra. Nagroda przyjdzie po śmierci. Doszłam do wniosku, że nie chcę aż tyle czekać.

W mojej rodzinie kobiety, mówię też o sobie, pozbawione były wdzięku. Nadmierna surowość wobec siebie i odcięcie się od cielesności rzutują na sposób zachowania. Atrakcyjność nie daje rady przebić się przez wewnętrzne mury. Poczucie własnej wartości sprawia, że człowiek emanuje specjalną energią. Na kilku zdjęciach z wczesnej młodości mamy i z samego początku małżeństwa uśmiecha się radośnie śliczna dziewczyna. Później mama była po prostu mamą. Próbowałam z nią o tym kilka razy porozmawiać.

Udało się?

I tak, i nie. Ja nigdy nie chciałam sprawić jej przykrości. Mama od ponad 20 lat cierpi na parkinsona. Robiliśmy wszystko, co było możliwe, by zahamować rozwój choroby, ma dobrą opiekę. Ona, zawsze samodzielna i w ruchu, teraz zdana na innych i unieruchomiona. Szczęście w nieszczęściu, że nas już nie poznaje. I w tym jej świecie, mam nadzieję, jest jej lepiej. Uśmiecha się, wymawia imiona, których w rodzinie nikt nie nosi. Swoją drogą to w chorobie zobaczyłam mamę po raz pierwszy nagą. Przy myciu. Kiedy jeszcze był z nią kontakt, powtarzała: „Do dupy z takim życiem". Myślę, że w głębi duszy też nie chciała czekać na nagrodę aż w niebie.

A te rozmowy?

Podejmowałam próby, kiedy sama byłam młodą matką. Tłumaczyłam mamie spokojnie, że nie byłam szczęśliwa w domu, że Klarę przytulam często i mówię, że ją kocham. Że dziecko potrzebuje bliskości. Mama w odpowiedzi patrzyła na mnie długo, jej oczy zrobiły się szkliste. Powiedziała: „Ale ja starałam się być dobrą mamą". To ucięło dalsze wywody. Uświadomiłam sobie, że ona robiła wszystko, co mogła, najlepiej jak umiała.

A rozmowa z tatą?

Długo myślałam, że wygarnę mu kiedyś to, co mi się nie podobało, że nasze zdanie, jako dzieci, było nieważne. Że respekt był ważniejszy niż szacunek. Tyle że on okazał się być świetnym dziadkiem, wykorzystał swoją drugą szansę. Myślałam: jeszcze nie teraz, za wcześnie na rozmowę, kiedyś przyjdzie właściwy moment. A w 2005 r. ojciec wziął i mi umarł. Po jego śmierci rok byłam kompletnie rozbita. Trochę czasu musiało upłynąć, bym dojrzała do tego, że muszę to załatwić inaczej. Nie z nim, tylko ze sobą. I poczułam, że ta część procesu wybaczenia jest najistotniejsza: najpierw trzeba wybaczyć sobie. Inaczej nic z tego nie będzie. Chciałam zrozumieć, dlaczego jestem tak rozedrgana emocjonalnie, dręczy mnie chronicznie poczucie niezrozumienia, ścigam się z własnymi ambicjami, muszę być najlepsza.

Zrozumiałaś?

Zanim to nastąpiło, miałam kilka nieudanych związków. Cały czas szłam na kompromis. Kosztem siebie. Bardzo kochałam, starałam się bardzo. To też nauka, która płynęła od mojej mamy. Najgorszy miałam związek z samą sobą. Moje porządki w życiu emocjonalnym zaczęłam od tego, że nauczyłam się być sama. Doszłam do momentu, w którym uznałam, że koniec kompromisów, bo przez tyle lat starań pozacierały mi się granice między tym, kim jestem, a tym, kim ktoś inny chciałby, bym była. Zaczęłam okazywać sobie czułość, pojawił się spokój, kolory, jasność. Nerwowe odruchy zdarzały się coraz rzadziej, pięści rozluźniały się powoli. Przyszła też dobra miłość.

A Twoja córka?

W sumie to dla niej ta cała płyta. Żeby poczuła, jaka siła może płynąć z kobiecości. Z Klarą jesteśmy blisko, nie mamy tematów tabu. I od samego początku byłam zdeterminowana, by z nią rozmawiać na każdy temat. Jedynie język dopasowywałam do wieku Klary. Latami żyłyśmy tylko we dwie, więc byłyśmy nierozłączne. Zabierałam ją ze sobą wszędzie, nawet zapiętą w foteliku, jak szłam pod prysznic. Nie było problemu z nagością, akceptacją ciała, a co za tym idzie płci i seksualności. Ja w jej wieku – dziś Klara ma 21 lat – byłam drżącym niepewnym dzieciakiem, które za normę brało piątki, a za porażkę wszystko poniżej „najlepiej". Do tego byłam chuda, nieładna, niewiele wiedząca i ogólnie nie do pokochania.

Zdumiewające. Pamiętam Twój występ w 1989 r. na Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie, na scenie byłaś pewna siebie, miałaś żółtą sukienkę w czarne grochy i potężnym głosem zaśpiewałaś „Protest dance".

Bardzo chciałam taka być. Tę sukienkę uszyłam sama. Grochy zrobiłam w ten sposób, że odrysowywałam od ówczesnej dwudziestozłotówki kółka i pędzelkiem wypełniałam ich wnętrza czarną farbą do tkanin. Chciałam być zauważona, a jednocześnie uciekałam cały czas z pola widzenia. Byłam strasznie nieśmiała, a jednocześnie marzyłam, by mój głos ktoś usłyszał. Na scenę ciągnęło mnie jak ćmę do światła. Bałam się tłumu, więc poczucie kontroli mogłam mieć, widząc go tylko z przodu przed sobą. Potem długo występowałam w czarnych sukienkach szytych własnoręcznie. Ta czerń dawała mi komfort zlewania się z kotarami, ale fason musiał być sexy, bym poczuła się w roli silnej kobiety. Postanowiłam stworzyć taką postać, jaką chcę być. Do tego glany na szeroko rozstawionych nogach, bo jest stabilnie i nie widać trzęsących się kolan. Dobrze się czułam w tej roli i jeszcze bardziej ciągnęło mnie na scenę, żeby ciągle się tak czuć. Po koncercie znikałam.

To był przełom lat 80. i 90. Jeszcze dorabiałam szyciem. Jedna koleżanka

zapłaciła mi w dolarach. Dwóch. Jeszcze kilka takich zleceń i poszłam do peweksu. Kupiłam sobie pierwsze w życiu perfumy: Le Jardin d'Amour. Używałam ich rzadko, oszczędzałam. Jakież było moje rozczarowanie, kiedy po kilku latach zmieniły zapach. Nie sądziłam, że perfumy mogą się zleżeć.

To była lekcja?

Wyciągnęłam z niej taki wniosek, że nie mogę trzymać czegoś na specjalną okazję, bo przegapię ważne momenty. Tego rodzaju lekcji odrabiałam więcej. Na trzecim roku studiów udało mi się wywalczyć w akademiku pokój jednoosobowy. Raj: mam „własny pokój"! Przez pierwszy miesiąc byłam zaaferowana urządzaniem: tu zasłonki, tam kapa, kwiatek na stole, plakat na ścianie. Kiedy zrobiłam już wszystko, co mogłam, usiadłam na brzegu łóżka i rozpłakałam się. Okazało się, że ktoś żyjący w ciasnocie z innymi całe życie nie umie się cieszyć przestrzenią. To ponoć syndrom więźniów z długimi wyrokami. Jeszcze sporo czasu upłynęło, zanim nauczyłam się nią cieszyć. Wielu innych rzeczy też musiałam się nauczyć.

Jakich?

Odebrałam surowe, niemal protestanckie wychowanie: prawdomówność, słowność, solidność. Słyszałam: „Ty to potrafisz dowalić". A ja po prostu uczciwie mówiłam prawdę, gdy ktoś mnie pytał. Nawet przyjaciółka w gorszy dzień. Robiłam to bez wdzięku. W ten sposób pojmowałam uczciwość. To raz. A dwa: brak wiary w siebie. Skończyłam bohemistykę, obroniłam magisterkę, jeden wygrany festiwal, drugi, kolejne nagrody... A ja myślałam: „Niemożliwe, że to na stałe, to w każdej chwili może się skończyć, dziś koncert się udał, ale jutro może być do kitu".

Jeśli wiara przenosi góry, to moje nie miały prawa drgnąć.

„Ya Honza" – Twój debiut – to był sukces.

Po wydaniu tej płyty mieszkałam jeszcze w akademiku. Nie miałam telewizora, nie było internetu, a jedyny telefon znajdował się w korytarzu. Informacje docierały z ogromnym opóźnieniem. W każdym razie nie miałam świadomości, że „Ya Honza" stała się popularna.

Opowiadasz o tym córce?

RENATA PRZEMYK (ur. 1966) jest piosenkarką, kompozytorką i autorką tekstów. Wydała 16 płyt, w tym 11 solowych. Za płytę „Andergrant" otrzymała Nagrodę Fryderyka w kategorii Album Roku (1996). W 2009 r. nagrodzona za całokształt pracy artystycznej przez London Music Academy. Wkrótce ukaże się jej nowa płyta „Vera to ja".

Na zdjęciu: Renata Przemyk i zespół Dagadana.

ANNA POWIERŻA / MATERIAŁ PRASOWY

Przede wszystkim chciałam w córce zaszczepić śmiałość do życia. By miała otwartą głowę, chciała nawiązywać kontakt z ludźmi, wiedziała, jak z nimi rozmawiać. By była silna poczuciem bycia kochaną. Jestem matką wypychającą na zewnątrz. Odwrotnością kwoki. Zachęcającą: „idź, zrób, dasz radę, zaryzykuj, nie bój się. Ja będę obok". Chciałam też być dla niej przykładem.

A konkretnie?

Uprawiamy z moim partnerem różne sporty, zwłaszcza odkąd mam endoprotezę zamiast zniszczonego biodra. Dużo czytam, chodzę po górach. Chyba dobry przykład dla córki?

Piosenki o śmierci też dla córki?

Ze śmiercią trzeba liczyć się od dziecka. Ja nie boję się śmierci. Boję się umierania, cierpienia, niemocy. Wspomniana babka Małgorzata przez ostatnie 20 lat życia w szafie trzymała wieszak z czarnym ubraniem przygotowanym do trumny. Raz na jakiś czas przypominała: „W tym chcę być pochowana". Umarła w wieku 85 lat. Miała też odłożone pieniądze na pogrzeb. Mówiła: „Żebyście nie mieli ze mną kłopotu".

Nikt z tym nie dyskutował. Babka z uznaniem opowiadała o sąsiedzie, który przeczuwając, że zbliża się jego ostatni dzień, umył się, ubrał, położył i umarł. I jeszcze się wyspowiadać trzeba zdążyć. Ile by się nie nagrzeszyło.

I z córką swobodnie rozmawiacie o śmierci?

Całkiem niedawno jechałyśmy odwiedzić moją mamę i w samochodzie mówię: „Klara, jakbym do tego stopnia zachorowała, że leżę, nie wiem jak się nazywam i trzeba mnie obsługiwać, to ja już teraz deklaruję, że chcę być poddana eutanazji". A Klara na to: „OK". Ja: „Jak to OK? Przynajmniej ze mną podyskutuj, potarguj się". Klara: „No, ale przecież tego chcesz!". Ja: „Nie za szybko się zgodziłaś?".

Triumfująca młodość?

A co robi matka dla córki na jej osiemnastkę? Funduje jej prawo jazdy. Mówię: „Córcia, poczuj ten wiatr we włosach". Nie chcę, żeby Klara musiała czekać na swoją nagrodę w niebie. Chcę, żeby czuła się szczęśliwa tu i teraz. Żeby umiała kochać siebie i innych. Jeśli kocham siebie, to automatycznie dobrze czuję się z samą sobą. I wiem, że mogę liczyć na tę osobę, która mnie kocha. To pierwotna immunologia. W medycynie wschodu istnieje teoria, że znakomitą metodą leczenia jest podanie środków, które wzmacniają organizm w taki sposób, by on sam znalazł w sobie miejsca zapalne i je uleczył. Tak też działa miłość.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

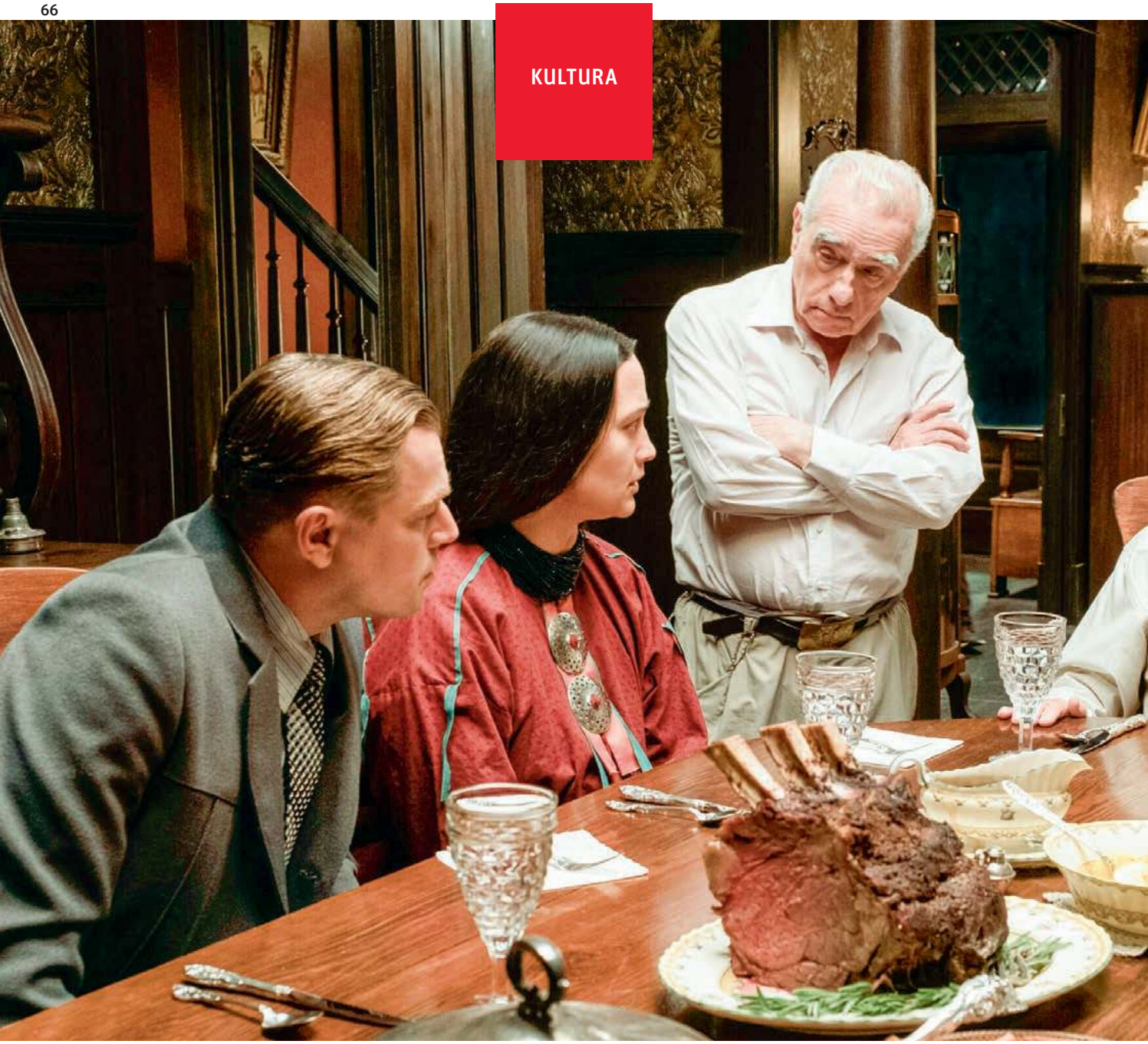

„Czas krwawego księżyca" zebrał 10 nominacji do Oscara. Na zdjęciu nominowani: Lily Gladstone – najlepsza aktorka pierwszoplanowa, Martin Scorsese – najlepszy reżyser oraz Robert de Niro – najlepsza rola drugoplanowa. Leonardo di Caprio bez nominacji.

RÓWNOŚĆ POCHYŁA

Nie dajmy się nabrać, Oscary są tylko fasadą biznesu filmowego w Hollywood. Ich znaczenie jest czysto symboliczne, więc z definicji nie mogą być kołem zamachowym jakiejkolwiek społecznej zmiany.

MICHAŁ WALKIEWICZ

MATERIAŁY PRASOWE APPLE TV+

Zagram to tak, jakbym liczył na Oscara (właśnie ogłoszono nominacje, wręczenie odbędzie się 11 marca). Zmarszczę brwi, położę dłoń na czole i otworzę usta ze zdziwienia. Po raz dziewięćdziesiąty szósty zanosi się na to, że nagrody Amerykańskiej Akademii Filmowej – wbrew, jak sądzę, misyjnej naturze nagrody oraz estetycznej subtelności ceremonii – nie będą zapalnikiem równościowej rewolucji. Pieśń o tym, że powinny być, niesie się echem po mediach, jej refrenem jest lament nad pomijanymi mniejszościami.

Ilekroć słyszę tę melodię, przypominają mi się słowa Freda Allena – komika, któremu wierzę, bo ma nie jedną, ale dwie gwiazdy na bulwarze w Alei Sław: „Możesz zebrać całą szczerość w Hollywood, włożyć ją w pępek muszki owocówki i wciąż będzie miejsce na kilka ziaren kminku oraz serce producenta filmowego".

Sprawiedliwość dla Taylor Swift

W idealnym świecie Oscary miałyby przede wszystkim wartość edukacyjną. Spełniałyby funkcję, którą realizują dziś rozproszone po świecie festiwale filmowe. Rzucałyby światło na trendy w międzynarodowym kinie, redefiniowały anachroniczne podziały na sztukę wysoką i niską, godziły intymne z politycznym. W świecie za oknem są co najwyżej metaforą współczesnej wrażliwości kształtowanej przez dwie sprzeczne narracje. Jedna głosi, że popkultura bez systemowej inkluzywności jest toksyczna. Druga mówi, że przez kryterium parytetów sztuka cierpi. Obydwie nie przystają do rzeczywistości o tyle, że w praktyce przekładają się na koniunkturalizm. Oscary są tego jaskrawym przykładem – gdy tylko odwraca się wiatr, zaraz zwiewa i listek figowy, i makijaż z brokatu.

Na wprowadzone od ubiegłego roku i wchodzące teraz w życie zasady dywersyfikacji nie da się spojrzeć przez inny pryzmat. Do tej pory proces selekcji oscarowej w kategorii najlepszego filmu był jednoetapowy. Zgłoszony utwór miał trwać ponad 40 minut, a komercyjne amerykańskie kino musiało wyświetlać go nieprzerwanie przez tydzień. Teraz zasady selekcji rozszerzono o kolejny etap i rozmaite stopnie inkluzywności. Kryteria są jasne. Dzielą się na cztery standardy i w każdym z nich „mniejszość" definiowana jest tak samo: to kobiety, mniejszości rasowe, społeczność LGBTQ+, osoby niepełnosprawne fizycznie bądź intelektualnie lub niedosłyszące.

Pierwszy standard dotyczy samej reprezentacji: jeśli główny wątek fabularny filmu nie jest związany z problemami którejś z wymienionych grup, przynajmniej jeden z odtwórców głównych lub istotnych drugoplanowych ról powinien do niej należeć (ewentualnie: powinna ona stanowić 30 procent całej obsady).

Drugi standard, dotyczący ekip filmowych, mówi o procentowym udziale mniejszości w pionach realizacyjnych: od reżyserii i produkcji po makijaż i fryzury.

Trzeci – standard branżowy – obejmuje stałe programy stażowe, szkolenia oraz kursy rozwoju zawodowego w firmach producenckich i dystrybucyjnych dla wspomnianych mniejszości.

Czwarty – standard komunikacji z widzem – dotyczy procentowego udziału mniejszości w zarządzaniu działami reklamy, dystrybucji i PR-u.

Na papierze wszystko brzmi fantastycznie – w końcu jak inaczej zmienić stosunek sił w Fabryce Snów, niż zmuszając wytwórnie do przyjrzenia się własnym strategiom kadrowym. W praktyce jednak starcza tych obostrzeń jedynie na symboliczną zmianę. Aby ubiegać się o nominację, film musi bowiem spełnić zaledwie dwa standardy z czterech. Żeby zaś spełnić jeden standard, powinien odhaczyć tylko jeden z kilku podpunktów (wyjątkiem jest ten dotyczący szkoleń, który musi być spełniony w całości). Mówimy zatem o przeszkodzie, którą dział HR w dużym hollywoodzkim studiu usunie w trakcie przerwy śniadaniowej.

W tym roku w drugim etapie odrzucono 56 filmów. Są to oczywiście produkcje, które powyższych standardów nie spełniły. Po pierwsze jednak, wciąż mogły rywalizować w pozostałych 23 kategoriach. A po drugie – o ich porażce w trakcie selekcji i tak zdecydowałyby względy artystyczne. No chyba że 10,5 tysiąca osób postradałoby zmysły i wystawiły do pojedynku z „Oppenheimerem" „Ant-Mana i Osę: Kwantomanię" albo „The Eras Tour", czyli relację z trasy koncertowej Taylor Swift. W najlepszym wypadku mamy więc do czynienia z wyważaniem otwartych drzwi.

Z moich obliczeń wynika, że jesteś biały

Jeśli historia Oscarów nadawałaby się na wielką filmową epikę, opowieść o wykluczonych z imprezy, byłby to regularnie kasowany i wznawiany serial. Jego odcinków było tak mało, że niemal wszystkie znamy na pamięć. Ten o Hattie McDaniel z „Przeminęło z wiatrem", która jako pierwsza czarna osoba w historii zgarnęła rycerza Akademii. Ten o Sacheen Littlefeather, aktorce z plemienia Apaczów, która przemawiała w imieniu ↦

↦ protestującego Marlona Brando. A także ten o „Czarnej panterze" nominowanej do Oscara w ramach zadośćuczynienia za lata nieobecności czarnej społeczności w białej popkulturze i ten o Kathryn Bigelow – pierwszej kobiecie w historii nagrody, która została najlepszą reżyserką (i to dopiero w 2009 r.).

Wiele mówiącym leitmotivem ceremonii wręczania Oscarów jest również nagradzanie mniejszości za role utożsamiane z kulturowymi stereotypami. Czarni aktorzy dostają Oscary za role niewolników, Azjaci wygrywają za partie imigrantów śniących amerykański sen (lub koszmar), a reprezentanci środowisk LGBTQ+ – za rozmaite kroniki zrywów równościowych. Nawet tegoroczny sukces „Barbie" zostawia dziwny posmak. America Ferrera zdobyła nominację za efektowny monolog o nakładanej na kobiety społecznej presji. Sam zaś film – nominację w najważniejszej kategorii za produkcję „targetowaną" na kobiety, która przekroczyła w box offisie granicę miliarda dolarów.

Liczby nie kłamią. Z przeprowadzonej przez niezależny *think-thank* Annenberg Inclusion Initiative dla Los Angeles Times analizy wynika, że na przestrzeni 95 lat istnienia Oscarów tylko 6 proc. nominowanych było czarnych, a zaledwie 17 proc. stanowiły kobiety. Latynosi to 1,7 proc. (reżyserski supertercet Alejandra Iñárritu, Alfonsa Cuaróna i Guillerma del Toro zdobył niemal jedną piątą wszystkich Oscarów dla tej grupy etnicznej). Azjaci stanowią 2 proc., z czego aż jedna ze zdobytych nagród przypadła na lata 2020-2021. Filmowcy z Bliskiego Wschodu to już granica błędu statystycznego – 0,4 proc., z kolei rdzenni Amerykanie – 0,14 proc.

Akademia reaguje na te statystyki wyłącznie odruchami bezwarunkowymi – jak po uderzeniu w rzepkę, gdy podrywamy nogę w niekontrolowanym spazmie.

Tak było w 2015 r., kiedy kampania #oscarssowhite w mediach społecznościowych doprowadziła do rozszerzenia i większej dywersyfikacji ciała akademickiego. Przełożyło się to na marginalny w skali problemu wzrost wśród nominowanych mniejszości rasowych (z 8 na 17 procent) oraz na kompromitujący wzrost liczby nominowanych kobiet – z 21 na 27 procent (choć nagrody dla Chloé Zhao i Jane Campion ładnie wyglądały w mediach). Z tej perspektywy trudno traktować Oscary jako coś więcej niż fasadę całego biznesu filmowego w Hollywood, kolorową ilustrację panującego w branży *status quo*. A skoro ich znaczenie jest czysto symboliczne, to z definicji nie mogą być kołem zamachowym jakiejkolwiek zmiany.

Oscary są wsobne z natury. Ich zadaniem nie było odzwierciedlanie społecznych nastrojów i gniewów. Chodziło wyłącznie o regulację organizmu, jakim był przemysł filmowy w USA.

Niebezpieczne związki

Tłem ceremonii wręczenia Oscarów są zapasy Hollywood z obyczajową rewolucją, która objęła swoim zasięgiem środowiska filmowe. Składa się na nią w zasadzie wszystko, czym dziś oddychamy: ruch #metoo, kwestia niedostatecznej reprezentacji mniejszości w tekstach kultury, zbyt wolno postępująca profesjonalizacja zawodów filmowych, wreszcie – tworzenie nowego kanonu sztuki w zgodzie ze współczesną wrażliwością. I są to zmagania fascynujące, bo przecież nie można jednocześnie kultywować starego porządku i nowego ładu. Nie można, prawda?

W tekście z magazynu „Wired" z lipca 2020 r. (data publikacji jest o tyle istotna, że to właśnie w trakcie pandemii nadzieje na przeformatowanie Akademii były werbalizowane najgłośniej) Angela Watercutter pisała: „Patrząc z dalszej perspektywy, filmy, które są ważne dla współczesnej masowej publiczności – a zatem i te, na których Akademia może przystawiać stempel jakości – mówią sporo o społecznych wartościach, o tym, w co kolektywnie wierzymy. Zwycięstwo filmu »Moonlight« mówiło nie tylko sporo o artystycznej jakości tego filmu, ale też o tym, że czarne osoby ze środowisk LGBT po prostu się liczą – i dla kina, i dla nas. Wbrew obiegowym opiniom opatrywanie filmów takich jak »Przeminęło z wiatrem« stosownym komentarzem lub ściąganie z platform streamingowych tych produkcji, w których biali aktorzy malowali twarze na czarno, nie jest cenzurą. Jest świadectwem tego, że kolejne pokolenia mogą wyciągnąć wnioski z przeszłości. Że stać nas na więcej. Żaden ruch Akademii nie sprawi, że w ciągu jednej nocy zmienimy nawyki odbiorcze, a multipleksy zapełnią się lepszymi filmami. Na pewno jednak doprowadzi do zmian w kryteriach oceny sztuki".

Choć podpisuję się pod wszystkimi pragnieniami Watercutter, wydaje mi się, że nie czyni ona kluczowego założenia. Mianowicie, że nawet ciało tak niejednorodne i nieprzeniknione jak Amerykańska Akademia Filmowa może formułować różne „komunikaty" z koniunkturalnych powodów. Jeśli byłoby inaczej, już dawno temu wpłynęłoby to na formułę samego spektaklu – nieodmiennie anachroniczną, opartą na tabloidowych kontrowersjach, odwołującą się do tradycji złotego wieku Hollywood, lat 20. i 30., stawiającą w centrum medialnej optyki figurę białego faceta łaskawie uchylającego drzwi czarnym i kobietom.

Jeśli więc Oscary miałyby się zmienić – w co wierzę tak gorliwie, jak w istnienie mysikotów i ptabyków – to zmiana musiałaby zacząć się od uznania za godne tych profesji filmowych, w których udział mniejszości jest największy. Na przykład od uwzględnienia reżyserek castingów (mężczyźni to zaledwie 16 proc. tej działki), które w 1999 r. zostały skutecznie przegłosowane jako niegodne oscarowej gali.

Choć trudno w to uwierzyć, ten rodzaj zawodowej uważności był kiedyś wpisany w statut Akademii. Nie powstała ona po to, by służyć sztuce. Była powołana, by regulować wewnętrzne interesy Hollywood. Jak podkreśla teoretyk kina David Thomson, inicjatywa Oscarów miała związek z prewencyjnym działaniem wytwórni filmowych na szkodę rodzących się w Hollywood związków zawodowych.

Aby wyprzedzić uzwiązkowienie zawodów reżysera, scenarzysty i aktora, Louis B. Mayer lobbował na rzecz stworzenia organizacji, w ramach której twórcy będą funkcjonować poza gildiami i związkami, a która jednocześnie będzie przynosić korzyści wizerunkowe. W pewnym sensie Oscary były więc wsobne z natury, ich zadaniem nie było zaś odzwierciedlanie społecznych nastrojów, lecz regulacja organizmu, jakim był przemysł filmowy w USA.

SILVER SCREEN COLLECTION / GETTY IMAGES

Vivien Leigh i Hattie McDaniel, która otrzymując Oscara za rolę w filmie „Przeminęło z wiatrem" (1939 r.), została pierwszą czarnoskórą kobietą uhonorowaną tą nagrodą.

Przebudzenia

W obecnym krajobrazie kulturowym ma to tym większe znaczenie, że presja widzów na złagodzenie retoryki tzw. *woke culture* jest coraz silniejsza – naraz stało się jasne, że kategoryczne i bezrefleksyjne realizowanie jej założeń może wpływać niekorzystnie na jakość sztuki filmowej. To zresztą trend, który dzięki wspólnym wysiłkom dużych wytwórni oraz platform streamingowych doprowadził do jednego z najcichszych i największych kryzysów scenariopisarskich w historii Hollywood.

Na symptomy problemu zwracano dotąd uwagę głównie w mediach społecznościowych i na kanałach filmowych z YouTube'a. Dziś nawet „Variety" i „The Hollywood Reporter" upatrują przyczyn upadku wielkich popkulturowych marek (w większości należących do Disneya) m.in. w tego rodzaju „polityce tożsamościowej". O ironio, w medialnych doniesieniach o ubiegłorocznym strajku scenarzystów temat ten był w zasadzie nieobecny. A szkoda, bo jego wagę potwierdzają malejące wpływy z kinowych kas. Uwiąd kina superbohaterskiego – tak w kinach, jak i w streamingu – to jasny sygnał od widowni. Dość scenariuszy pisanych na kolanie oraz superbohaterek bez skazy, wokół których nie da się zbudować żadnego konfliktu. Dość zmieniania rasy i tożsamości kultowych postaci bez ugruntowywania tejże zmiany w sensowym tekście. Wreszcie – dość wysycania rynku przez produkcje tworzone w zgodzie z dewizą: najpierw reprezentacja, później scenariusz.

Na pierwszy rzut oka tegoroczne oscarowe nominacje pokazują, że da się zjeść ciastko i mieć ciastko. W najważniejszych kategoriach nominowano czarnych aktorów (Jeffrey Wright za „American Fiction" oraz Colman Domingo za „Rustina" o, cóż... walczącym z rasizmem i homofobią aktywiście Bayardzie Rustinie). W przegródce z najlepszymi filmami znalazła się z kolei rekordowa liczba filmów w reżyserii kobiet („Barbie" Grety Gerwig, „Anatomia upadku" Justine Triet oraz „Poprzednie życie" Celine Song). Oscara za pierwszoplanową rolę kobiecą dostanie zapewne pierwsza w historii rdzenna Amerykanka (Lily Gladstone za „Czas krwawego księżyca"). Jeśli jednak spytamy bukmacherów o zdanie, to szanse na kolejne przełomowe nagrody są iluzoryczne. Podobnie ma się sprawa z wyróżnieniami dla europejskich aktorów i aktorek, którymi tradycyjnie przyprawia się hollywoodzką zupkę (kiedyś Emmanuelle Riva z „Miłości" Michaela Hanekego, dziś – Sandra Hüller z „Anatomii upadku" Justine Triet). Wbrew temu, czego chciałaby Watercutter, kryteria w ocenie sztuki raczej się nie zmienią, skoro sama Akademia – jako ciało złożone z dziesięciu tysięcy różnych wrażliwości – nigdy nie będzie formacją skłonną do ryzyka lub przekory.

Jaki zatem mamy pożytek z Oscarów, skoro ich organizatorzy muszą odpowiedzieć na tyle różnych potrzeb, a przyznający nagrody znajdują się pod wielowektorową presją? Będę skłaniał się ku teorii, że beneficjentami ceremonii – także w szerszym kulturowym sensie – są wyłącznie ci, którym uda się zająć miejsce na samej gali. To przed nimi otwierają się furtki do kolejnych filmów, to oni skaczą po kolejnych szczebelkach hollywoodzkiej drabiny i to oni zapisują w kronice historii kina, że w roku takim a takim nie było lepszego filmu niż „Zakochany Szekspir".

Nam zostaje stare i zdyszane Hollywood, które nie potrafi dogonić świata za oknem. I kolejna bezsenna noc, w trakcie której obiecujemy sobie, że za rok będzie inaczej. © MICHAŁ WALKIEWICZ

Sztuka żywania

DARIUSZ KOSIŃSKI

Naraz słowa, obrazy, role i sceny wskazują na coś poza nimi, co już nie jest do zobaczenia, usłyszenia i opowiedzenia. Nawet nie jest chyba do zagrania – jest tylko do przeżycia. I tylko w teatrze.

Dwa ostatnie przedstawienia Katarzyny Kalwat są odległe od siebie o kilkugodzinną podróż z Krakowa do Wrocławia. Układają się w całość, przekonując, że sztuka może umożliwiać prawdziwe przeżycie.

Spektakle „Art of Living" według Georges'a Pereca w Narodowym Starym Teatrze i „Młody mężczyzna" według Annie Ernaux we Wrocławskim Teatrze Współczesnym łączy nie tylko to, że są teatralnymi adaptacjami bardzo nieteatralnych książek ujętymi w wyraziste ramy narracyjno-sytuacyjne i że w obu na ekranach wyświetlana jest generowana elektronicznie transkrypcja padających ze sceny słów. Wszystko to są cechy w końcu powierzchowne i bez trudu można by znaleźć wiele równie powierzchownych różnic (zaczynając od radykalnie odmiennych czasów trwania!). Tym, co w moim doświadczeniu tworzy z nich spójny cykl, jest dążenie do ujawnienia czegoś, co w naszym opanowanym przez uproszczenia, schematy i stereotypy świecie musi być nieustannie i to właśnie przez sztukę przypominane – że w życiu bywa różnie, a prawda nie jest dana jako oczywistość, lecz zdobywana jako objawienie.

Mgławica

„Art of Living" trwa prawie pięć godzin. Nie licząc trzech funkcjonalnie krótkich przerw, spędza się je słuchając opowieści wziętych z legendarnej książki Georges'a Pereca „Życie. Instrukcja obsługi", snutych i splatanych głosami i ciałami znakomitego kolektywu aktorek i aktorów w nowy tekst, nowy obraz zbudowany z precyzyjnie wyciętych puzzli. Pierwsza i podstawowa radość tego przedstawienia ma swoje źródło w grze każdej z osób tworzących sceniczny zespół. Są to aktorki i aktorzy w różnym wieku i o różnym doświadczeniu, którym wspólne wydaje się to, że nie wymazują swoich indywidualności, ale właśnie zaznaczają ją mocno każde na swój sposób.

To aktorstwo na różne sposoby odnawia i przekształca tradycyjną kategorię „gry scenicznej". I każda z osób tworzących zespół tego przedstawienia, i zespół ten jako całość grają powieść Pereca w taki sposób, jak gra się w tryktraka i szachy (obie gry na scenie się pojawiają) – z pełną świadomością reguł i takimż zaangażowaniem, ale bez utraty swojego tu i teraz. Dzięki temu bez trudu, choć i bez

MARCIN KRUK / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU STAREGO

Scena ze spektaklu „Art of Living". Stary Teatr w Krakowie

jakichś nachalnych zabiegów, znajdują połączenie z naszym tu i teraz – grają z pełną świadomością obecności widowni, grają wobec niej i dla niej, ale nie w tym sensie, żeby jej się podobać, tylko żeby wciągnąć ją do autentycznego, teatralnego kibicowania ich rozgrywce. Szczególna w tym rola Romana Gancarczyka – narratora siedzącego na odsłoniętym proscenium, na pograniczu widowni i świata zdarzeń i słów scenicznych zamkniętego w świetlistobiałym kubie (scenografia Agata Skwarczyńska). Nie tylko wyznacza on kolejne etapy gry, ale – co ważniejsze i trudniejsze – tworzy rodzaj emocjonalnego pasażu, dzięki któremu stopniowo coraz wyraźniej dociera do nas ludzki sens tego, co zostaje przed nami stawione.

Katarzyna Kalwat i Beniamin Bukowski (adaptacja) w towarzyszącym przedstawieniu tekście deklarują, że „punktem wyjścia spektaklu jest próba wiernego odwzorowania struktury i tematyki powieści". Dramaturgia (Piotr Grzymisławski) jest więc dyskretna i oddana na służbę pracy nad czymś, co najlepiej byłoby nazwać inscenizacją powieści, o ile oczywiście jest jeszcze możliwe rozumienie tego słowa literalnie: in-scenizacja – wprowadzenie na scenę.

Od razu ciśnie się na usta pytanie, które zadał mi zaprzyjaźniony miłośnik książki Pereca, gdy oznajmiłem, że idę do teatru na oparte na niej przedstawienie: „Po co to robić?". Po co inscenizować dzieło literackie, które jest samo w sobie konstrukcją tak precyzyjną i dokładnie przemyślaną, że nie wydaje się wymagać już niczego, tylko uważnego czytania? Komu i do czego to potrzebne? Użycie marki? Jakiej? Iluż jest tych ludzi, dla których Perec to marka? Co gorsza, są to na ogół wyznawcy, którzy wzruszą ramionami, zapytają: „a po co?" – i do teatru pewnie nie przyjdą.

Jeśli tak, to popełnią błąd. „Art of Living" powinni zobaczyć wszyscy, dla których sztuka w tych podłych czasach coś jeszcze znaczy, a także ci, którym się wydaje, że nie znaczy już nic poza potencjalnym miejscem ucieczki. Nie ukrywam: i ja miałem wątpliwości co do powodu i sensu wystawiania Pereca. Ale rozwiały się błyskawicznie jak mgła z parownicy, której Radosław Krzyżowski używa w jednej ze swych popisowych scen. Krakowskie przedstawienie Katarzyny Kalwat niemal fizycznie odebrałem jako umacniające i pocieszające doświadczenie sztuki, która układa nasze indywidualne biografie i przygody w ocalającą całość. Grane z całą jawnością wirtuozerskiej sztuczności, czasem świadomie graniczącą z przesadą (oszałamiająca eksplozja „apokaliptycznej awantury" w wykonaniu Urszuli Kiebzak, wspieranej przez Pawła Kruszelnickiego), czasami cichnie, by wskazać na swoje ciemne źródło – rozpacz, ból, śmierć, Zagładę.

Cudowna konstrukcja powieści odtworzona i odegrana w sposób teatralny jeszcze mocniej pozwala doświadczyć napięcia między grą a tym, czego nie da się wypowiedzieć i co żadnym regułom gry się nie poddaje. Ale zarazem dzięki naszemu wspólnemu wysiłkowi, naszej wspólnej czujnej i czułej obecności tu i teraz, w tym miejscu i czasie, tworzy się łuk doświadczenia spajającego przeciwległe bieguny. Gdy Roman Gancarczyk kończy przedstawienie słowami o oczywiście niepasującym do niczego ostatnim kawałku puzzla, to kwestia ta – wbrew swojemu literalnemu znaczeniu – jest kawałkiem ↦

FILIP WIERZBICKI / MATERIAŁY PRASOWE WROCŁAWSKI TEATR WSPÓŁCZESNY

Ewelina Paszke-Lowitzsch i Dominik Smaruj w spektaklu „Młody mężczyzna". Teatr Współczesny we Wrocławiu

↦ doskonale dopełniającym całość, która na ten moment tworzy się w teatrze. I na ten moment – ocala.

Jasne – za chwilę to się rozwieje. Będziemy bić brawo z wdzięcznością i rzadkim poczuciem, że i ci ludzie na scenie doświadczyli czegoś, co wspólnie stworzyliśmy dzięki ich pracy. Ale już w trakcie tych braw wracają konwencje codzienności, zaczynają się na nowo snuć nasze pojedyncze historie. Mija godzina, w której wydawało nam się, że wiedzieliśmy coś o sobie nawzajem. Jasne – to nigdy nie trwa długo i naiwni są ci, którym się wydaje, że można to doświadczenie, tę wiedzę, tę ocalającą pewność chwycić i już mieć na zawsze. Ale czy nie dlatego wciąż i wciąż wracamy do teatru – tego anachronicznego miejsca, które już nie jest domem opowieści i iluzji, a przecież istnieje nie tyko z racji dziedzictwa i obowiązku? Przychodzimy, żeby odnaleźć życie własne jako część sensownej całości – nawet jeśli sensu tego nie możemy pojąć.

Poza palimpsest

Jesienią ubiegłego roku Kalwat wróciła do Wrocławskiego Teatru Współczesnego, a częściowo do ekipy, z którą pięć lat temu zrealizowała „Grotowski non-fiction" – przedstawienie koprodukowane przez WTW i Teatr Kochanowskiego w Opolu. Scenografię i niezwykle ważne archiwum fotograficzne stworzył Zbigniew Libera, za tekst sceniczny (tak jak w „Grotowskim" powstały częściowo z aktorskich improwizacji) odpowiada Krzysztof Szekalski, a wiodącą rolę kobiecą gra jedna z aktorek tamtego przedstawienia.

Materiał wyjściowy jest jednak zupełnie inny – książka noblistki z 2022 r. Annie Ernaux „Młody mężczyzna" zaadaptowana przez Sandrę Szwarc przypomina pod niektórymi względami inne z poprzednich, głośnych przedstawień Kalwat, „Powrót do Reims" Didiera Eribona. Znów mamy w głównej roli słynną osobę piszącą, która wyrwała się z prowincjonalnego miasta, pokonała granice między klasami i przebiła się na wyższy poziom społecznej hierarchii, a teraz rozlicza się z przeszłością i usiłuje uwolnić od jej ciężaru. Tyle że usiłuje tego dokonać nie przez powrót do miejsca pochodzenia, ale poprzez romans z tytułowym młodym mężczyzną, już na oczywistym, zewnętrznym poziomie kwestionujący społeczne postrzeganie różnic czasowych.

A jednak „Młodego mężczyznę" wiele łączy z „Grotowski non-fiction". Podobna jest rama konwencji akademickich, które w tamtym przedstawieniu miały formę „sympozjum" prowadzonego przez „autentyczne" osoby badające teatr (Krystyna Duniec, Roman Pawłowski), tu zaś ujmują spektakl jako wykład Annie Ernaux (Ewelina Paszke-Lowitsch), prezentującej widzom swój projekt zatytułowany jak przedstawienie. Wykorzystywane jest też ponownie archiwum wizualne autorstwa Zbigniewa Libery, tu prezentowane jako typowa kolekcja slajdów ilustrujących wykład. Ta kolekcja jest prawdziwie fascynująca i godna osobnej publikacji. Pokazywane w czasie przedstawienia obrazy nie są schwytanymi sytuacjami, ale ich inscenizacjami, co na scenie jest wzmacniane i niejako podwajane poprzez cykl ich aktorskich reinscenizacji.

Znaczna część spektaklu składa się bowiem ze scen, w których Annie i jej partner ukryty pod anonimowym A (Dominik Smaruj) usiłują ułożyć się na scenie w pozycjach pokazywanych na slajdach, zmienianych na polecenie pisarki. Ich cielesne rekonstrukcje są niedokładne, a co śmielsze sceny erotycznych zbliżeń Annie każe szybko przewijać i nawet nie usiłuje ich powtórzyć. Początkowo może się wydawać, że to fotograficzne archiwum jest jakimś *residuum* „prawdy", ale wkrótce i sam wygląd fotografii, i komentarze osób scenicznych (odmienne) zaczynają przekonywać, że to złudzenie. Prawda jest nieinscenizowalna, nie do pokazania i nie do wysłuchania. Gdy Annie próbuje opowiedzieć A o traumatycznym doświadczeniu sprowokowanego poronienia, on nie jest w stanie jej słuchać (a i widownia wydaje się być na granicy wytrzymałości). Ale nie tylko o niewypowiadalność traumy chodzi – gdyby eksperyment pisarki polegał tylko na doprowadzeniu do sytuacji tego wyznania, byłby – przy całej grozie – niemal banalnym powtórzeniem znanych już z tylu realizacji procedur terapii przez opowieść.

Annie chodzi jednak o uwolnienie się od czasu, który przeżyła i który ją przeżył, a to można zrobić tylko w ciele i przez ciało, i tylko w życiu i przez przeżycie – także przez ciało i życie cudze, jawnie tu wykorzystywane. Jest nim oczywiście ciało i życie A, ale czy nie są nimi także żywe ciała dwojga wspaniałych aktorów, na których patrzymy w nakładających się figuracjach, obrazach i rekonstrukcjach, ostatecznie widząc wszak tylko ich dwoje i w ten sposób używając ich dla własnego przeżycia? Jesteśmy przecież w teatrze inscenizującym powieść w formie wykładu ilustrowanego zdjęciami i rekonstrukcjami z udziałem osoby zaproszonej do współudziału. Przyjmujemy niemal automatycznie, że jest nią rzeczywisty sceniczny młody kochanek Annie i że podobnie jak ona rekonstruuje on przeszłe wydarzenia, w których brał udział, ale pewne to do końca nie jest. Może to jednak ktoś

wynajęty przez znaną pisarkę, by w trakcie wykładu odegrać rolę obiektu eksperymentu? Kto i czyje życie tu reinscenizuje, skoro koniec końców to wrocławscy aktorzy przedstawiają nam historię francuskiej noblistki i jej romansu?

Paradoks i jakaś – mimo wszystko – wyzwalająca radość tego przedstawienia zasadzają się na tym, że jedyną odpowiedzią na te mnożące się pytania jest wspólna – osób tworzących i oglądających (nie wszystkich oczywiście – na moim przedstawieniu byli widzowie oburzeni i tematyką, i nagością, i nie wiem, czym tam jeszcze) – akceptacja tego, że razem powołujemy teatr i że jest on dla nas miejscem wielorako rozumianej wolności i prawdy. Nie deklarowanej, ale przeżywanej w chwili, gdy nakładające się przybliżenia – słowa, obrazy, role i sceny – przestają tworzyć niezrozumiały palimpsest, ale wskazują na coś poza nimi, co już nie jest do zobaczenia, usłyszenia i opowiedzenia. Nawet nie jest chyba do zagrania – jest tylko do przeżycia. I tylko w teatrze.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Katarzyna Kalwat

Gdy po raz pierwszy usłyszałem, że swojej inscenizacji powieści Pereca Katarzyna Kalwat nadała angielski tytuł „Art of Living", żachnąłem się. Książka jest francuska, teatr polski – po kiego licha znów ta angielszczyzna? Ale po obejrzeniu obu jej ostatnich przedstawień wydaje mi się, że wiem i że ta nazwa to coś więcej niż tytuł. Różnicę między angielskimi *art of life* i *art of living* po polsku czytam jako różnicę między zbanalizowaną na poziom popularnych poradników „sztuką życia" a brzmiącą dziwacznie „sztuką żywania". Choć sam rzeczownik w tej formie jest niezwyczajny, to brzmi znajomo dzięki funkcjonowaniu z przedrostkami (w wersji najbardziej teatralnej – „prze-żywanie").

W moim czytaniu słowo to wskazuje na coś, co nie jest życiem danym każdej żywej istocie, ale życiem doświadczanym i zdobywanym w momentach o szczególnej jakości – intensywnym? pełnym? całkowitym? – każde z tych słów jest nietrafne. Dzięki obu ostatnim przedstawieniom Katarzyny Kalwat umocniła się we mnie chwiejąca się wciąż, a czasem ledwo dysząca wiara, że „sztuka żywania" jest wciąż możliwa i że właśnie teatr stanowi jej azyl.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

OGŁOSZENIE

Prestige 15 lat MJM · BILET SERWIS · REGENT WARSAW HOTEL · onet · RZECZPOSPOLITA · TYGODNIK POWSZECHNY · proart · VIXON

Forma uszkodzona

ANITA PIOTROWSKA

Aki Kaurismäki na przekór definicji klasyka, że film „to życie, z którego wycięto momenty nudy", pozostawił na ekranie wyłącznie nudę. Ale za to jak pięknie i zabawnie opowiedzianą.

Noszą niemodne ciuchy, słuchają piosenek z szafy grającej, rozmawiają półgębkiem, oczywiście z kamienną twarzą, i nazbyt często zaglądają do kieliszka – Aki Kaurismäki stworzył własne uniwersum zaludniane przez niepodrabialnych bohaterów. W swojej nijakości bywają wręcz afilmowi. I właśnie ci ludzie bez właściwości, nieuleczalne milczki i przegrywy, zasługują w jego kinie na pierwszy plan. „Urodzeni w smutkach, ubrani w rozczarowania" – jak śpiewa w jednej ze scen „Opadłych liści" żeńska grupa Maustetytöt – wyglądają i zachowują się niczym wyjęci z jakiegoś lamusa czy lumpeksu. W filmie nazywa się takich przeterminowanymi, bo ich data ważności dla innych minęła bezpowrotnie.

W poprzednich filmach fiński reżyser opowiadał o nocnych stróżach, helsińskich bezrobotnych, o bezdomnych, którzy stracili pamięć, i nielegalnych imigrantach. Mimo że ich historie z bliska zdawały się nieprawdopodobne czy wręcz cudowne, nie byli traktowani jak dziwolągi – Kaurismäkiemu zdecydowanie bliżej do Chaplina niż do Seidla. Lecz zamiast serwować krzepiące bajki, twórca znajdywał własny wyjątkowy ton, gdzieś pomiędzy północnym dystansem, lekko groteskowym przechyłem a czystą tkliwością. Pomagał mu w tym gatunkowy sztafaż, na przykład kryminalny czy wzięty z kina drogi. Tym razem wybrał melodramat, po czym, na przekór definicji klasyka, że film „to życie, z którego wycięto momenty nudy", pozostawił na ekranie wyłącznie nudę. Ale za to jak pięknie i zabawnie opowiedzianą, w ciągu zaledwie jednej godziny z kwadransem.

Jesteśmy w mieście, w którym liście opadły dawno temu i nic nie wskazuje na to, by miało się kiedykolwiek zazielenić. Ona, nie pierwszej już młodości, pracuje na kasie, podkrada przeterminowane jedzenie i codziennie wraca do pustego mieszkania. On niszczy sobie płuca w warsztacie, mieszka w hotelu robotniczym i zaczyna każdy dzień od piwa. Coś poszło nie tak w ich życiorysach, jednakże Kaurismäki starym zwyczajem reglamentuje nam wiedzę o bohaterach. Tradycyjnie polega na aktorach, bo przecież z pokerowych twarzy Almy Pöysti w roli Anny i Jussiego Vatanena grającego Holappę sporo można wyczytać. Również to, że będąc nieudacznikiem, bez internetu i prawa jazdy, z dobytkiem, który mieści się w jednym worku albo co najwyżej w skromnej kawalerce na przedmieściach, można być bohaterem godnym naszej uwagi.

Ktoś powie, iż ta ostentacyjna analogowość i zgrzebność wypływa z reżyserskiej kokieterii – wszak wielu z nas hołubi (na odległość) tak zwane zwykłe życie jako przejaw szlachetniejszej odmiany człowieczeństwa. W „Opadających liściach" może tylko do Anny pasowałaby ta kategoria. Holappa jest przecież zawieszonym w tymczasowości alkoholikiem i nie ma w tym nic romantycznego. Jako że pijaństwo uchodzi za fiński sport narodowy, bohaterka doskonale wie, że łatwego happy endu być tu nie może.

Będąc arcymistrzem w łączeniu melancholii i absurdu, Kaurismäki jednocześnie trzyma je mocno w ryzach. Szkicuje tę miłosną opowieść kilkoma prościutkimi kreskami i wypełnia ją bezlitosnym konkretem. Oglądamy więc monotonną, słabo płatną, wykonywaną w szkodliwych warunkach pracę w fabryce, magazynie czy na zmywaku. Stoi za tym zupełnie inny świat – konsumpcji, nadmiaru i marnotrawstwa – któremu bardziej opłaca się wyrzucać, niż się podzielić. Anna i Holappa funkcjonują na marginesach tego świata, choć na każdym kroku dopada ich jego bezwzględna logika. Podobnie jak wojna w Ukrainie, o której pewnie woleliby nie wiedzieć, mając dość własnych trosk, lecz ilekroć włączają staroświeckie radioodbiorniki, słychać właśnie o kolejnej ludzkiej tragedii.

Tyle że Kaurismäkiemu wcale nie chodzi o to, by dołować nas prozą życia. Jego minimalistyczne kino bywa chętnie porównywane do Jarmuscha; Fin obsadził go nawet w kultowym ongiś filmie „Leningrad Cowboys jadą do Ameryki" (1989), a teraz składa mu hołd w jednej ze scen. W przeciwieństwie do amerykań-

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE AURORA FILMS

OPADAJĄCE LIŚCIE
(„Kuolleet lehdet") – reż. Aki Kaurismäki. Prod. Finlandia 2023. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 9 lutego.

Aki Kaurismäki to najbardziej rozpoznawalny fiński reżyser, twórca nagradzanych filmów: „Człowiek bez przeszłości", „Światła o zmierzchu" czy „Po tamtej stronie". Za „Opadające liście" otrzymał w zeszłym roku Nagrodę Jury w Cannes. Od 36 lat tworzy swoje filmy w ramach firmy producenckiej Sputnik Oy, prowadzonej wraz ze starszym bratem Miką, uznanym dokumentalistą.

Na zdjęciu: Jussi Vetanen oraz Alma Pöysti w filmie „Opadające liście"

skiego reżysera, zaczyna nie od dziwności istnienia, ale od zwyczajności i trzymając się jej mocno potrafi jednocześnie się wznieść o pół metra ponad nią. Rzeczywistość najpierw zostaje celowo pomniejszona, zredukowana do pospolitego „życka", by ostatecznie, dzięki delikatnej stylizacji, uzyskać głębszy, zgoła poetycki wymiar.

Wbrew oczekiwaniom wobec kina aż tak powściągliwego, pełno tu chociażby wyrafinowanej gry kolorem, jakby na burą codzienność i wieczną prowizorkę nałożono nostalgiczny filtr. Tragikomedie Kaurismäkiego funkcjonują często, mimo linków do współczesności, poza czasem. Bohaterami są ludzie niemal analogowi, wyposażeni ledwie w oldskulowe nokie i skazani na kafejki internetowe. Ich niezgrabny romans też jest w klimacie *vintage*, co podkreśla wszechobecność starych plakatów, głównie zresztą filmowych, dostajemy bowiem dzieło bardzo kinofilskie. Najważniejsze, że owa malownicza stylówka nie przykrywa istoty, czyli humanistycznego i bynajmniej nie paternalistycznego spojrzenia na istoty zrodzone według „uszkodzonej formy". Czytaj: naznaczone pochodzeniem społecznym, życiowymi dramatami, skłonnością do uzależnień.

To pozornie naiwne kino daje się rozpoznać już od pierwszych kadrów, dlatego zarzut powtarzalności wydaje się tyleż oczywisty, co bezpodstawny – twórcy tak charakterystyczni jak Kaurismäki całe życie kręcą jeden i ten sam film, z rozmaitymi wariacjami. Znowu mamy prawie nieruchomą kamerę Tima Salminena i dancingową playlistę, znów ekran wypełniają kamienne twarze i cierpki humor, Finlandia jest więzieniem zbudowanym z pojedynczych samotności, a biednemu zawsze wiatr w oczy. Materia jednak okazuje się subtelniejsza niż w przypadku poprzedniego tytułu, „Po tamtej stronie", gdzie pod wpływem kryzysu uchodźczego powstała brawurowa utopia, w której stary oschły Fin bratał się z młodym, pełnym wigoru Syryjczykiem. W „Opadających liściach" także istnieje nadzieja, że uda się przezwyciężyć okoliczności, ślepy przypadek czy bezwzględny los. Że alkoholik z samarytanką zejdą się wreszcie na dobre, tworząc związek inny niż ten domyślny, oparty na współuzależnieniu. Kiedy film kończy się chaplinowskim kadrem, na horyzoncie można dostrzegać rozmaite scenariusze, ale smutek Kaurismäkiego ma to do siebie, że nie pozostawia nas w smutku. ©

Lektor:
Dziennik czasu wojny

▪ *Grzegorz Przebinda*
OSTATNIA WOJNA PUTINA. ROZPRAWA FILOLOGA Z ROSJĄ
Wydawnictwo Znak, Kraków 2023, ss. 724

Co zrobić, gdy kraj, którego kulturą zajmujesz się zawodowo, ale i z prywatnej pasji, rozpoczął krwawą i wyjątkowo okrutną wojnę z sąsiadem, kwestionując przy tym jego prawo do odrębnego istnienia? Grzegorz Przebinda – rusycysta, który pracę magisterską obronioną w stanie wojennym poświęcił wyklętemu wtedy za żelazną kurtyną Sołżenicynowi, dziś profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, świetny znawca rosyjskiej myśli filozoficznej i religijnej od Czaadajewa do Bierdiajewa, ze szczególnym uwzględnieniem Władimira Sołowjowa, współautor rodzinnego (bo dokonanego z żoną i dziećmi) przekładu „Mistrza i Małgorzaty" Bułhakowa, zaprzyjaźniony z wieloma postaciami rosyjskiej i emigracyjnej sceny publicznej, pilnie śledzący rosyjskie media i internet – postanowił zmierzyć się z tym wyzwaniem, od lutego 2022 roku prowadząc dziennik.

To dziennik – kronika wojny i reakcji na nią z różnych stron świata, z mnóstwem cytatów, do których sami na pewno byśmy nie dotarli, ale też trochę sylwa, która pomieściła także eseistyczne rozważania i elementy autobiografii. Jest tu więc miejsce na emocje (zwłaszcza we wprowadzającym szkicu „Putinowski świat na opak"), na refleksje nad przeszłością i na nową analizę imperialnych wątków w rosyjskiej kulturze, na opis skomplikowanej sytuacji w prawosławiu na terenach dawnego ZSRR. Jest też niezgoda na pochopne sądy i oceny, zrozumiałe w obliczu okrucieństw popełnianych w Ukrainie przez rosyjską armię.

Nie chodzi oczywiście o ich bagatelizowanie – Przebinda sumiennie dokumentuje rosyjskie zbrodnie, ofiary pozostają na pierwszym miejscu, a zamknięciem książki jest „Epitafium dla Wiktorii Ameliny", wybitnej ukraińskiej pisarki ze Lwowa, urodzonej zresztą w rodzinie rosyjskojęzycznej, zmarłej od ran, jakie zadał jej rosyjski pocisk typu Iskander w Kramatorsku, dokąd pojechała latem zeszłego roku z grupą pisarzy kolumbijskich. Autor broni tylko przedstawicieli „innej Rosji", którzy przeciwstawiają się wojnie. Pokazuje, jak wielkiej odwagi wymaga taka postawa wobec narastającego wewnątrzrosyjskiego terroru i jak wielu twórców musiało z Rosji wyjechać. Pisze o Dmitriju Bykowie, Ludmile Ulickiej, Ludmile Pietruszewskiej czy Borisie Akuninie, którzy ratują dziś honor rosyjskiej literatury. Bardzo to jest gęsta książka i bardzo ją polecam. ©℗

OLGA

Drenda:
Co słychać w tle?

Muzyka to dla mnie od dawna najlepszy sposób orientowania się w czasie. Jeśli próbuję sobie przypomnieć jakiś moment z przeszłości, jeśli muszę odtworzyć, jak było, ustalić datę – najbardziej pomaga mi przypomnienie sobie, co było grane. Muzyka nadaje koloryt chwili, pomaga poustawiać dalsze skojarzenia na swoje miejsce, wywołuje reakcję „aha". Większości zdarzeń, które mogę wywołać z pamięci własnej lub zbiorowej, towarzyszy jakaś ścieżka dźwiękowa. I kiedy pomyślę o współczesności, to trudno mi sobie przypomnieć czasy, w których jednocześnie muzyka byłaby tak ważna, a zarazem tak obojętna.

Ważna – dlatego, że chyba od czasów wielkich koncertów stadionowych lat 80. i 90. nie mieliśmy do czynienia z tak gorliwym uwielbieniem dla popowych idoli. Jeśli którejś gwieździe uda się dostać do tego wąskiego grona, może cieszyć się absolutnym oddaniem swoich „stans" (wyjątkowo entuzjastycznych, wiernych fanów). Zjawiskiem jest turystyka koncertowa, fakt, że niezależnie od kosztów ludzie jeżdżą za swoimi idolami po świecie i potrafią spędzać godziny na warcie, czekając, aż uruchomi się internetowe okienko z biletami, dostępnymi tylko przez chwilę. I, co ciekawe, w przeciwieństwie do gwiazd epoki wielkich tras koncertowych, jak Prince czy Madonna, po których oczekiwano szoku i dreszczu sensacji – współcześnie największe emocje i uwielbienie wywołują artyści, przy całym swoim profesjonalizmie, raczej mało kontrowersyjni, umiarkowani i grzeczni, jak BTS, Harry Styles czy Taylor Swift. O znaczeniu tej ostatniej może świadczyć fakt, że niedawno zdołała skłonić Elona Muska, szczycącego się przywiązaniem do (w rzeczywistości bardzo wybiórczo rozumianej) wolności wypowiedzi w internecie, do zatrudnienia moderatorów treści po tym, jak w serwisie X (Twitter) pojawiły się fałszywki godzące w jej wizerunek. Do tego podobno niemała liczba Amerykanów jest gotowa kierować się jej radami podczas głosowania w nadchodzących wyborach.

Muzyka praktycznego użytku – do lewitacji

OLGA DRENDA

To jednak tylko jedna strona medalu. Skala znaczenia i wpływu gwiazd pop jest gigantyczna, ale też ich grono pozostaje nieduże i raczej stabilne. Jednocześnie powstaje mnóstwo dźwiękowej waty, z której coraz ciężej wyłowić różnice między poszczególnymi utworami czy artystami. „Sitka", które kiedyś pomagały nam w tym wyławianiu, straciły na znaczeniu. Przyznaję, że zasmuciła mnie wiadomość o tym, co zdarzyło się z bardzo niegdyś ważnym serwisem o muzyce, Pitchfork. Sama akurat niespecjalnie sugerowałam się jego wskazówkami, ale doceniałam świadome, uważne słuchanie. Niestety, zrealizował się scenariusz bardzo typowy – mały, ale ważny portal zostaje kupiony przez medialnego giganta, a ten drogą „optymalizacji kosztów" zmniejsza redakcję, łączy ją z innymi serwisami, wreszcie pozostawia z pierwotnej formuły żałosny kadłubek.

To również znak czasów. Według statystyk muzyki słuchamy więcej z roku na rok. Słuchamy jej jednak inaczej – o ile nie jesteśmy w szeregach „BTS Army" albo „Swifties", to dźwięki częściej towarzyszą neutralnie temu, co robimy, zlewają się z tłem, budują nastrój. Łatwiej osiągnąć taki stan, gdy nie tylko słuchamy muzyki ze streamingu, ale w jej wyborze wyręcza nas algorytmiczny prezenter. A ponieważ celem zalgorytmizowanych usług jest to, by spędzać w ich towarzystwie jak najwięcej czasu, otrzymujemy coraz więcej tego samego. Oszczędzając na tantiemach, serwisy takie jak Spotify od lat wplatają w swoje playlisty utwory fikcyjnych artystów, którzy tworzą niemal nieodróżnialną od prawdziwej muzykę tła – bo w tle nie ma to znaczenia, czy kolejny oparty na samplowanej linii marimby utwór w rytmie 4/4 skomponował prawdziwy producent z wokalistką sesyjną, czy wyszedł on hurtowo z generatora.

Taka nieszkodliwa, neutralna muzyka w końcu robi się niestrawna – ileż w końcu można popijać letnią herbatkę. To znaczy, że prędzej czy później możemy spodziewać się jakiegoś zwrotu, a może nawet wyciągnięcia czegoś ciekawego z tej dźwiękowej waty. Mamy zresztą precedens. W latach 60. XX wieku masowo wydawano albumy z sentymentalnymi melodiami, które miały towarzyszyć różnym czynnościom („Muzyka do prasowania") czy wpływać na nastrój, np. podczas zakupów. Nazywano je wówczas pogardliwie „muzyką do windy". Jakiś czas później wspaniały producent Brian Eno zainspirował się tymi płytami do praktycznego użytku i wydał album „Music for airports", dając początek muzyce ambient. Być może podobny ruch z muzyką algorytmów to jedynie kwestia wystarczająco czujnego nastawienia uszu. ©

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad. Zapisz się na **powszech.net/tygodnik-smakow**

PAWEŁ

Bravo: *Głodówka słowna*

Trzydzieści sześć godzin, od niedzieli wieczorem aż do wtorkowego poranka trwa cotygodniowy ścisły post Rishiego Sunaka. Tylko woda, herbata i kawa. Jak mniemam, bez mleka, bo nie trzeba aż postu, by zrozumieć, że mleko tylko psuje ich smak. Ściślej rzecz biorąc, nie poranek, lecz świt, bo premier Jego Królewskiej Mości zaczyna dzień o piątej, co nie wydaje się zbyt wczesną porą dla człowieka, który zarządza krajem mocarnym wojskowo i symbolicznie (angielski to imperialny implant w mózgu każdego i każdej z nas), w warstwie przyziemnych realiów pogrążonym jednak w niedomodze. Widzieliście zapewne tego mema: rozmawiają Sunak z Zełenskim, pierwszy wers podpisu głosi: „Mój naród marznie i głoduje". A pod spodem dalszy ciąg, odpowiedź: „Przykro mi to słyszeć, panie Sunak".

Stop! Nie zaglądacie przecież do kuchennego kącika po odgrzewane dowcipy. W sumie wolałbym, żeby moja kuchnia pozostała strefą wolną od internetu. Tylko czasami ustępuję nawykom, jak brytyjski premier, który nie tyka alkoholu, ale był za to w młodości uzależniony od coca-coli. Owszem, wznosi kufel w pubie na użytek propagandy, ale zdjęcia nie pokazują, czy potem coś z niego upija. Jako człek rozumnie i bez szczękościsku podchodzący do nałogów, pozwala sobie na colę raz na tydzień – przy czym wybiera wcale nie jedną z „zerowych" wersji, tylko zwyczajną, ale wyprodukowaną w Meksyku, bo słodzona jest uczciwie cukrem trzcinowym, a nie syropem glukozowo-fruktozowym. Siły RAF znają się na mostach powietrznych, więc potrafią raz na miesiąc dowieźć dobrze schłodzony czteropak.

Czy któraś z dietetycznych egerii prześladujących w mediach nasz niegłodny naród już ujawniła tutaj tajemnicę zdrowszej, zamorskiej coli? W porównaniu z ceną zastrzyków z semaglutydem – diablo skuteczną substancją dającą szybkie wychudzenie – to muszą być jakieś drobniaki. Tymczasem głodówka na pewno nic nie kosztuje, lecz warto ją docenić z innych powodów, nawet jeśli niemiły nam politycznie premier Sunak jest marnym jej emblematem. Zresztą przepadnie w następnych wyborach na rzecz totalnie nieapetycznego Keira Starmera, jeszcze zatęsknimy za pełną blasku twarzą gibkiego bollywoodzkiego gwiazdora. A ów blask, jak sądzę, to wyraz tej energii, jaką mają ludzie jakoś tam ze sobą poukładani. Skrajności zostawmy fanatykom, ale w rozsądnych granicach krótka głodówka to sposób, by przypomnieć sobie, jak łatwo, bez narzędzi, szkoleń i pieniędzy mieć w pewnym stopniu kontrolę nad fetyszyzowanym – jako obiekt kultu i potępienia zarazem – ciałem. I nad pewnym obszarem psychiki, bo przecież jemy poruszani uczuciami, aspiracjami i presją otoczenia.

Oblicze tej zbiorowej psyche wyłania się z opowieści o modnym blogerze kulinarnym z poprzedniego numeru „Tygodnika". Koniecznie sięgnijcie do tekstu, w którym Monika Ochędowska daje plastyczny opis tego, jak rozkosznie i kwieciście Polacy chcą dziś czytać o jedzeniu. A może czasem przydałaby się też lekka głodówka słowna? Tak sobie pomyślałem, przebiegając wzrokiem bolesny esej z 1946 r. wielkiego poddanego dziadka obecnego Króla Jegomości. George Orwell w dostępnym także po polsku tekście pt. „Język angielski a polityka" nie tylko arcyzłośliwie punktuje degenerację publicznej mowy-trawy i jej konkretne (do dziś identyczne) cechy, ale i namawia, by nie poddawać się konstatacjom, że „żyjemy w czasach upadku", lecz na swoją miarę przeciwdziałać, bo zły język zaraża i dalej degeneruje umysły, które go wcześniej zrodziły.

Szukałem u Orwella zdań o faszyzmie: „słowo to nie ma żadnego znaczenia, poza tym iż oznacza coś niepożądanego" oraz „takie słowa są często używane w nieuczciwy sposób, bo kto je wypowiada, ma swoją własną ich definicję, ale pozwala słuchaczowi uznać, że ma na myśli co innego". A szukałem, bom zniechęcony widział w sieci, jak bliźni głupio się cieszą, iż sąd pozwolił nazywać poprzednią partię rządzącą mianem faszystowskiej. Ale mądrość orwellowska wymyka się łatwo politycznym kontekstom i jego wywód o zdaniach zbyt rozlazłych, niechlujnych i skrywających pustkę zawisł nad wszystkim, co o sprawach kuchennych nie tylko czytam, ale i sam piszę. „Nigdy nie używaj metafory lub innej figury, którą widujesz w druku", radził Orwell. Pomilczę zatem. Przez tydzień. ©℗

MARIONTXA / ADOBE STOCK

W tygodniu, gdy objadacie się pączkami, powinienem właściwie podać przepis na kubek dziurawca i szklankę wody. Ale za to może już w przygotowaniu na następny, popielcowy tydzień, coś skromnego. Może nawet rzekłbym „ascetycznie rozkosznego", gdyby nie stał nade mną Orwell z brzytwą. Na sporej patelni dusimy, długo i pomalutku, cienko pokrojoną dużą cebulę. Kiedy grozi przypaleniem, podlewamy łyżką ciepłej wody. Chodzi o to, by prawie się już rozpadała (nie solimy na razie). Dodajemy ze trzy fileciki anchois, podgrzewamy dalej, aż się rozpadną. Znacie to połączenie, kiedyś pisaliśmy o nim przy okazji weneckiego sosu saor. Po wystudzeniu lekko zakwaszamy octem. Możemy to zmiksować albo zostawić w tej postaci i przełożyć na plastry rzepy lekko podpieczone z kropelką oliwy (wystarczy pięć minut w piecu) lub selera (wtedy trzeba piec co najmniej kwadrans).

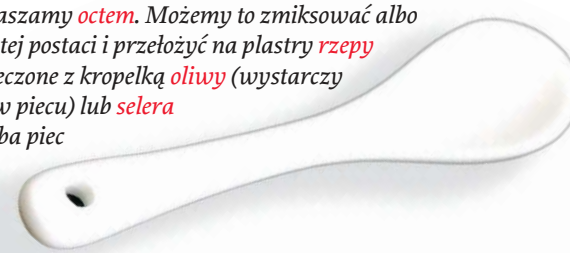

ZMYSŁY

GŁOS LUDZKOŚCI

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Słuchaczki twierdziły, że w ogóle nie chodziło o muzykę, tylko o cielesne doznanie mistyczne. The Beatles byli projekcją nieznanych dotąd marzeń.

Sześćdziesiąt lat temu czterej przybysze z dawnej metropolii postawili stopy na ziemi dawnej kolonii i zdobyli ją, a zaraz potem cały świat. Do 9 lutego 1964 r., gdy George Harrison, John Lennon, Paul McCartney i Ringo Starr z Liverpoolu wystąpili pierwszy raz w oglądanym w całych Stanach programie rozrywkowym telewizji CBS „The Ed Sullivan Show", Beatlesi pozostawali fenomenem ograniczonym do terenu Zjednoczonego Królestwa. Mogli też liczyć na tłumy podczas koncertów we Francji czy w Skandynawii, ale było jasne: wymarzone Toppermost of the Poppermost leżało za Atlantykiem. Kto zdobędzie amerykańską publiczność, nie musi się już o nic martwić, będzie tylko dyktować warunki. Wszędzie. Sztuka ta dotąd udawała się wyłącznie Amerykanom – najpierw Frankowi Sinatrze, potem Elvisowi Presleyowi.

Nieoczekiwana zmiana miejsc

Ale nawet na rodzinnej ziemi The Beatles mimo ogromnego talentu nie osiągnęliby statusu czczonych histerycznie gwiazd, gdyby nie czynnik od nich niezależny: powojenny wyż demograficzny. Historia sprzyjała Beatlesom i w ojczyźnie, i potem w Ameryce. Ani Sinatra dwie dekady wcześniej, ani Presley nie mogli liczyć na tak potężny rezonans wśród młodzieży, z jakim spotkała się liverpoolska Czwórka.

Zjawisko narastało już rok wcześniej, w ciągu wiosennych i letnich miesięcy 1963 r. Pierwsze dwa wielkie przeboje, „Please Please Me" i „From Me to You" wyznaczają kolejne stadia epidemii, wskutek której serca młodych Brytyjek i Brytyjczyków zaczęły bić w rytm piosenek Beatlesów. Pierwszą trasę koncertową po Wielkiej Brytanii w lutym reklamował afisz, na którym The Beatles figurowali na czwartej pozycji – gwiazdą była nastoletnia Helen Shapiro. Ale już wtedy publiczność skandowała nazwę zespołu podczas występów innych artystów. W marcu zespół ponownie ruszył przez kraj, tym razem tuż za gwiazdami zza Atlantyku, Tommym Roe i Chrisem Montezem. Sytuacja ze skandowaniem się powtórzyła – co było ewenementem, dotąd bowiem śpiewający przybysze z USA nie brali jeńców.

Przełomem okazała się trasa w maju i czerwcu, której główną gwiazdą był wielki Roy Orbison, mający na koncie takie blockbustery jak „Only the Lonely", „Dream Baby" czy „In Dreams". Już po tygodniu Amerykanin musiał na afiszach i ulotkach ustąpić pierwszego miejsca czterem Anglikom. Ten sam Orbison, który niemal trzy dekady później współtworzył z Harrisonem supergrupę Traveling Wilburys. A potem w sierpniu w sklepach pojawił się singiel „She Loves You" i brytyjska część epopei osiągnęła apogeum. Chwytliwe „yeah, yeah, yeah" stało się ścieżką dźwiękową pokolenia.

BOB DEAN / THE BOSTON GLOBE / GETTY IMAGES

Fani zespołu The Beatles podczas rozpoczęcia koncertu w Boston Garden. Boston, 12 września 1964 r.

13 października zespół pojawił się na żywo w brytyjskim programie telewizyjnym „Sunday Night at the London Palladium" i zagrał dla piętnastu milionów widzów. To wtedy prasa ukuła termin „Beatlemania". A zespół przekonał się o sile nowego medium – po programie okazało się, że rzecznik prasowy zespołu już nie musi zabiegać o kontakt z dziennikarzami, tylko przebierać w ich prośbach o wywiady. Wszystko to działo się kilkanaście miesięcy po tym, jak Dick Rowe, szef wielkiej wytwórni Decca, odmówił wydania Beatlesom płyty, argumentując, że „zespoły gitarowe są w odwrocie".

W tym samym czasie John Lennon i Paul McCartney napisali swój kolejny hit – „I Want to Hold Your Hand", skrojony ściśle pod publiczność amerykańską, wedle wzorców kompozycyjnych, rytmicznych i harmonicznych znanych z uwielbianych przez Beatlesów przebojów wytwórni Motown.

Z dala od Capitolu

Zespół miał świadomość, że chcąc podbić północną Amerykę, musi zwieść tamtejszych recenzentów. Ci bowiem często dyskredytowali nową „szajbę" Brytyjczyków, ironizując, że Anglia wreszcie przekonała się do rock'n'rolla, który w Stanach już od kilku lat trącił myszką. Inni pisali prześmiewczo o wrodzonym ekscentryzmie Anglików, czego przykładem miała być właśnie muzyka liverpoolczyków.

Dodatkową komplikacją był fakt, że należąca do macierzystej wytwórni Beatlesów amerykańska firma Capitol nie kwapiła się do wydawania ich piosenek. Single „Please Please Me" i „From Me to You" ukazały się nakładem niewielkiej firmy Vee-Jay, a „She Loves You" – równie mało prężnej na rynku Swan. Vee-Jay również wydała pierwszy amerykański album zespołu „Introducing... the Beatles", planując pierwotnie uczynić to jeszcze latem 1963 r., ale z powodu

↦

perturbacji personalnych i finansowych przesuwając premierę dopiero na styczeń 1964 r., gdy Beatlesi zgarniali już pierwsze wygrane pule z amerykańskiego stołu, nie postawiwszy jeszcze nóg na tamtejszej ziemi. Capitol do późnej jesieni 1963 r. pozostawał nieugięty, twierdząc, że te piosenki nie znajdą w Stanach nabywców.

Postawa Capitolu to wyrazista ilustracja mentalności tuzów branży muzycznej: szukamy czegoś podobnego do tego, co nam właśnie przyniosło zyski, a nie czegoś, czego dotąd nie było. Tego podejścia nie ustrzegł się swego czasu nawet George Martin, gdy brał Beatlesów pod skrzydła Parlophone – też początkowo szukał zespołu podobnego do Cliffa Richarda z The Shadows. Dopiero potem zrozumiał, że trafił na całkiem nowy układ planetarny.

W Stanach bezskutecznie zabiegał o promocję Beatlesów wybitny amerykański kompozytor Bernard Herrmann (autor muzyki m.in. do „Obywatela Kane'a", „Psychozy" i „Przylądka strachu"), który usłyszał ich muzykę w Anglii jeszcze w 1962 r. i dostrzegł w niej nową jakość. Nie zdołał jednak przekonać ani żadnej wytwórni, ani telewizji.

Dzień, który zmienił reguły gry, nadszedł 22 listopada. Telewizja CBS w wiadomościach porannych wyemitowała krótki felieton o brytyjskiej ciekawostce, jaką wciąż dla przeciętnych Amerykanów była Beatlemania. Powtórka emisji miała nastąpić wieczorem, ale wydarzenie, do którego doszło tego dnia o w pół do pierwszej w Dallas, zdezaktualizowało wszelkie plany.

– Nie sposób przeszacować, do jakiego stopnia zabójstwo Kennedy'ego wstrząsnęło Amerykanami – mówi mi 60-letni Jon Zeiderman, mieszkający pod Los Angeles scenarzysta i pisarz, a także absolutny fan Beatlesów. – Ono zmieniło wszystko. Dla tamtego pokolenia stało się tym, czym dla nas był 11 września, ale przeorało kraj jeszcze bardziej.

Uderzające było, że zespół nie miał lidera. Czterej przybysze sami pisali sobie repertuar i sami sobie akompaniowali. Zainspirowali rzesze do założenia swoich kapel

Co usłyszała piętnastolatka

Felieton o Beatlesach trafił ponownie na antenę dopiero 10 grudnia. I tu na scenę wkracza piętnastoletnia mieszkanka przedmieść Waszyngtonu Marsha Albert. Oglądała program wieczorny i, jak sama po latach mówiła, zwróciła uwagę nie tyle na wygląd nieco kudłatych muzyków, ile na muzykę – w migawce zabrzmiało „She Loves You". Usłyszała to samo, co kręcący nosami krytycy – że to coś zupełnie innego niż pop nadawany przez rodzime rozgłośnie – ale wektor jej emocji był skrajnie przeciwny: pokochała tę nowość. Tę energię i moc. Rzeczywiście amerykański pop początku lat 60. był przy tym mdłą zupką.

Zaraz po programie Marsha napisała do waszyngtońskiej rozgłośni WWDC z pytaniem, dlaczego żadne radio w Stanach nie emituje Beatlesów. List trafił do prezentera Carrolla Jamesa, który też oglądał program CBS i zareagował prawidłowo – przez znajomego stewarda brytyjskich lotniczych ściągnął najświeższy singiel Brytyjczyków, wydane 29 listopada „I Want to Hold Your Hand". 17 grudnia puścił piosenkę – pierwszy raz na amerykańskich falach – a do tego zaprosił przebojową piętnastolatkę do studia, by sama ją zapowiedziała.

I zaczęło się. W rozgłośni urywały się telefony od słuchaczek i słuchaczy. Życzyli sobie, by piosenkę puszczać jak najczęściej. Sklepy płytowe Wschodniego Wybrzeża musiały setkom młodych ludzi odpowiadać przecząco na pytania o ten nowy hit. James przegrał piosenkę znajomym prezenterom z innych miast, którzy też nie zawahali się jej użyć. Ssanie rynku przewyższało wszystko, czego doświadczała dotąd branża muzyczna. Wreszcie ugiął się nawet Capitol.

Wytwórnia planowała wypuścić singiel dopiero w styczniu, kiedy zespół miał przybyć do programu Eda Sullivana, bo liczyła, że program podbije im sprzedaż. Jednak przymuszona monstrualnym popytem zrobiła coś wbrew utartym amerykańskim obyczajom i wytłoczyła część nakładu na użytek regionalny, by rozpocząć sprzedaż 26 grudnia, kiedy nie ma mowy o żadnych premierach. Do połowy stycznia singiel rozszedł się w liczbie półtora miliona sztuk (w samym Nowym Jorku sprzedawano 10 tysięcy płytek na godzinę) i zdominował szczyty list przebojów, zresztą (co do dziś jest rekordem) wespół z czterema innymi piosenkami Beatlesów – i to kilka tygodni przed emisją programu.

Zespół nie chciał pojawiać się w Stanach, zanim ich piosenka nie znajdzie się na samym szczycie. Wspólnie z managerem Brianem Epsteinem sprytnie przygotowali najazd na Nowy Kontynent – napisali i nagrali piosenkę absolutnie we własnym stylu, ale sugerującą powinowactwo z tym, co było już w Ameryce popularne, a Epstein przekonał Capitol do zainwestowania 40 tysięcy dolarów w kampanię promocyjną.

Było to tym łatwiejsze, że sam Ed Sullivan, który wcześniej zarzekał się, że jeżeli Elvis zagości w programie, to po jego trupie (obyło się bez drastycznych rozstrzygnięć, Elvis wystąpił, oglądany przez 60 milionów, a Sullivan go zapowiedział i przeżył) – jeszcze jesienią 1963 r. był w Londynie świadkiem powitania Beatlesów przez 1,5 tysiąca fanów po przylocie z koncertów w Szwecji. Dało mu to do myślenia.

Niebawem jego asystent zadzwonił do Epsteina i zaklepał termin na początku lutego. Sullivan zaproponował Epsteinowi wysoką gażę dla zespołu za jeden występ. Manager jednak wystąpił z kontrofertą – gaża minimalna, za to dwa programy na żywo plus jeden nagrany do późniejszej emisji, w każdym programie krótki występ na otwarcie i zakończenie. Sullivan podpisał zgodę. A Beatlesi w nerwach czekali na wieści z rynku.

Gazeta „Baltimore Sun" 29 grudnia napisała, że „Ameryka powinna przemyśleć poważnie swój stosunek do tej inwazji i być może wyrazić go jak najłagodniej słowami »Beatlesi do domu!«". Dziennikarz z Chicago z kolei radził, by angielscy wykolejeńcy wybrali raczej kierunek fryzjer.

Młode Amerykanki i ich rówieśnicy wiedzieli oczywiście, co na temat Beatlesów sądzi establishment. I właśnie dlatego mieli go w nosie. Dorośli, traktując coś z kpiną czy pogardą, nadają temu znak jakości i smak owocu może nie zakazanego, ale odradzanego: „Skoro tego nie lubią, to coś w sam raz dla nas".

Ekstaza

60 lat temu, 7 lutego 1964 r., na nowojorskim lotnisku świeżo przemianowanym na JFK International Airport w hołdzie dla zamordowanego prezydenta, wylądował samolot linii BOAC. Na Lennona, McCartneya, Starra i cierpiącego na bakteryjną infekcję gardła Harrisona czekało 5 tysięcy fanów. Nazajutrz w studiu CBS odbyły się próby, podczas których kurowanego ekspresowo Harrisona „grał" ich manager koncertowy Neil Aspinall. Studio miało widownię dla około 730 widzów, tymczasem zgłoszeń od chętnych napłynęło ponad 50 tysięcy – na Elvisa siedem lat wcześniej zamówień było 7 tysięcy...

Zapowiedziani przez Sullivana Beatlesi rozpoczęli program od „All My Loving", „Till There Was You" (na ekranach pojawił się napis pod twarzą Lennona: „Niestety, dziewczęta, jest żonaty") i „She Loves You", a na jego zakończenie zadali *coup de grâce* i zagrali „I Saw Her Standing There" i „I Want to Hold Your Hand". Przed telewizorami zasiadła rekordowa jak na program Sullivana i w ogóle na tamte czasy publiczność w liczbie ponad 73 milionów. Reszta była historią. Rozpoczęła się Brytyjska Inwazja, której kolejne oddziały uformowały m.in. zespoły Rolling Stones, The Kinks, The Dave Clark Five i The Animals.

We wspomnieniach widzek i widzów „The Ed Sullivan Show" powtarzają się słowa: „Byli zupełnie inni", „Czterech czarodziejów wydobyło ze mnie coś, o istnieniu czego nie miałem pojęcia", „Pierwszy rok Beatlemanii był jak pierwszy pocałunek – coś nie do zapomnienia". Jon Gorrell, jeden z fanów, wspomina w Internecie: „Nasi rodzice mieli wybór – albo pokazać, że czują temat, albo obrazić się, że Beatlesi z prędkością światła wyekspediowali nas daleko od nich".

Inny fan, Greg Reno, dodaje: „Oglądałem program Sullivana z kolegą, jego rok starszą, trzynastoletnią siostrą i jej kumpelką. One wrzeszczały przed telewizorem, z nami też działo się coś niezwykłego. Nawet dwunastolatek może doświadczyć objawienia". „Byli inni, pełni charyzmy. Wpuścili świeże powietrze do dusznej Ameryki" – podkreśla jeszcze jeden widz Kevin Magarian.

Poza samą energią i przebojowością uderzające było i to, że w zespole nie było lidera, że czterej przybysze, choć przywozili do Stanów także swoje wersje amerykańskich piosenek – popowych, rhythm'n'bluesowych, soulowych, rock'n'rollowych – w ojczyźnie zapomnianych lub lekceważonych, to przede wszystkim sami pisali sobie repertuar i sami sobie akompaniowali. Ta samowystarczalność Beatlesów może nie była czymś, co młodzi fani uświadamiali sobie od razu, ale zainspirowała całe rzesze do założenia swoich kapel. „To za ich sprawą kupiłem gitarę", „Oni przeorientowali całe moje życie" – te świadectwa przewijają się w tysiącach opowieści świadków epifanii z 9 lutego.

Ale przede wszystkim Beatlesi swoją w gruncie rzeczy radosną, choć bezkompromisową muzyką pomogli wyjść Ameryce z żałobnej traumy.

– Rodzice opowiadali mi, że ich przyjazdowi towarzyszyła dobrze zorkiestrowana przez branżę histeria – kontynuuje w rozmowie Jon Zeiderman, urodzony na dzień przed emisją audycji Jamesa w WWDC. – To podziałało jak wentyl, wydobyło młodzież z emocjonalnego lockdownu i pozwoliło jej eksplodować. Cała Brytyjska Inwazja miała ten efekt.

DOMENA PUBLICZNA

Plakat z pierwszego koncertu The Beatles w Stanach Zjednoczonych. 1964 r.

Drugi istotny aspekt – obyczajowo-seksualny – to gorset, w którym tkwiły białe amerykańskie dziewczynki. Miały trzymać chłopców na dystans, unikać całowania, jak długo się da, przygotowywać się do roli produktu – gospodyni domowej. Eksplozja Beatlesów, z ich witalnością, w gruncie rzeczy cywilizowaną, z ich brytyjskim akcentem, który jeszcze dodawał im ponętności, i energetycznymi piosenkami, doprowadzała amerykańskie podlotki do erupcji hormonów na tle uniesienia niemal religijnego. Wiele z nich potem twierdziło, że w ogóle nie chodziło o muzykę, tylko o cielesne doznanie mistyczne.

Anglicy byli projekcją nieznanych dotąd marzeń.

Epilog

76-letnia dziś Marsha Albert dostąpiła wtedy zaszczytu towarzyszenia Beatlesom w drodze do hotelu w dniu ich przyjazdu, dostała od nich płyty z autografami, a zespół podziękował jej na antenie radia WWDC. Obecnie chroni własną prywatność, z rzadka udzielając mediom wypowiedzi i tylko pod panieńskim nazwiskiem. Nadal ma przywieziony z Anglii egzemplarz „I Want to Hold Your Hand", który dostała wtedy od Carrolla Jamesa.

The Beatles zagościli u Eda Sullivana trzykrotnie podczas pierwszej wizyty w Stanach, potem pojawiali się w programie osobiście jeszcze dwa razy, a w drugiej połowie lat 60. przesyłali gospodarzowi specjalnie kręcone klipy promocyjne i depesze z życzeniami do odczytania na antenie. Program Sullivana dzięki Beatlesom osiągał oglądalność przewyższającą 60 procent udziału w rynku.

Świat nadal masowo kupuje płyty zespołu, który rozpadł się ponad pół wieku temu. © FILIP ŁOBODZIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
Na eksport

Trzeba rzec, że vis comica polskiej prawicy w każdym detalu jej aktywności przekracza wszystko, cośmy za śmieszne uważali. Obawialiśmy się, że po utracie przez nią władzy popadniemy w koszmarną nudę. Nudę leżącą ciężką chmurą nad państwem rządzonym przez przewidywalną i cywilizowaną władzę.

Były to – jak widać – strachy na Lachy. Jest bowiem wciąż śmiesznie, a nawet jest śmieszniej. Nie spodziewaliśmy się i jesteśmy zaskoczeni, jak komiczne może być uprawianie męczeństwa w każdym wymiarze, np. podczas odrywania od posad i wszelakich przywilejów. Tego jeszcze nikt na świecie tak otwarcie, na taką skalę nie robił, nie robi i prędko nie zrobi, bo zapewne strach przed znalezieniem się na scenie kabaretu jest jednak w świecie polityków Zachodu powszechniejszy. Tylko Polska jest wolna od takiego lęku, chyba dlatego, że żaden polski polityk ani jego doradca od wizerunku nigdy nie był w żadnej szkole, w której by mu wyjaśniono rolę polityka ani co to jest państwo. Słowem: panuje tu w tej materii kapitalna wolność wyboru, a – jak powiada prastara polska mądrość – każdy ma prawo wybrać źle. Rzecz jasna towarzyszy temu takoż ślepota na efekty i brak zdolności do trzeźwej – za przeproszeniem – autorefleksji.

Ktoś powie, że całkiem niedawno jakoś to wszystko działało, wypada mu więc odpowiedzieć, że owszem – ale przestało. Pojawiło się pokolenie, które zamiast chowu klatkowego i ściółkowego woli wolny wybieg. Woli takoż paszę, owszem, przetworzoną, ale nie przez antycznych twórców i znawców polityki historycznej na miarę Geniusza z Żoliborza i jego licznych kolegów, obecnie tak straszliwie torturowanych, że nie bardzo wiadomo, które części ciała sanitariuszki mają im bandażować bądź jaki detoks, na co i gdzie im wstrzyknąć. Pojawia się wśród nich klasycznie polskie i nader częste pytanie: emigrować zewnętrznie czy wewnętrznie? Jest ono jak zawsze zasadne, ale zorientowaliśmy się, że jest aktualne, a dowodem jest zauważalna w mediach aktywność zagraniczna kilkorga z potężnie w Polsce prześladowanych postaci ubiegłej władzy.

Widać, że w tournée zagranicznym jest np. M. Morawiecki. Próbowaliśmy odsłuchać kilku jego relacji z tej wyprawy, ale wstyd przyznać, niewiele zrozumieliśmy. Najpewniej dlatego, że ów nie jest już premierem, więc się za mało staramy, by pojąć, o czym gwarzy. Tak. To wstyd, że nie czujemy potrzeby podjęcia elementarnego wysiłku zrozumienia torturowanej osoby ludzkiej. Torturowanej oczywiście w przyszłości, bo chyba jest pewne, że p. Morawiecki będzie w kilku sprawach – jak to się zgrabnie powiada – wysłuchany. Rzecz jasna – tak nam się zdaje – p. Morawiecki jest w trasie za zachodnią granicą RP, ponieważ będzie niebawem startował w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Z naszego punktu widzenia mógłby tę kampanię zacząć i prowadzić za granicą wschodnią, ale jeżeli woli pojechać np. do Belgii, to niech mu tam. Niech jedzie.

Tu nam przyszła do głowy myśl zaiste złota, godna, jak sądzimy, rozpropagowania, a na pewno namysłu. By mianowicie wszyscy członkowie rządu M. Morawieckiego wystarali się o mandaty brukselskie. Łatwo sobie wyobrazić euforię elit Zachodu, gdyby mogły sobie na żywo, bez zniekształcających filtrów, posłuchać wschodnioeuropejskiej odmiany wielu ich własnych koncepcji. Nagle na ów znakomity złoty, jako się rzekło, pomysł nasunął nam się natychmiast pomysł brylantowy. By oto europarlamentarzystą został J. Kaczyński. Powiada się, że nie święci garnki lepią, może być w Brukseli posłanką B. Szydło, B. Mazurek, może być B. Kempa, mógłby być i J. Kaczyński. Przeniesienie na solidne forum międzynarodowe jego stylistyki i manier przyniosłoby naszemu krajowi tak upragnioną sławę, rozgłos i satysfakcję, jak ongiś sławna eksportowa *Polish Ham*. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi" od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo macie pewność, że publikacje „Tygodnika" są niezależne, redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika"

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważny jest dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzymy, że świat da się naprawić.**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wierzymy, że świat da się naprawić. Zróbmy to wspólnie

1,5%

Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

Przekaż 1,5% podatku Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o suwerenność i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

» KRS 0000 125 605

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY